BIAŁORUSKA PROPAGANDA

Kłamstwa Łukaszenki – jak Mińsk szkaluje Warszawę

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 40/445 4–10 PAŹDZIERNIKA 2021

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Sławomir Cenckiewicz wspomina Jerzego Targalskiego

AGENT 007 SPÓŹNIŁ SIĘ PRZEZ PANDEMIĘ – CZY JAMES BOND WYGRA Z COVID-19

Z powodu lockdownu dzieci tracą odporność?

Unijni hucpiarze pouczają Polskę

JUAN FERNANDO LÓPEZ AGUILAR

JOSEP BORRELL

VĚRA JOUROVÁ

URSULA VON DER LEYEN

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 40>

Nakład: 55,6 tys. egzemplarzy

40. LECIE

STANU WOJENNEGO W POLSCE OPISANE TWÓRCZOŚCIĄ PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

13.XII.21

MECENASI PROJEKTU

Enea PGNiG KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl fa121f19c2

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Tusk, dwa wieprze i bezradność

Już dawno żadna polityczna ofensywa nie zakończyła się tak spektakularną klęską jak próba zdobycia przewagi, na razie sondażowej, a później realnej, przez Donalda Tuska. Jeszcze kilka tygodni temu zwolennicy byłego premiera triumfowali. Raz za razem mogłem przeczytać sążniste analizy uznanych (przynajmniej przez niektórych) ekspertów, z których wynikało, że mamy do czynienia z „efektem Tuska". Nie mogłem jedynie się doliczyć, ile punktów procentowych zyskał magik z Brukseli. Pięć a może dziesięć? Powrót z Zachodu na fotel tymczasowego szefa PO miał być pasmem sukcesów. Jednak bardzo szybko rzeczywistość okazała się dla niego znacznie mniej łaskawa, niż chcieliby tego podnieceni perspektywą pokonania prawicy opozycyjni publicyści. Dziś już nie ma chętnych do opowieści o „efekcie Tuska". Wielkie bum okazało się kapiszonem.

Sam Tusk też to najwyraźniej dostrzega. Cokolwiek o nim powiedzieć, z pewnością jest to polityk wytrawny, musi zatem widzieć, że blitzkrieg się nie udał. Początkowo próbował on stworzyć wrażenie, że opozycja pod jego przewodnictwem będzie bardziej rozumna, mniej totalna i mniej zaciekle wroga wobec PiS. Tusk, używając modnego określenia, sugerował, że może być „symetrystą". Dlatego, inaczej choćby niż wielu sympatyków opozycji, początkowo w kwestii zagrożenia polskiej granicy przez przenikających z Białorusi migrantów zajął stanowisko umiarkowane. Ba, wspomniał nawet o prawie państw, wprawdzie nie narodowych, ale Unii, do ochrony swoich granic.

Problem polega na tym, że po kilku latach maniakalnego ostrzału propagandowego, prowadzonego z zaciekłością i bez żadnej taryfy ulgowej, elektorat Platformy żadnego „symetryzmu" nie oczekuje. Został wychowany do walki. Chce zemsty, chce odegrania się, chce totalnego, jednoznacznego zwycięstwa nad mocami zła, czyli nad PiS. Wierzy, że lada moment zły sen, który trwa od 2015 r., się skończy. O ile podczas swoich rządów Tusk potrafił zachować daleko idącą niezależność w stosunku do wspierających go mediów, również najbardziej radykalnej jaczejki z Czerskiej, o tyle dziś to właśnie one dyktują jego elektoratowi, co ma myśleć i jak się zachować. Bić PiS wszędzie i na każdy sposób – to właściwie jedyna formuła, którą wyborcy PO rozumieją. Bić, bo PiS jest zły, jest jak mafia, jest niegodziwy i oplótł państwo, bo wyprowadzi Polskę z Europy. Itd., itp. I Tusk, chcąc nie chcąc, musi się do tego przekazu dostosować. Zamiast zatem używać argumentów, musi, tak jak reszta polityków jego obozu, skutecznie obrażać, rzucać inwektywy, wyszydzać. Musi pokazywać stanowczość i jednoznaczność. Z tego też powodu ukarał Borysa Budkę i innych polityków, których główną przewiną było to, że spotkali się na stopie towarzyskiej w neutralnym miejscu na urodzinach Roberta Mazurka z przedstawicielami rządu. No bo jak to tak: czy razem z reżimowcami można rozmawiać, pić i jeść? Nawet w odległości kilku metrów i bez alkoholu? Hańba! Tego wychowany przez opozycyjne media elektorat nie zrozumie.

Skoro zatem wyborcy PO domagają się twardości, to Tusk musi ją prezentować. To, że przy okazji zręcznie zrzucił winę za swoje niepowodzenia na polityków, którzy wystąpili w roli kozła ofiarnego, nie zmienia sensu całej operacji. Doskonale pokazał to czwartkowy wpis Tuska na Twitterze: „Folwark zwierzęcy po polsku, czyli jak dwa wieprze na rozkaz kaczora miały przy pomocy jednej krowy odwrócić uwagę od stada tłustych kotów. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci jest przypadkowe". Miał to być komentarz szefa PO do wcześniejszej konferencji prasowej dwóch ministrów, którzy tłumaczyli niebezpieczeństwo nad granicą z Białorusią i pokazywali, kto może ukrywać się wśród migrantów. Porównanie Mariusza Kamińskiego i Mariusza Błaszczaka do dwóch wieprzy kompletnie nie pasuje do wizerunku, który Tusk próbował wcześniej stworzyć: polityka wyważonego, rozsądnego. Tak mogą mówić chuligani, a nie „symetryści". Nie ludzie, którzy rozumieją powagę sytuacji i gotowi są, przez chwilę przynajmniej, kierować się interesem publicznym. Bo tego, że w sporze o ochronę granicy polski rząd ma słuszność i reprezentuje rację stanu, mogą nie widzieć tylko najbardziej zapiekli przeciwnicy władz. Przez swój wpis Tusk postanowił do nich dołączyć.

Przychylne opozycji media próbowały przedstawić tę głupią, chamską wypowiedź jako przejaw ironii. Może dlatego, że zrozumieli koszty takiego zwrotu: Tusk opowiadający o wieprzach niczym nie różni się od takich pyskaczy jak Jachira, Sterczewski, Nitras czy reszta.

Tak, ten wpis jest właśnie najbardziej wymownym dowodem klęski politycznej. Żadnego nowego otwarcia nie będzie. Platforma wraca na stare, utarte tory. Będzie nadal opozycją totalną. I nadal, właśnie dlatego, systematycznie będzie przegrywać. ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

TEMAT TYGODNIA

18 MAŁGORZATA WOŁCZYK
AUTORSKI PRZEGLĄD UNIJNYCH HUCPIARZY
Ci, którzy na forum UE wytykają Polskę palcami, sami mają te palce brudne

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PIS-PO: WOJNA NA WYMĘCZENIE
Zjednoczona Prawica nie traci poparcia wyborców, ale traci ich szacunek

28 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM SELLINEM
UTOPIA KONTRA ZDROWY ROZSĄDEK

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
GRANICE PROPAGANDY

34 ŁUKASZ WARZECHA
DROGI SPÓR O TURÓW

38 KAMILA BARANOWSKA
IMPREZA NIENAWIŚCI

40 JAN POSPIESZALSKI
TERAPIA DLA ZDROWYCH

42 ŁUKASZ ZBORALSKI
ZAATAKOWANE DZIECI

44 TOMASZ ROWIŃSKI
ARGUMENT PAŁKI

KULTURA

46 WIESŁAW CHEŁMINIAK
ŻEGNAJ, JAMESIE
Daniel Craig rozstaje się z rolą superagenta w stylu sentymentalno-patetycznym

48 ŁUKASZ CZARNECKI
SPOTKANIE Z „OPĘTANYM STARCEM"

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 KS. ROBERT SKRZYPCZAK
NOWY MIĘKKI TOTALITARYZM
Nowa książka Roda Drehera

60 JAN FIEDORCZUK
TUSKA PUŁAPKA NA HOŁOWNIĘ

HISTORIA

62 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
TARGALSKIEGO WALKA Z „TCHÓRZEM"
Wspomnienie o Jerzym Targalskim

66 WITOLD REPETOWICZ
CUD NAD DNIESTREM

ŚWIAT

70 PIOTR SEMKA
WSZYSTKO DO GÓRY NOGAMI
Wrześniowe głosowanie do Bundestagu zakończyło epokę Angeli Merkel

74 WOJCIECH GOLONKA
BOLSONARO KONTRA RESZTA ŚWIATA?

76 PAWEŁ ZDZIARSKI
ZAKAZ CENZURY W SIECI

78 ADAM ZUBEK
CO KNUJĄ EUROPEJSKIE WULKANY?

EKONOMIA

82 JACEK PRZYBYLSKI
STRACH ZAJRZAŁ W OCZY INWESTOROM
Możliwe tąpnięcia na wielu rynkach

86 JAKUB WOZINSKI
SPIJANIE EMISYJNEJ ŚMIETANKI

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
PSYCHOANALIZA TWEEDU
Prawdziwy tweed to produkt regionalny

ZDROWIE

90 KATARZYNA PINKOSZ
TERAPIA NA ŻYCIE
Rozmowa z prof. Katarzyną Kotulską-Jóźwiak

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (68), PRZYBYLSKI (77), GABRYEL, WARZECHA (81), KOMUDA (93), KARWELIS, POSPIESZALSKI (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), SIEDLECKA (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl fa121f19c2

PGNiG
PGNiG Mecenasem Teatru
...w Twoim domu
To ważne, żeby dbać o tradycję, kulturę i sztukę.
Dlatego bycie mecenasem, obecnego od lat
w Waszych domach Teatru Telewizji,
to dla nas zaszczyt.

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **E. URQUIJO/EFE/PAP, S. LECOCQ/EPA/PAP, D. TANECEK/CTK/PAP, K. NIETFELD/DPA/PAP, BELTA/AP/EAST NEWS**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664
ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 55,6 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Ludzie z lewicowej kalki", Łukasz Warzecha, „DRz" 37/2021

W artykule „Ludzie z lewicowej kalki" („Do Rzeczy" 37/2021) red. Warzecha poruszył istotny problem dominacji lewicowej narracji wśród młodych ludzi. Chciałem się odnieść do jednego z aspektów, a konkretnie do kwestii tzw. globalnych zmian klimatu.

Jestem fizykiem, nauczycielem akademickim, ale od roku uczę również w liceum. W podręcznikach, z których korzystam (wydawnictwo Nowa Era), ta kwestia jest przedstawiona w sposób zdecydowanie jednostronny (notabene dlatego rozważam wybór innego wydawnictwa), jako rzecz rzekomo bezdyskusyjna (rozdziały 32 i 33 podręcznika dla klasy III LO, poziom podstawowy, podobnie w kursie z przedmiotu „przyroda" dla klas III LO po gimnazjum). Sprawa dotyczy nie tylko wspomnianych przedmiotów – uczniowie uczą się tego również (bodajże) na geografii. Indoktrynacja trafiła także do podręczników akademickich, np. w bezpłatnym (dostępnym przez Internet) i skądinąd całkiem niezłym podręczniku Openstax (finansowanym przez Open Society Foundation) „Fizyka dla szkół wyższych", tom 2, str. 52–53).

W jednej z uczonych przeze mnie klas trafiłem na dwóch uczniów zorientowanych w temacie – oczywiście bezkrytycznie przyjmują oficjalną narrację, choć być może udało mi się w nich zasiać pewne wątpliwości. W dyskusjach warto powoływać się na publikacje naukowe – polecam np. niedawno opublikowany preprint arXiv:2105.12126 (ma się ukazać w renomowanym czasopiśmie) oraz starannie wyważone i oparte na licznych źródłach „Stanowisko Komitetu Nauk Geologicznych Polskiej Akademii Nauk w debacie klimatycznej" z 2019 r.

Pozdrawiam
Sławomir Stachniewicz

„Pożegnanie", Igor Zalewski, „DRz" 39/2021

Szanowny Panie Igorze!
Czytam Pańskie felietony od lat, każdy wywoływał we mnie jakieś emocje. Najczęściej rozbawienia, niejednokrotnie zadziwienie, zwykle zainteresowanie, ale po raz pierwszy pojawił się... smutek. Bardzo żałuję, i nie jestem na pewno w tych odczuciach osamotniony, że żegna się Pan z łamami „Do Rzeczy". Dziękuję za te wszystkie lata, za te dowcipne, ale często ważne teksty. Uwielbiam Pańskie poczucie humoru, cenię lekkie pióro i mam nadzieję mieć okazję jeszcze Pana czytać. Bo – proszę wybaczyć – nie zgadzam się z Panem zupełnie, że nie ma Pan nic nowego do powiedzenia.

Serdeczne pozdrowienia
J.J.

Ułatwiajmy powroty

[...] boli mnie, że tylu Polaków w przeszłości opuściło Polskę.

Niektórzy pozostali w swoich domach, a Polska ich opuściła. Myślę, że najwyższy czas, abyśmy starali się ich ściągnąć do kraju. Stwarzamy Ukraińcom, Białorusinom i innym możliwości osiedlenia się w Polsce, a o nich nie pamiętamy.

Sam zatrudniam trzech Ukraińców, niestety ich pracowitość i umiłowanie dyscypliny odbiegają od Polaków, myślę, że warto zainwestować w ściągnięcie Polaków z rodzinami do ojczyzny.

Wielu z nich ma w świecie rodziny, powinniśmy przyjąć ich z otwartymi rękami.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

21 września zmarł

ŚP.

Jerzy Zawisza

żołnierz Polski Walczącej w czasach dwóch okupacji.

Z wiarą, że „dusze sprawiedliwych są w ręku Boga" (Mdr 3,1), łączymy się z naszym Przyjacielem, Arturem Zawiszą, w bólu i modlitwie.

Koleżanki i koledzy z Prawicy Rzeczpospolitej

eprasa.pl fa121f19c2

NOWE MOŻLIWOŚCI

K590

5-6 X WARSZAWA
6. EDYCJA

WEŹ UDZIAŁ W KONGRESIE 590

Kluczowym wydarzeniu gospodarczym w Polsce

KONGRES590.PL

KONGRES 590

PARTNER ZŁOTY

NARODOWY BANK POLSKI

PARTNER SAMORZĄDOWY

PODKARPACKIE
przestrzeń otwarta

PARTNER STRATEGICZNY

Enea

KGHM POLSKA MIEDŹ

ORLEN

PGE

PZU

PZU ZDROWIE

PARTNER GŁÓWNY

Bank Pekao

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl fa121f19c2

NA PIERWSZY OGIEŃ

Konserwatyzm – uświadomiona konieczność

PIOTR SEMKA

Osobom LGBT trzeba dać prawa tam, gdzie ich nie mają. Jako naród jesteśmy tradycyjnie tolerancyjni. Ludzie są gotowi na związki partnerskie na gruncie prawa cywilnego. W kwestii związków partnerskich zaproponujemy niedługo rozwiązanie" – tak mówił w programie Onet Opinie Paweł Kowal, obecnie poseł Koalicji Obywatelskiej.

Kto to są owi „my"? – zapytać może czytelnik tego felietonu. Otóż tym dziełem ma zająć się Paweł Kowal razem z Pawłem Poncyljuszem, którzy szykują projekt w kwestii legalizacji związków partnerskich. „Proponujemy rozwiązania. Czuję, że dzisiaj ludzie centrum powinni pokazać, że są w stanie wykonać pierwszy krok". Po tych słowach pytań nasuwa się bardzo wiele, a Paweł Kowal jest zdawkowy w swoich wypowiedziach. Po pierwsze, jak zdefiniować prawa osób LGBT „tam, gdzie ich nie mają"? Jaki jest horyzont takiej emancypacji? Grupy gejowskie uważają, że skandalem jest to, iż nie mają prawa do rejestrowania swoich związków na takiej samej zasadzie jak pary heteroseksualne. Tak samo uważają, że mają prawo do adopcji dzieci. Co dalej znaczy, że „ludzie są gotowi na związki partnerskie na gruncie prawa cywilnego"? Czy teraz tylko związki cywilne, a potem „małżeństwa", gdy ludzie będą na to gotowi?

Czy Paweł Kowal nie zauważa, że np. w RFN związki cywilne stały się etapem do stworzenia instytucji do legalizacji „małżeństw" homoseksualnych? I wreszcie najbardziej ciekawe sformułowanie głoszące, że dzisiaj ludzie centrum powinni pokazać, że są w stanie wykonać pierwszy krok. Pomijam fakt, że jeszcze przed ostatnimi wyborami prezydenckimi Paweł Kowal deklarował się jako konserwatysta. Rozumiem, że teraz uważa się za centrum. Dlaczego jednak dwaj politycy utożsamiani z prawą stroną PO mają wykazywać, że są w stanie wykonać pierwszy krok. Przed kim mają się wykazywać? Przed Robertem Biedroniem czy Martą Lempart? A jeśli tak, to dlaczego nie możemy się doczekać ze strony lewicowców kroku w kierunku zweryfikowania ich polityki w kwestiach obyczajowych? Paweł Kowal zdradził nam swoje przekonanie, które pojawiało się często w myśleniu chrześcijańskich demokratów w Niemczech, Belgii czy Holandii. Polegało ono na przyjęciu tez lewicy o nieuchronności zmian obyczajowych. Idąc tym tokiem myślenia, to konserwatyści są zobowiązani do pokazywania dobrej woli wobec postulatów lewicy, ale w drugą stronę to nie działa. Lewica ma prawo żądać coraz więcej.

Nie czas na zastanawianie się, jak długą drogę przeszli Kowal i Poncyljusz od obozu PiS do świata postępu. Jedyne, co mnie dziwi, to jak szybko połknęli założenie, że to właśnie oni muszą być prekursorami zmian. Może się mylę, ale czuję, że właśnie taki wybór promotorów legalizacji homozwiązków pasuje mi do Donalda Tuska. I najważniejsze pytanie: Co na to słynna teściowa? ©℗

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

MAGIEROWSKI AMBASADOREM W WASZYNGTONIE?

Marek Magierowski, dotychczasowy ambasador RP w Izraelu, jest coraz bliżej objęcia funkcji ambasadora RP w Stanach Zjednoczonych. Jak poinformował korespondent Polskiego Radia, amerykańskie władze wydały już formalną zgodę na objęcie stanowiska przez Magierowskiego, który w Waszyngtonie ma zastąpić Piotra Wilczka. Według nieoficjalnych informacji, jeżeli Marek Magierowski uzyska zgodę sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, to zmiana nastąpi jeszcze w tym roku. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

Bezrobocie w Polsce wciąż wyjątkowo niskie

W całej Europie poprawiła się sytuacja na rynku pracy – wynika z najnowszych danych Eurostatu. Bezrobocie w Polsce w sierpniu wciąż było jednym z najniższych w Unii Europejskiej i wyniosło zaledwie 3,4 proc. Dla porównania: w całej Unii Europejskiej bezrobocie w sierpniu wyniosło 6,8 proc., co oznacza spadek w porównaniu z lipcem o 0,1 punktu procentowego. Średnia w strefie euro jest jeszcze wyższa i wynosi 7,5 proc., choć i tu nastąpiła niewielka poprawa o 0,1 punktu procentowego. Mimo polepszenia sytuacji na rynku pracy wciąż zdecydowana większość (12,1 mln osób) z 14,469 mln bezrobotnych w Unii Europejskiej mieszka w krajach strefy euro.

575 tys. osób

TYLU BEZROBOTNYCH BYŁO W POLSCE W SIERPNIU 2021 R.

FOT. ADOBE STOCK

Najniższym bezrobociem w całej Unii mogą pochwalić się Czechy (2,9 proc.), a także Malta i Holandia (3,2 proc.). Polska jest na czwartym miejscu. Wynik 3,4 proc. jest minimalnie gorszy niż w sierpniu zeszłego roku – wówczas bezrobocie w naszym kraju wynosiło 3,3 proc. Najgorzej sytuacja na rynku pracy wygląda nadal w Hiszpanii, gdzie bezrobocie wynosi aż 14 proc. oraz w Grecji (13,2 proc.).

W sierpniu poprawiła się również sytuacja na rynku pracy młodych Polaków. Według unijnego urzędu statystycznego bezrobocie wśród młodych wyniosło 11,2 proc. wobec 11,8 proc. w lipcu.

W porównaniu z sierpniem ubiegłego roku w całej Unii Europejskiej liczba bezrobotnych zmniejszyła się niemal o 2 mln osób.

Eurostat stosuje inną metodologię niż GUS, ale sytuacja na rynku pracy również według Głównego Urzędu Statystycznego wygląda nieźle. Według GUS stopa bezrobocia w sierpniu 2021 r. wyniosła 5,8 proc. Najmniejsze bezrobocie odnotowano w województwach: wielkopolskim (3,4 proc.), śląskim (4,6 proc.) oraz małopolskim i mazowieckim (4,9 proc.). Najwyższe bezrobocie statystycy odnotowali w warmińsko-mazurskim (8,7 proc.), podkarpackim (8,4 proc.) oraz kujawsko-pomorskim (8,1 proc.). ©℗ ***(jap)***

REKLAMA

eprasa.pl fa121f19c2

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Radosna twórczość

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej wydał wyrok zamykający długą drogę, którą po krajowych i unijnych sądach przeszła skarga grupy angielskich pracowników sieci Tesco. Niby nic specjalnego, takie wyroki TSUE ma prawo wydawać, po to właśnie go powołano – jako swoisty sąd arbitrażowy rozstrzygający spory rodzące się w ramach wspólnych polityk Unii. Tyle że z wyroku wynika, że sieciom handlowym i usługowym nie wolno różnicować zarobków pracowników na tych samych stanowiskach w zależności od miejsca, gdzie wykonują swą pracę.

Innymi słowy, kasjerka w dyskoncie pod Suwałkami ma dostawać taką samą pensję jak kasjerka w Berlinie czy w Paryżu – i wszyscy inni pracownicy placówek należących do jednej sieci także. Odrobina zdrowego rozumu wystarczy, by pojąć, że to idiotyzm niemożliwy do wcielenia w życie. W różnych regionach różne są koszty życia, różne są też koszty prowadzenia działalności gospodarczej. Tysiąc euro w Polsce to wciąż o wiele więcej niż tysiąc euro w Niemczech, o będącej źródłem całego zamieszania Anglii nie wspominając. Ktoś, kto wydał ten wyrok, może i ma jakieś pojęcie o prawie, ale o realnym życiu na pewno żadnego.

Oczywiście to nic w porównaniu z „zabezpieczeniami" sędzi Rosario de Lapuerta, byłej urzędniczki hiszpańskiego MSZ, uczynionej sędzią TSUE decyzją partyjnych kolegów. Nakaz, by zamknąć z dnia na dzień wielką odkrywkową kopalnię węgla brunatnego i elektrownię dającą 8 proc. mocy w krajowej sieci energetycznej, jest przecież zwyczajnie niewykonalny, choćby nie wiem, jakimi karami go poprzeć. Widać panuje jednak przekonanie, że jeśli ktoś się dochrapał europejskiej togi, to może wszystko, nawet zdelegalizować siłę ciążenia.

Ponieważ w tzw. międzyczasie Wielka Brytania zdążyła się z Unii wymiksować, idiotyczny wyrok prawdopodobnie będzie kolejnym, który, jak setki innych przejawów twórczości szanownego Trybunału, odłożony zostanie ad acta – co nie przeszkodzi Trybunałowi powoływać się na niego w przyszłości, jako na obowiązujący precedens. A my powołujmy się na niego jako na przykład, co tak naprawdę warte jest TSUE. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Albo-albo

I ty zostaniesz integrystą. Kiedyś był nim ten, kto za często cytował Piusa XII, dziś – w czasach narastającej „synodalności" – staje się nim ten, kto zbyt uparcie nawraca do „rygorystycznego" nauczania św. Jana Pawła II.

W czasie powrotu z podróży do Europy Środkowej nasz papież podzielił się z dziennikarzami swoimi przemyśleniami na temat kwestii homoseksualnej. Odpowiadając na pytanie Stefano Paci, Franciszek oświadczył, że jeśli „para homoseksualna chce żyć razem, państwa mają cywilną możliwość wspierania ich, zapewnienia im pewności dziedziczenia, zdrowia... Francuzi mają prawo w tym zakresie, nie tylko dla homoseksualistów, lecz także dla wszystkich ludzi, którzy chcą się związać. Ale małżeństwo to małżeństwo. Nie oznacza to potępiania osób, które są naszymi braćmi i siostrami. Musimy im towarzyszyć".

Franciszkowa aprobata i chęć „towarzyszenia" legislacji homoseksualnej, z konkretnym przywołaniem francuskiej, leży na antypodach nie tylko „poglądów" Jana Pawła II, lecz także nauczania Kościoła, które święty papież głosił i którego bronił, np. streszczonego w „Uwagach" Kongregacji Nauki Wiary „Omosessualitá" z 1992 r. Zawartą tam teologię współczucia, dyktowaną troską o dusze, najlepiej wyraża przestroga, że „ustawodawstwo uznające homoseksualizm za powód do domagania się praw mogłoby w praktyce zachęcić osoby o skłonności homoseksualnej do ujawnienia jej, a nawet do poszukiwania partnera".

Są takie momenty, kiedy w całej swej dramatycznej wzniosłości objawia się nam istota naszej natury – wolność. Wolność, którą tak często trywializujemy i opacznie bierzemy za dowolność, miotaną tą czy inną ochotą, wynikającą z tych czy innych uwarunkowań psychologicznych czy kulturowych. Tymczasem wolność to zdolność wyboru dobra wbrew tym wszystkim determinantom, bo nie sposób uzgodnić aprobaty i dezaprobaty dla politycznego ruchu homoseksualnego. Aut-aut, tertium non datur. ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

O tym, co się w naszych głowach nie mieści

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Zanim Christo opakował Reichstag, w Bonn zaprezentował projekt parlamentarzystom. Była to huczna impreza na sto fajerek z wyszynkiem i wyszukanymi zakąskami. Płacił Christo. Było wielu najważniejszych niemieckich polityków rządu i opozycji, a też Wasz felietonista. Rozglądam się po sali: uśmiechnięci deputowani z różnych ugrupowań, wspólnie jedzą, piją, lulki palą, tańce, hulanki, swawole. I wyobraźcie sobie, że nazajutrz nikt się nie oburzył.

Co robi lud germański, gdy nie sposób sformować rządu? Politycznie adwersarze rzucają kłótnie w kąt i tworzą wielką koalicję w imię sprawnego funkcjonowania kraju. Tak im każe instynkt państwowy. Podobnie po raz drugi uczynił w tym roku lud włoski, mimo że w Italii temperatura życia politycznego niemal zawsze jest bliska wrzenia, a politycy często obrzucają się inwektywami, nie stroniąc od grubego słowa. Co prawda, zacietrzewienie i ideologia sprawiają, że w obecnym koalicyjnym rządzie co chwila dochodzi do ostrych spięć, ale na razie bankier Mario Draghi trzyma skłóconych polityków za twarz i rząd sprawnie rządzi.

Ale to wszystko pikuś. Teraz proszę zapiąć pasy. W 1980 r. katolicki ruch Comunione e Liberazione zainicjował tzw. Meeting di Rimini. Odbywa się co roku w lecie. Trwa niecały tydzień. Z tej okazji co roku do miasta zjeżdżają tuzy włoskiej polityki, filozofowie, artyści, wybitni naukowcy. Prestiż tych spotkań, transmitowanych i omawianych w najważniejszych włoskich mediach, jest tak ogromny, że włoskie elity zabiegają o to, by tam wystąpić. Dyskutują w sposób niezwykle cywilizowany nad problemami Włoch i świata. Wszyscy: ludzie Kościoła i ateiści, kapitaliści i komuniści, socjaliści, narodowcy i liberałowie. Słowem – ponad podziałami. Potem, już za kulisami oficjalnych dysput, wymieniają myśli w ramach spotkań nieformalnych, a obyczaje łagodzą wino i godziwa strawa.

Parafrazując księcia Hamleta, są rzeczy na niebie i na ziemi, o których się nie śniło waszym filozofom. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl fa121f19c2

FOT. DANI SALVA/WIPICS/ZUMA PRESSFORUM

WATYKAN DLA ZASZCZEPIONYCH

W związku z pandemią COVID-19 Stolica Apostolska zarządziła, że wszyscy pracownicy, mieszkańcy Państwa Watykańskiego muszą albo być zaszczepieni, albo regularnie poddawać się testom na obecność koronawirusa, albo okazać dokument poświadczający przejście choroby wywoływanej przez koronawirusa SARS-CoV-2. Zgodnie z dekretem wydanym 28 września przez kard. Pietra Parolina, sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej, osoba bez paszportu covidowego nie będzie mogła przyjść do pracy, a jej nieobecność zostanie uznana za nieusprawiedliwioną. W związku z tym pracownik, który się nie zaszczepił lub nie przedstawi negatywnego wyniku testu, nie otrzyma wynagrodzenia.

Wynik testu lub certyfikat zaszczepienia – akceptowane są zarówno certyfikaty wydawane przez Watykan, jak i unijne oraz świadectwa z państw, które spełniają stosowne wymogi – muszą okazać też goście odwiedzający Państwo Watykańskie, a więc nie tylko okolice pl. św. Piotra, lecz także eksterytorialnych obiektów w Rzymie i w Castel Gandolfo.

Nowe, zaostrzone przepisy antycovidowe nie obejmują uczestników nabożeństw. Wyjątek od reguły obowiązuje jednak tylko na czas mszy.

W styczniu Państwo Watykańskie – jako pierwszy kraj na świecie – zaoferowało wszystkim swoim mieszkańcom i pracownikom darmowe szczepionki przeciw COVID-19, a papież Franciszek oraz Benedykt XVI ze względu na swój wiek byli jednymi z pierwszych zaszczepionych.

Obecnie we Włoszech przepustkę sanitarną muszą posiadać wszyscy pracownicy szkół. Od 15 października podobne zasady jak w Watykanie będą obowiązywać wszystkich pracowników włoskiej sfery budżetowej, a także firm państwowych oraz prywatnych. ***(jap)*** © ℗

eprasa.pl/a/21119c2

eprasa.pl fa121f19c2

SAMOCHWAŁA W KĄCIE STAŁA

Czy ktoś pamięta jeszcze Krzysztofa Gojdzia, chirurga gwiazd, który sam został gwiazdą? Gojdź, jak już się dorobił, wyjechał pomnażać swój majątek do Ameryki i tam już został na stałe. Od czasu do czasu wpada jednak do Warszawy, by poopowiadać, jak mu się świetnie żyje i że ma już tak dużo pieniędzy, że więcej nie potrzebuje. „Klinikę otworzyłem nie tylko w Miami, lecz także w Chicago, a za trzy tygodnie na Manhattanie w Nowym Jorku, za chwilę Beverly Hills, ale to już bardziej dla funu, na pewno nie dla pieniędzy. Trzeba się cieszyć życiem, czerpać z tego życia. Ja swoje pieniądze w życiu zarobiłem. Teraz po prostu zabawa i chęć takiego fajnego życia" – opowiada serwisowi Pudelek. Zapytany, ile ma mieszkań, nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć. „Nie pamiętam... Dziesięć, piętnaście? To nieistotne. Istotne, że jestem zakochany, cieszę się każdą chwilą spędzoną z osobą, którą kocham" – odpowiedział. I dodawał: „Ja pieniędzy mam już naprawdę wystarczająco. Oczywiście zawsze można mieć więcej. Ostatnio kupiłem piękny dom w Miami. No wiadomo, jacht może za chwilę...". Jednego tylko nie udało mu się wciąż kupić. Klasy.

BEŁKOT NAWET NA TRZEŹWO

Znany i lubiany aktor Adam Ferency miał się spotkać z mieszkańcami Świdnicy, by porozmawiać o sztuce w związku z projektem „Alchemia Teatralna". Okazało się jednak, że wolał rozmawiać o polityce, a i to w sposób mało wyraźny, bo stawił się w stanie mocno wskazującym na spożycie alkoholu. Jak podaje lokalny serwis Swidnica24, aktor miał wypowiadać się w mętny sposób oraz nawoływać, by nie głosować na PiS i Kaczyńskiego. „Aktor nieskładnie i momentami nielogicznie odpowiadał na zadawane mu pytania, przekomarzał się z publicznością na tematy polityczne, z trudem składał kolejne zdania, a także powtarzał się w swoich wypowiedziach. Podejrzewając, że jest on nietrzeźwy, zniesmaczeni uczestnicy wydarzenia zaczęli opuszczać salę świdnickiego teatru. Spotkanie zostało przerwane po niecałych 30 minutach" – informuje portal. Sam Ferency, zapytany przez Onet o całą tę sytuację, przyznał, że wypił wtedy za dużo. „Organizatorka przerwała to spotkanie, uzasadniając to moją niedyspozycją. Fakt, byłem nietrzeźwy. Bardzo tego żałuję. To był przypadek. Ta sytuacja nie powinna się zdarzyć. Ale tak się czasami zdarza" – wyjaśnił. Wiadomo, przypadki chodzą po ludziach i czasem się zdarza, że komuś przypadkiem alkohol wpadnie do gardła tuż przed spotkaniem z publicznością. Widać na trzeźwo też można nieźle bełkotać.

FOT. PAWEŁ GRUMKOA

SKONCENTROWANA NA SOBIE

Celebrytka Anna Wendzikowska, która niedawno zdradziła swoim fanom, że nie utrzymuje kontaktów z rodzicami, opowiedziała o swoim sposobie na uwolnienie się od toksycznych relacji. Mówi, że jeśli będziemy żyć w zgodzie z samym sobą i będziemy dbać o swoje samopoczucie, to będziemy przyciągać samych dobrych ludzi. „Najważniejsze jest zadbać o to, żebyśmy my sami byli pozytywni, fajni, mili dla innych, dobrzy. Dopiero wtedy okazuje się, że nic nie trzeba robić. Nagle wszyscy ludzie, którzy nas otaczają, są podobni do nas i nagle nie mamy toksycznych ludzi wokół siebie" – wyjaśniła. Podkreśliła też, że zawsze należy dbać o swoje potrzeby. „Uważam, że należy się bardziej skoncentrować na sobie. Mieć dobrą relację ze sobą, wiedzieć i wybierać, co nam służy. Wtedy nie trzeba robić takich gwałtownych ruchów" – zdradziła portalowi Pudelek. Przynajmniej raz można mieć 100-procentową pewność, że Wendzikowska wie, co mówi. Bo akurat w koncentrowaniu się na sobie jest prawdziwym ekspertem!

JAK ONA MILCZAŁA!

News tygodnia jest taki, że podobno modelka i aspirująca celebrytka Sandra Kubicka spotyka się już od jakiegoś czasu z Baronem, muzykiem zespołu Afromental i byłym chłopakiem najpierw Julii Wieniawy, a ostatnio Blanki Lipińskiej. Podobno Kubicka bardzo chce pochwalić się nowym związkiem światu, ale Baron miał ją powstrzymywać. „Sandra i Baron spotykają się już od dłuższego czasu. Można ich spotkać razem na imprezach" – donoszą informatorzy Pudelka. „Baron bardzo dba, by fotoreporterzy nie wypatrzyli ich razem. Po doświadczeniach z Blanką wie już, jak dobrze ukrywać się przed paparazzi, i nie chce wystawiać swojego związku na widok publiczny. To Sandra chciałaby już ujawnić łączącą ich relację i móc pokazywać się z nim na ściankach, ale na prośbę Alka milczy" – mówią. Teraz już nie musi milczeć, bo o ich związku poinformował Pudelek, czyli najpopularniejszy portal plotkarski w Polsce. No popatrzcie, jak jej się szczęśliwie złożyło! ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, aż jest nam cieplej na sercu nie tylko z powodu wyjątkowo przyjemnego w tym roku Jesieni, ale też dlatego, iż do naszego wielkiego ośrodka wrócili dawno niewidziani studenci i od razu poczuliśmy znów ten klimat akademickiego miasta, lawirując w piątkową noc po Rynku Głównym między rozrzuconymi po chodniku resztkami kebaba, potłuczonymi butelkami i leżącymi osobami.

Młodość ma prawo się wyszumieć i umie się bawić, więc z tego prawa korzysta. A że czasem komuś mogą puścić hamulce? Hamulce to niech trzymają zrzędzący na młodzież boomerzy, stojąc co rano w tych swoich korkach xD

W każdym razie mamy dla studentów kilka rad, zwłaszcza dla tych, którzy odwiedzili nasz wielki ośrodek po raz pierwszy i czują się nieco zagubieni w wielkim mieście.

Po pierwsze: warto zapisać się na niszowe koło naukowe lub wnioskować o powstanie takiego. Nieważne, jaki kierunek studencka osoba wybrała – jeśli do obszaru zainteresowań dodamy „queer", wszystko będzie wyglądało odpowiednio postępowo i nikt się nie odważy takiego koła nie wziąć na poważnie. Robotyka queerowa to wspaniałe połączenie.

Po drugie: pamiętajcie, iż krakówek jest wciąż dość zaściankowy. Dlatego, iżby mocniej poruszyć skostniałych krakowskich mieszczuchów, osoby studenckie powinny pomalować włosy na tyle kolorów, na ile się da, przyczepić sobie tyle tęczowych i różnych alternatywnych naszywek i przypinek, ile się zmieści na plecaku, i spoglądać na przechodniów tak ponuro i złowrogo, iżby oni nie ośmielili się w taki sposób spojrzeć jako pierwsi.

Po trzecie: najważniejsze to być asertywnym! A więc nie dać się stłamsić i przytłoczyć tymi wszystkimi kolokwiami, egzaminami, zaliczeniami i wszystkim, co komplikuje życie studenckie w wielkim ośrodku. Należy pamiętać o swoich prawach i w razie potrzeby się do nich odwoływać, a w przypadku natknięcia się na profesora-fashystę zawsze można napisać list do postępowych mediów i podpisać się „Studencie (19 l.)".

Zauważyliśmy, iż ostatnio wiele się mówi na temat tego, iż niebawem może nam wszystkim zabraknąć prądu. My się tego nie boimy, iż kupiliśmy sobie wiatraczki, zainstalowaliśmy na balkonie i teraz dzięki naszej mikrofarmie wiatrowej nie zabraknie nam energii.

Mieliśmy co prawda trochę wątpliwości, co w sytuacji, kiedy nie będzie wiało. Jak napędzimy naszą domową infrastrukturę elektryczną? Aż w końcu wpadliśmy na to, iż przecież możemy sami trochę podmuchać. Byle nie za dużo, iż w końcu wydychamy CO_2.

A gdyby jeśli nawet wystąpił jakiś nieprzewidziany problem, to wciąż pozostaje nam energia naszych pozytywnych, młodych serc, którą w razie potrzeby napędzimy wi-fi, laptopa i lodówkę.

Widzieliśmy gdzieś info, nie wiemy, czy to prawda czy nie, iż z restauracji w Czechach wyproszono Polaków jako działanie odwetowe w sprawie Turowa. Niezależnie od tego, czy to fejk czy nie: pochwalamy. Sami chętnie wyprosilibyśmy Polaków z całych Czech albo przynajmniej kazali przeprosić za wciąż działający Turów. Gdyby nas spotkała taka sytuacja (o ile w ogóle bylibyśmy na tyle bezczelni, iżby w obliczu tej sytuacji wejść do restauracji w Czechach), to od razu byśmy wyszli, w zasadzie weszlibyśmy tylko po to, żeby zaraz wyjść, a na końcu przeprosili za Turów i czego by tam od nas jeszcze chcieli. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Natarczywy rachmistrz

Andrzej, spisałeś się?
Tak między nami mówiąc, Mateusz, to właśnie nie.

Ale wiesz, że to było obowiązkowe?
No dobra, ale jak ja im mam podać na przykład wielkość lokalu? Będę po całym pałacu biegał i mierzył? Albo jakie tu jest ogrzewanie? Skąd ja mam wiedzieć? Jest ciepło i tyle.

No fakt, najmądrzejsze to te pytania nie są.
Ja nawet usiadłem do komputera, ale wymiękłem po pięciu minutach.

I co? Nie próbowali cię jakoś dopaść?
Próbowali. Dodzwonić się nie mogli, bo wiesz, numer mocno zastrzeżony. Ale jakiś rachmistrz przylazł i próbował wejść.

I co?
Chciał najpierw od frontu, ale go SOP-owcy nie wpuścili. To, skubany, tam od kościoła, z boku zaczął się wdzierać. Taki wytrwały był, że go musieli na ziemię rzucić i skuć. A jeszcze trzymał w zębach ten formularzy spisowy i nim machał.

Ty, ile oni im płacą?
Nie wiem, ale na pewno za mało. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ciekawe, czy dziś w TVP Info będzie seks z krową czy »für Deutschland«, czy może dadzą radę oba wątki połączyć".

RADOSŁAW SIKORSKI, *europoseł Koalicji Obywatelskiej, na Twitterze*

eprasa.pl fa121f19c2

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jesień. Spadają liście i niektórzy ludzie ze stanowisk. Z końcem września pracę w Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana zakończył Błażej Spychalski. Rzecznik, którego zapamiętamy głównie z tego, że nie mamy powodu, by go jakoś szczególnie pamiętać. Cześć jego pamięci!

Niecierpliwi pytają: A kto teraz zastąpi Spychalskiego? Otóż nikt go nie zastąpi, podobnie jak w przypadku odchodzącego Adama Kwiatkowskiego. Co pokazuje, ile oni wszyscy mieli roboty w dużym pałacu. Na pytanie „Dokąd teraz uda się Błażej?", odpowiadamy: Orlen Ukraina.

Powyższe roszady (to nie koniec, będą kolejne) przypominają nam słowa Olka Kwacha sprzed dwóch lat. Miał on ciekawą lekcję historii prezydenckiej dla Andrzeja Sebastiana. „Reelekcja jest pewna – prawił – więc trzeba pamiętać, że pracy dla ludzi z kancelarii szuka się w pierwszym roku drugiej kadencji. Bo potem jest coraz trudniej". Pierwszy rok dobiegł końca, ratuj się, kto może!

Źli ludzie opowiadają, że do odejścia szykuje się szefowa kancelarii Grażyna Ignaczak-Bandych, której marzy się stanowisko w dyplomacji. Ambasador w krajach frankofońskich. A najlepiej w Paryżu, tyle że ten kierunek jest zamknięty. Po francusku mówi się jednak także w wielu innych krajach, więc nadzieje Grażyny na razie nie umierają. To znaczy – ponoć ona tak opowiada.

Z kilku źródeł dostaliśmy jednak dementi, jakoby szefowa Kancelarii Prezydenta wybierała się w dyplomaty. Otóż wszyscy nas zapewniają, że to wstrętna plotka. Wierzymy. Tak samo jak wierzyliśmy, że Błażej Spychalski nie opuści dużego pałacu. A opuścił. Ogólnie rzecz biorąc, jesteśmy głęboko wierzący.

Tymczasem do Danii jedzie nowy ambasador. Fałkowski się nazywa. Brat dyrektora Zamku Królewskiego. Posiadanie brata muzealnika – ogólnie rzecz biorąc – jest dobrą kwalifikacją do dyplomacji. Wszak bratem obecnego ambasadora przy ONZ też jest muzealnik.

Natomiast w MSZ wznoszą wzrok ku niebu, słysząc nazwisko John Godson. Zapomniany poseł PSL przeniósł się do Nigerii, gdzie chce zostać prezydentem. Na razie musi z czegoś żyć. Założył firmę Afro-Poland, która pośredniczy w załatwianiu polskich wiz dla studentów. Nic w tym złego, pęd do kształcenia pochwalamy. Jest tylko jeden problem. Jeden ze studentów zapragnął uczyć się matematyki na studiach dziennych na KUL. Swoją pasję odkrył stosunkowo późno, bo w wieku 50 lat. Inna studentka po przekroczeniu granicy Rzeczypospolitej nagle znalazła się na porodówce w Berlinie. Tymczasem Godson naciska, by Polska wydawała kolejne wizy studenckie. Dobrze, napiszemy wprost: „studenckie".

Rękopisy, jak wiadomo z Bułhakowa, nie płoną. Zdjęcia też. W związku z tym ucieszyła nas szarża pancernego Banasia Mariana na Fundusz Sprawiedliwości stworzony przy resorcie sprawiedliwości. Była okazja, żeby odkurzyć fotki z konferencji inaugurującej działanie funduszu. Banaś bił brawo i wszystko bardzo mu się podobało. Cele również. Catering sprawiedliwości też mu smakował. Ale to było w czasach, kiedy szef NIK nie był jeszcze antypisowskim krzyżowcem. Tylko zwykłym PiS-owcem. A punkt widzenia zależy, jak wiadomo, od punktu siedzenia. No i dochodzeń CBA.

Nie wiemy, czy zauważyliście, ale podczas wystąpienia ministra Kamińskiego w Sejmie jeden z posłów opozycji udawał krowę. W sensie, że muczał. Jak rozumiemy, była to aluzja do zdjęć ujawniających preferencje seksualne jednego z nielegalnych migrantów szturmujących granicę polsko-białoruską. W sumie myślimy sobie, że lepiej być krową niż wieprzem. Tak, to aluzja do słynnego tweeta niejakiego Tuska Donalda.

Ludziom zdziwionym, że niejaki Tusk nagle zaczął wyzywać PiS od wieprzy i kaczorów, przypominamy, że to naturalna ewolucja polityka PeŁo w Polsce. Zaczyna się od krzyży, jak Tusk, Niesiołowski i Palikot. A potem idzie w drugą stronę. Tusk w sumie znalazł się już dziś gdzieś między późną niesiołowszczyzną a wałęsizmem. Ten ostatni z kolei zaczynał od retoryki z Matką Boską. A wiadomo, jak skończył.

Tymczasem na Nowogrodzkiej. Słyszeliśmy od jednego pana wiewióra, że właściwie klepnięte było, iż ministrem sportu (resort powraca) zostanie Kamil Bortniczuk. W ostatnim czasie mroczne siły zorganizowały jednak kontratak przeciw tej kandydaturze. Szczerze? Bortniczuk nie wydaje nam się figurą aż tak ważną, by mobilizować mroczne siły. Apelujemy więc: Zostawcie Bortniczuka w spokoju, niech sobie poministruje!

Cała Polska szuka także pracy dla Jacka Żalka. Jest bowiem koncepcja, by przy okazji odświeżania umowy koalicyjnej (czytaj: podziału stanowisk z Partią Republikańską) trafił na jakieś nowe stanowisko. Jest jednak problem. Pamiętacie słynną anegdotę o Józefie Oleksym? Wszędzie był potrzebny. A z Żalkiem? Jest odwrotnie.

Kultura. Zgadzamy się z Agnieszką Holland, która uważa, że to skandal, iż dopiero teraz pierwsza kobieta reżyser odebrała w Gdyni nagrodę za całokształt twórczości. Ale mamy większy skandal – jak to możliwe, że kiedy sama Holland była przewodniczącą jury w 1993 r., to też nie nagrodziła jakiejś kobiety? Albo w roku 2013, kiedy Holland była w jury, gdzie stosunek kobiet do mężczyzn wynosił 4:3. I wiecie, kogo nagrodzili na całokształt? Jerzego Antczaka! ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

Zmieniamy życie pacjentów dzięki nauce™

W czasie zagrożenia zdrowia, kiedy mamy wyzwania na skalę światową, dzięki współpracy z wieloma partnerami:

opracowujemy nowe leki
udoskonalamy sposób ich dystrybucji
nieprzerwanie dostarczamy leki pacjentom na całym świecie

Bristol Myers Squibb™

Dowiedz się więcej na **bms.com**

ONCPL2011661-01,12.2020

eprasa.pl fa121f19c2

Autorski przegląd

Małgorzata Wołczyk

Ci, którzy na forum UE wytykają Polskę palcami, sami mają te palce brudne

eprasa.pl fa121f19c2

unijnych hucpiarzy

Przewodnicząca KE Ursula von der Leyen i szef europejskiej dyplomacji Josep Borrell

FOT. ZHANG CHENG/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl fa121f19c2

Gdyby ktoś powiedział nam w roku 2003, w dniu naszego głosowania za przystąpieniem do UE, że tym samym zgadzamy się, aby Polska wyrzekła się swojej suwerenności, chrześcijańskich korzeni i przyjęła dyktat lewicowych ideologów, uznalibyśmy go za niespełna rozumu. Wszak zapisywaliśmy się ochoczo do UE projektu Sługi Bożego – Roberta Schumana – i nawet sam papież Jan Paweł II zdecydowanie poparł akcesję. Jak Polska długa i szeroka, byliśmy entuzjastami przystąpienia do Unii, o czym świadczył wynik referendum. Po 18 latach od tego momentu niemal codziennie przekonujemy się, że nie chodzi o „wspólnotę", tylko o kolejny zewnętrzny ośrodek władzy, który bezpardonowo odbiera nam możliwość samostanowienia i prześladuje nas na arenie międzynarodowej. W dodatku przez lata obróbki propagandowej nauczono Polaków utożsamiać Europę z organami UE, a o europosłach myśleć jak o klubie dżentelmenów o nieskazitelnej reputacji, którzy mają mandat i moralne prawo robić z nami, co im się żywnie podoba, zwłaszcza jeśli pokrywa się to z listą życzeń opozycji (nie tyle antyrządowej, ile w istocie antypolskiej).

Nawet pobieżny wgląd w biografie czołowych urzędników unijnych przyprawia o niedowierzanie i frustrację. Stajemy bowiem bezradni wobec faktu, że ludzie, którzy mają usta pełne frazesów o praworządności, niejednokrotnie wchodzili w konflikt z prawem lub ciążą na nich poważne zarzuty, z których w jakiś cudowny sposób zdołali się oczyścić.

URSULA Z PLAGIATEM

Zacznijmy od wierchuszki, bo niemiłościwie nam panująca szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen niezwykle często stawia nas pod pręgierzem. Ta protegowana Angeli Merkel była typowana na rezerwową panią kanclerz, ale fatalne zarządzanie niemieckim ministerstwem obrony i rozliczne skandale pogrążyły ją w oczach opinii publicznej.

W 2015 r. pojawiła się pierwsza rysa na jej wizerunku: portal VroniPlag po analizie 62 stron jej doktoratu oskarżył von der Leyen o plagiat w 43,5 proc. Akurat w Niemczech zarzuty o plagiat zmiotły już wcześniej parę osobistości ze sceny politycznej (w tym dwóch ministrów kanclerz Merkel), więc sprawa wydawała się poważna. A jednak szefowa Bundeswehry wybroniła się, bo z odsieczą pospieszyła jej Merkel i Alma Mater z rodzinnego Hanoweru. „Niezależna i ekspercka" Komisja Etyki, owszem, znalazła nieprawidłowości, bo wykryła „elementy plagiatu", ale finalnie praca okazała się spełniać „kryteria naukowe". Równolegle z zarzutem o plagiat prasa niemiecka dopatrzyła się kłamstw w jej CV i tytułów, których nie mógł jej zaoferować Uniwersytet Stanforda.

Reputacja Ursuli von der Leyen w Niemczech pikowała po serii skandali związanych z „prawicowym ekstremizmem"

Reputacja von der Leyen w ojczyźnie pikowała z dnia na dzień po serii skandali związanych z – jak to określono – „prawicowym ekstremizmem". Po tym, jak w koszarach znaleziono kolekcję pamiątek i odznaczeń z czasów III Rzeszy, a niemieccy żołnierze misji ONZ zabawiali się w nazistów, minister obrony znalazła się pod obstrzałem krytyki. Jakby tego było mało, wybuchła afera, przez którą jej nazwisko ponownie przewinęło się przez wszystkie portale europejskie. Oficer Bundeswehry, porucznik Franco A., zarejestrował się jako syryjski azylant, a jednocześnie zbudował komórkę terrorystyczną, której celem było przeprowadzenie ataku na czołowych niemieckich polityków (znanych zresztą z liberalnego stosunku do imigrantów), i to w taki sposób, aby w powszechnym odbiorze wyglądało to na kolejny atak islamskich radykałów. Wyszło przy tym na jaw, że o jego mrocznych inklinacjach wiedziano już wcześniej, ale nie podjęto zawczasu żadnych działań dyscyplinarnych. Mimo braku kontroli nad resortem w 2018 r. von der Leyen została ponownie mianowana szefową resortu obrony w nowym rządzie Merkel.

I znów wybuchła afera, która tym razem zaprowadziła ją przed oblicze komisji śledczej pod zarzutem nepotyzmu. „Resort, którym von der Leyen kierowała w latach 2013–2019, zawierał wielomilionowe kontrakty, nie organizując na nie przetargów. Tylko w pierwszych sześciu miesiącach tego roku ministerstwo zleciło firmom doradczym prace warte 154 mln euro – to więcej, niż zapłacił za takie usługi jakikolwiek inny resort w rządzie Angeli Merkel (pozostałe 14 ministerstw podpisało umowy łącznie na 178 mln euro)" – pisała o sprawie „Gazeta Wyborcza" ponad dwa lata temu, gdy jeszcze nie wiedziała, jak pożyteczna okaże się w młotkowaniu PiS-owskiego rządu. Obecnie nikt nie czuje dyskomfortu, że komisarz von der Leyen, mająca na koncie skandale i afery korupcyjne, stoi na straży uczciwego wydawania funduszy europejskich. A przecież Niemka to zaledwie wierzchołek góry lodowej.

UWIKŁANY BORRELL

Jeśli wszyscy odczuwamy niepokój związany z tym, że na geopolitycznej mapie rosną napięcia i otwierają się nowe fronty konfliktów, to również dlatego, że wysoki komisarz unijny i szef europejskiej dyplomacji – Josep Borrell – zastąpił na stanowisku słynącą z bezradnego łkania Federikę Mogherini. Zmiana jakościowa polegała na tym, że teraz płakać mają ochotę wszyscy ci, którzy patrzą na nieodwracalne szkody jego polityki. Pomimo licznych apeli ze strony eurodeputowanych z różnych krajów o podanie się do dymisji Borrell kurczowo trzyma się fotela. Na nieszczęście dla nas wszystkich jest to fotel nie tylko szefa dyplomacji, lecz także polityki bezpieczeństwa. I dlatego ledwie po dwóch latach pracy Borrella w widocznym niebezpieczeństwie znalazły się oba frontowe kraje unijne: Polska i jego rodzinna Hiszpania. Nam zagraża imperializm rosyjski i reżim na Białorusi, Hiszpania zaś od dwóch lat notuje rekordową inwazję nielegalnych imigrantów z Afryki i destabilizację regionu Ceuty, Wysp Kanaryjskich i Balearów, które straciły renomę bezpiecznych turystycznych rajów. Poza tym jego polityka „bezpieczeństwa" spowodowała wzrost zagrożenia na ulicach europejskich miast.

Czymś skandalicznym, o czym niemal wcale nie mówi się w Polsce, są powiązania Borrella z reżimem kubańskim i wenezuelskim. Borrell z racji swego partyjnego nadania uwikłany jest pośrednio w istnienie tych zbrodniczych reżimów i dlatego rząd hiszpański – w przeciwieństwie do polskiego – nie podpisał się ostatnio pod wezwaniem Departamentu Stanu USA i szefów MSZ z 21 państw „wzywającym komunistyczne władze w Hawanie do respektowania praw człowieka i wolności narodu kubańskiego". Jak wielki jest to blamaż ze strony socja-

eprasa.pl fa121f19c2

listyczno-komunistycznego rządu, można sobie wyobrazić, gdyby władze Polski popierały reżim Łukaszenki (zresztą mniej okrutny niż ten braci Castro) i robiły wszystko na arenie międzynarodowej, aby go wybielić, wesprzeć i przymknąć oko na aresztowania Polaków. W tę ohydną pracę lobbystyczną zamieszany jest właśnie Josep Borrell, który już we wrześniu 2020 r. wyjechał z absolutnie niedopuszczalną, bo samozwańczą misją rozmów z tyranem Maduro w imieniu UE. Po nagłośnieniu tego faktu wybuchło oburzenie na szczytach władz UE, ale protegowanemu Ursuli von der Leyen włos z głowy nie spadł.

W liberalnych polskich mediach, zupełnie jak w lewackich biuletynach Hiszpanii, reżimy reprezentowane są tylko przez Polskę i Węgry, więc o związkach socjalistów z autentycznymi tyraniami Iberoameryki nie dowiemy się ani słowa. Hiszpanie natomiast mówią otwarcie: nasz rząd i socjalistyczni eurodeputowani bronią dyktatury Castro i Maduro, ponieważ „mają trupy w szafie" i boją się ujawnienia kompromitujących dokumentów i przelewów. Lektura hiszpańskich gazet uświadamia, że za Borrellem zawsze ciągnęły się jakieś niejasne powiązania, korupcyjne wątki. W listopadzie 2018 r. dziennik „ABC" informował: „Komisja Rynku Papierów Wartościowych uważa, że Borrell popełnił bardzo poważne przestępstwo, gdy w 2015 r., będąc doradcą Abengoa, zaledwie dwa dni przed tym, jak firma złożyła wniosek o ogłoszenie upadłości, sprzedał akcje spółki w imieniu swojej byłej żony. W związku z tym nadzorca giełdy uważa, że wykorzystał uprzywilejowane, poufne informacje – był członkiem spółki – w celu zmniejszenia strat żony na giełdzie".

Najlepiej podsumować osiągnięcia szefa dyplomacji komentarzem z oficjalnego konta twitterowego partii VOX w PE z 6 czerwca tego roku: „Borrell musi ustąpić w TEJ CHWILI. Bycie najgorszym ministrem spraw zagranicznych UE było trudne, biorąc pod uwagę jego poprzedników. Jednak upokorzenia, którym Borrell poddaje Unię, i jego współudział w najgorszych tyraniach na świecie pozbawiają go zdolności do reprezentowania czegokolwiek".

VĚRA OD DOTACJI

Idźmy jednak dalej, tym razem rzucając snop światła na ponurą postać Věry Jourovej. To przykład butnej eurokratki, która mimo skazania sądowego i odsiadki w areszcie udziela nam nieprzerwanie lekcji praworządności. W 2006 r. została zatrzymana w sprawie korupcyjnej zwanej „sprawą Budišova". Postępowanie zakończyło się latem 2008 r. Przed sądem nie udowodniono jej korupcji. Otrzymała nawet 3,6 mln koron czeskich odszkodowania za areszt. Zdaniem dziennikarza śledczego Janka Kroupy, który poświęcił się badaniu sprawy, werdykt uniewinniający Jourová zawdzięcza błyskotliwej pracy adwokatów oraz – jak się wyraził – celowej „gnuśności" policji. Dziennikarz zwraca uwagę, że Jourová nigdy nie złożyła na niego doniesienia, co dowodzi, że treść jego raportu była prawdziwa. Dodajmy, że Janek Kroupa jest laureatem wielu nagród za dziennikarstwo śledcze, a sprawa dotyczyła wielomilionowych malwersacji dotacji z UE.

Oprócz Jourovej w sprawę zamieszani byli: szef kancelarii premiera, burmistrz Budišova w regionie Třebíč oraz urzędnik ministerstwa rolnictwa. Podejrzani próbowali zebrać pieniądze, przeceniając wielokrotnie koszt remontu zamku w Budišovie i remontu zamku Třebíč. Według policji projekt pierwszego zamku został przeszacowany o 30 mln, a projekt drugiego o 42 mln koron. Figurantom z regionu groziło do ośmiu lat więzienia, ale sprawa dziwnie „rozeszła się po kościach", i to pomimo wątków kryminalnych, które przy okazji odkryto. Jak podaje portal Česká justice, w tle było także zlecone morderstwo przez wpływowych członków CSSD z regionu Třebíč, tych samych, którzy zaangażowani byli w malwersację dotacjami europejskimi. Na podstawie tych ustaleń jednostka antymafijna otrzymała pozwolenie na podsłuchiwanie całej grupy, w której znajdowała się także Jourová. Ale jak pisze autor: „To, co nastąpiło później, to jeden z najciemniejszych rozdziałów w historii wymiaru sprawiedliwości". Jourová zapewniła sobie miękkie lądowanie w strukturach politycznych. Była też właścicielem i dyrektorem zarządzającym spółki Primavera Consulting, której sprawozdań finansowych za lata 2009–2012 nie publikowała, choć powinna jako przedstawiciel ustawowy spółki.

Josep Borrell, szef unijnej dyplomacji, jest uwikłany pośrednio w istnienie zbrodniczych reżimów na Kubie i w Wenezueli

Przypomnijmy, że chodzi o wiceprzewodniczącą KE, odpowiedzialną od 2019 r. „za poszanowanie wartości Unii Europejskiej i przejrzystość", a także – co tu kryć – znajomą George'a Sorosa. Na Twitterze można zobaczyć ich wspólne zdjęcie i wiele mówiącą deklarację Jourovej: „Wartości Open Society są w centrum działań UE".

HISZPAŃSCY EUROPOSŁOWIE

Niebywałe szczęście w wychodzeniu cało ze wszelkich opresji związanych z korupcją mają też inni nasi prześladowcy z ramienia Parlamentu Europejskiego. Prokuratura Antykorupcyjna Hiszpanii jeszcze dwa lata temu rozważała wszczęcie postępowania karnego przeciwko Gonzálezowi Ponsowi, ale finalnie nie został postawiony w stan oskarżenia, ponieważ zdobył mandat eurodeputowanego największej Grupy EPL, a nawet objął stanowisko jej wiceprzewodniczącego. Człowiek, którego pasją jest krytykowanie Polski za rzekomy brak praworządności, sam uwikłany był w słynną korupcyjną sprawę Gürtel, która zmiotła ze sceny politycznej „prawicowy" rząd Rajoya i posadziła w fotelu premiera socjalistę Pedro Sáncheza. „Długie i różnorodne macki spisku Gürtela są już w pełni usiane aktywnością posła Partii Ludowej i lidera delegacji Estebana Ponsa" – tak zaczynał się artykuł w „El Plural" z 11 marca 2020 r.

W Hiszpanii, która słynie ze strukturalnej korupcji, sprawa powiązań Ponsa z korupcyjną mafią nie wzbudziła emocji. Ważniejszy był fakt, że już wcześniejsze odkrycie tego wątku pozwoliło lewicy sięgnąć po władzę za pomocą wotum nieufności dla rządu. Pons uniknął odpowiedzialności również dlatego, że w regionie Walencji rządziła jego Partia Ludowa, a prokuratura była jej podporządkowana. Nikt nie był zainteresowany, aby złamać karierę partyjnego towarzysza. W tym newralgicznym czasie eurodeputowany Pons najspokojniej w świecie wydał swoją powieść „One" (pełną wątków erotycznych), którą prezentował na wieczorze autorskim w obecności przywódców największych partii.

eprasa.pl fa121f19c2

Jeszcze bardziej bulwersujący jest jednak przypadek innego Hiszpana, który wykorzystując stanowisko przewodniczącego LIBE Komisji Wolności Obywatelskich, bierze regularny udział w szykanowaniu Polski. Chodzi o Juana Fernando Lópeza Aguilara, byłego sekretarza Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej na Wyspach Kanaryjskich, a dziś eurodeputowanego z Grupy S&D. To człowiek skompromitowany we własnej ojczyźnie za ustanowienie prawa, które wymierza kary w zależności od płci. Ustawa, której autorem i promotorem w rządzie Zapatero był López Aguilar („profesor prawa konstytucyjnego"!), łamie art. 14 konstytucji hiszpańskiej o równości wobec prawa niezależnie od płci, ale wciąż obowiązuje.

Prawo, stworzone przez Aguilara, jawnie dyskryminuje mężczyzn i jest pretekstem do odbierania im dzieci, majątków na podstawie prawdziwych, lecz bardzo często też fałszywych doniesień i uprzywilejowuje kobiety do tego stopnia, że aby wsadzić mężczyznę za kratki, nie potrzebuje ona przedstawić żadnego dowodu, a jedynie złożyć dwa niesprzeczne zeznania. Hiszpania jest jedynym krajem w Europie, gdzie to niekonstytucyjne prawo charakteryzuje się tzw. odwróconym ciężarem dowodu, czyli wymaga od oskarżonego dostarczenia dowodów swojej niewinności, podczas gdy oskarżyciel niczego nie musi przedstawiać. Ta ustawa jest powodem wielu samobójstw wśród mężczyzn, dramatów rodzinnych i tzw. wojny płci. Co zakrawa na scenariusz filmu sensacyjnego, prawo nie zadziałało akurat w przypadku jego autora, bo López Aguilar, oskarżony o znęcanie się nad żoną i jej bicie, w nadzwyczajnie szybki sposób został oczyszczony, choć prasa i tzw. opinia społeczna nie miały wątpliwości co do słuszności oskarżeń. Bezmiaru niesprawiedliwości dopełnia słynny cyniczny komentarz Lópeza Aguilara do rodaków, którzy stali się niewinnymi ofiarami jego ustawy: „Fałszywe skargi kobiet są akceptowalnym kosztem ustawy". Dla niego tak, bo sam uniknął więzienia dzięki kolegom z kasty.

Hiszpański dziennikarz w „Contando Estrelas" w ubiegłym roku tak pisał o absurdalności ataków Aguilara na Polskę: „Na ironię zakrawa fakt, że López Aguilar, autor krytycznego raportu za rzekomy brak niezależności wymiaru sprawiedliwości w Polsce, jest znanym liderem PSOE, czyli partii, która w latach 80. zlikwidowała w Hiszpanii trójpodział władzy przez upolitycznienie KRS i Trybunału Konstytucyjnego. Kolejnym absurdem jest fakt, że raport Aguilara mówi o sytuacji zagrożenia wolnych mediów w Polsce zaledwie kilka miesięcy po zatwierdzeniu przez rząd PSOE ustawy, która pozwala na zamykanie stron internetowych bez nakazu sądowego. A to wszystko pod pretekstem zwalczania »dezinformacji« i »zagwarantowania bezpieczeństwa publicznego i obrony narodowej«. Jak zwykle to hiszpańska najbardziej antywolnościowa lewica w Europie, która rządzi w koalicji z komunistami popierającymi dyktatury na Kubie, w Wenezueli czy na Białorusi, ośmiela się udzielać Polsce lekcji demokracji".

SKORUMPOWANI PRAWORZĄDNI

Najsmutniejsze jest to, że kogokolwiek się tknąć z listy naszych „oprawców", wychodzi na to, że uwikłani są w brudne sprawy. Na przykład taka Sophie in 't Veld, która dzięki unijnej operacji znęcania się nad Polską, po latach stania w cieniu, robi wreszcie wymarzoną karierę na salonach Brukseli. Zanim zaczęła dedykować swój aktywizm Polsce, zasłynęła wezwaniem do potępienia papieża Benedykta XVI za jego krytykę ideologii gender oraz apelem do zerwania więzi dyplomatycznych z Watykanem.

Ta eurodeputowana od „praworządności i wartości unijnych" należy do jednej z najbardziej skorumpowanych partii Holandii – D66, a swego czasu sama stała się synonimem zachłanności, przywłaszczając sobie z kasy unijnej setki tysięcy euro tytułem zwrotu kosztów za korzystanie z hoteli w Brukseli, w której… od lat mieszka i ma dom. Holenderskie media wyliczyły, że naciągnęła unijną kasę na ponad 400 tys. euro. Bezdzietna rozwódka zdaje się poświęcać wszystkie siły witalne na zohydzanie i młotkowanie Polski i Węgier. Ale nie tylko, bo zapytana w ostatnim lipcowym wywiadzie dla holenderskiego „Libelle": „Jaka jest twoja misja w europarlamencie?", odpowiedziała: „Chcę, aby Europa stała się siłą napędową praw człowieka i praw obywatelskich, takich jak prawa gejów i eutanazja".

Z całą pewnością można by wypełnić cały numer „Do Rzeczy" galerią istnych karykatur urzędu europosła, a nawet kreatur. Bo taki np. Pernando Barrena Arza – hiszpański eurodeputowany z Komisji Wolności Obywatelskich i Sprawiedliwości – był aresztowany trzykrotnie, ostatni raz skazany w 2008 r. na dwa lata więzienia za członkostwo w zbrodniczej organizacji ETA, która bestialsko zamordowała 864 osoby, w tym 22 dzieci, raniła niemal 8 tys. osób w 3,5 tys. zamachów. O dziwo, życiorys Barreny jest „niedostępny" na stronach europarlamentu niezależnie od wybranego języka. Człowiek, który apologizuje terroryzm, dziś żąda wyjaśnień w sprawie „łamania praw LGBTQI w Polsce".

Zaledwie parę miesięcy temu inny grecki eurodeputowany Ioannis Lagos, były członek neonazistowskiej partii Złoty Świt, został aresztowany w Belgii wkrótce po tym, jak Parlament Europejski uchylił jego immunitet. Oczekuje 13 lat kary więzienia za szefowanie przestępczej organizacji i ataki z bronią w ręku. Korupcja jest dotkliwą chorobą toczącą wielu eurodeputowanych niezależnie od barw politycznych i kraju pochodzenia. Raport Transparency International z 2018 r. ujawnił, że aż 31 proc. z 751 posłów do Parlamentu Europejskiego otrzymuje zarobki z innych źródeł, i to porównywalne do dochodów wynikających z ich stanowiska. A to przecież jawny konflikt interesów.

Włoski socjaldemokrata Renato Soru (wedle danych z 2018 r.) był rekordzistą, który najbardziej skorzystał na dorabianiu w PE z zarobkami w wysokości prawie 1565 mln euro. Trzecie miejsce w skuteczności dorabiania zajął wtedy dobrze nam znany belgijski eurodeputowany Guy Verhofstadt.

Wszystko to ukrywane jest przed nami, aby uniknąć poruszania tematu tabu, czyli rozmów o wyjściu z UE, jeśli nie uda się jej zreformować i odzyskać pierwotnego kształtu zaprojektowanego przez ojców założycieli. Zresztą my sami, Polacy, jesteśmy sobie winni, bo wielu z wyżej opisanych działa na szkodę Polski na wyraźną prośbę i presję opozycji totalnej, wybranej – jakby nie było – głosami naszych rodaków. Słusznie prof. Legutko zwrócił uwagę na forum unijnym Ursuli von der Leyen: „Pani musi zadbać o to, aby nie była tą przewodniczącą, która utraciła Europejczyków". Bo to nie my jesteśmy „eurosceptyczni", to UE stała się głucha i sceptyczna wobec głosu Europejczyków, którzy nijak nie czują się reprezentowani przez lewicowych ideologów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

ZAPRASZAMY JUŻ W PAŹDZIERNIKU

KONFERENCJA

Ideologia LGBT – prawna ochrona rodziny

WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW WKRÓTCE

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl fa121f19c2

PiS-PO: wojna na wymęczenie

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl fa121f19c2

Rafał A. Ziemkiewicz

Zjednoczona Prawica nie traci poparcia wyborców, ale traci ich szacunek. Może liczyć tylko na to, że opozycja jest niezdolna, by to wykorzystać

W każdym prawie wielkim starciu przychodzi kryzys, nazywany przez historyków wojen „przesileniem bitewnym". Chwila, kiedy dowódcy wydali już wszystkie rozkazy, które mieli do wydania, i wysłali do walki wszystkie posiadane oddziały. Wrogie wojska wysilają się, jak mogą, by przełamać nawzajem swoje szyki – ale ani jedna, ani druga strona nie jest w stanie dokonać przełomu. Czasem trwa to krócej, czasem dłużej, aż w końcu okazuje się, kto był bardziej zdeterminowany, bardziej wytrzymały i zdolny podtrzymać wysiłek odrobinę dłużej. I ten ostatecznie wygrywa.

Polityczna wojna polsko-polska znalazła się w takim właśnie punkcie. Obie strony wystrzelały się z pomysłów, obie użyły wszystkich atutów i żadna nie poniosła definitywnej klęski ani nie odniosła przełomowego zwycięstwa.

Oczywiście lider Prawa i Sprawiedliwości wciąż ma więcej powodów do zadowolenia niż jego przeciwnicy. Te powody nie płyną jednak z sukcesów PiS, tylko z niepowodzeń lewicowo-liberalnej opozycji. Od 2015 r. nie jest ona w stanie wyrwać się ze stanu niemożności, z powtarzania wciąż w taki sam sposób wciąż takich samych akcji i tych samych propagandowych haseł, mimo ich oczywistej nieskuteczności. Dla każdego obserwatora, który nie uległ antypisowskiemu amokowi, przyczyna tego stanu jest jasna: to uwięzienie opozycji w wyższościowym urojeniu „proeuropejskich salonów", urojeniu, że są one podziwiane i naśladowane przez większość Polaków, a tym samym, że większość jest zdecydowanie przeciwna rządom PiS, popieranego jedynie przez element ciemny i obskurancki, starych, niewykształconych, antysemitów, rasistów etc. Uniemożliwia to nie tylko jakąkolwiek pozytywną pracę nad przeciągnięciem na swoją stronę „milczącej większości" społeczeństwa, zamykając opozycję w kręgu „żelaznego", podzielającego kompleks „niesłuchanej elity" elektoratu. Gorzej jeszcze: skłania to opozycję do nieustannego okazywania ogółowi Polaków swej wyższości, „lepszości" i poniżania oraz obrażania na różne sposoby tych, którzy tej wyższości nie chcą dostrzec i uszanować.

W efekcie kolejne ofensywy załamują się, zanim jeszcze na dobre się zaczną. Nic nie dają powtarzane od lat slogany o łamaniu praworządności, odbieraniu wolności, wyprowadzaniu z Europy etc. Nie udaje się pod tymi hasłami wyprowadzić na ulice milionów, a jeśli incydentalnie – w sprawie sądów czy aborcji – pojawią się dziesiątki tysięcy, to opozycja z punktu popada w tak przesadny triumfalizm i w przekonaniu, że „to już nareszcie ich koniec", tak dociska do dechy pedał radykalizmu i tak się negliżuje, że na ulicy szybko pozostaje znowu tylko tych samych kilkudziesięciu etatowych protestczyków.

Ogromną część energii traci opozycja na próby odebrania PiS „moralnej legitymacji do sprawowania władzy", co jest o tyle bezsensowne, że poza liberalno-lewicowym salonem i wąskimi wielkomiejskimi grupami, którym wciąż jeszcze on imponuje, nikt nie oczekuje od władzy, by miała moralną legitymację, tylko by była skuteczna. Aby zaś demaskowanie nepotyzmu, kolesiostwa i innych patologii rządzącej formacji miało inny niż podważanie „moralnej legitymacji" sens, trzeba by nie tylko zdemaskować, lecz także przedstawić alternatywę. Ponieważ PO nigdy nie odegrała fundamentalnego dla demokracji spektaklu powyborczego oczyszczenia, spektaklu „partia ta sama, ale już nie taka sama", nigdy nie uderzyła się w pierś i nawet nie próbowała obiecać, że będzie rządzić lepiej niż w czasach „ośmiorniczek", całe demaskowanie idzie w próżnię i intensyfikowanie go chwytami w rodzaju „przełomowego wspólnego śledztwa 50 dziennikarzy z trzech połączonych mediów" niczego nie może zmienić, choćby było ich 100 i z 10 mediów. A nawet gorzej, bo z demaskowaniem, jak ze wszystkim, też można przesadzić. Ogłaszanie od lat co drugi dzień „wielkich afer", bo „prezes deweloper" ma fundację, która chciała zbudować wieżowiec (ale jej Kierwiński nie dał „wuzetki"), bo żona premiera ma działkę, bo wiewiórki, dziki, banany, respiratory etc., raczej znieczuliło ogół Polaków na słowo „afera" i dziś już nawet wykrycie przez media poważnych nieprawidłowości w sprawowaniu władzy nie powoduje niczego więcej niż krótkotrwałego podniecenia w antypisowskiej „bańce".

Opozycja wierzy, że tak jak gdzieś pod Giewontem śpią wedle legendy zaklęci rycerze, tak w Polsce śpi ogromny, antypisowski elektorat, który obudzi się, jeśli opozycja użyje mocniejszych słów i symboli, a do zwycięstwa wystarczy tylko się „zjednoczyć". Mitu „wspólnej listy" nie porzuciły salony nawet po tym, gdy lista taka powstała (w wyborach europejskich) i okazało się czarno na białym, że „zjednoczenie" zniechęca do głosowania znaczną część wyborców każdej z opozycyjnych partii, wskutek czego wspólna lista przegrywa z PiS. Uzupełniono tylko irracjonalną wiarę w zjednoczenie przekonaniem, że musi go dokonać ktoś o większej charyzmie niż Grzegorz Schetyna. Tak powstał ostatni wielki mit liberalnej lewicy, mit „powrotu Tuska". Tusk wrócił i okazało się, że to także żadnej zasadniczej zmiany nie przyniosło.

WIĘCEJ POMYSŁÓW JUŻ NIE MA

Ale i po stronie PiS przełomowa ofensywa, którą miał być Polski Ład, okazała się klapą, do tego stopnia bolesną i niezrozumiałą dla kierownictwa, że zamiast wycofać się z nieudanego projektu, władza nie przyjmuje faktów do wiadomości. Powtarza więc obietnice Polskiego Ładu coraz głośniej i natrętniej, co czyni je coraz bardziej „gierkowskimi", zgoła groteskowymi.

Klęska Polskiego Ładu jest syndromem poważniejszego zjawiska. Wyczerpało się paliwo, na którym PiS jechał przez pierwsze lata swych rządów: rozdawanie pieniędzy, najlepiej bezpośrednio do rąk, w gotówce. Nie tylko, że nie ma już skąd tych pieniędzy brać – zwłaszcza wobec perspektywy utraty pieniędzy z Unii – lecz także zmieniły się oczekiwania. Ludzie, którzy pięć, sześć lat temu traktowali „500+" jako zwrócenie im odebranej przez Balcerowicza godności, zaczynają aspirować do klasy średniej i z najwyższą niechęcią dowiadują się, że jako zarabiający powyżej 4 tys. zł miesięcznie mają być „opiłowywani" z dochodów (choć to język partii przeciwnej) na rzecz „ubogiego ludu", który wciąż jest w centrum

eprasa.pl fa121f19c2

uwagi rządzących, a którym coraz mniej Polaków się chce nadal czuć.

Zjednoczonej Prawicy wciąż jeszcze nie grozi skokowa utrata poparcia – ta zwykle jest skutkiem czynników, które jeszcze się nie pojawiły – ale niewątpliwie mamy do czynienia ze wstępem do niej: utratą szacunku. Jest to coś więcej niż naturalny proces „zużywania się władzy". Rządzeni mogą rządzącym wiele wybaczyć, ale jednego domagają się twardo: skuteczności. Tymczasem rządy PiS są ciągłym odgrażaniem się, po którym to odgrażaniu się, gdy przychodzi „sprawdzam", następują kapitulacja i zapewnienia, że „nic się nie stało".

„WSTAWANIE Z KOLAN"

Przykładem najbardziej spektakularnym jest oczywiście zapowiedziane „wstawanie z kolan" w polityce międzynarodowej. Nie miejsce tu na uważne prześledzenie historii konfliktów z Unią Europejską, ale nie ulega wątpliwości, że Kaczyński zlekceważył zagrożenie wiążące się z jednoznacznym opowiedzeniem się eurokratów po stronie PO i chyba nie wierzył, iż Unia jest gotowa tak mocno zaangażować się w wewnętrzną politykę w Polsce i tak swobodnie przejść w swych działaniach do porządku dziennego nad wspólnotowym prawem i zapisami traktatów. A było to do przewidzenia, gdyby skupiona na sprawach wewnętrznych władza więcej uwagi poświęciła przyglądaniu się zachodzącym w Unii od kilku lat zmianom.

Kolejne grupy elektoratu dochodzą do wniosku, że nadzieje, które wiązały z rządami PiS, nie mają szans być przez tę władzę spełnione. Przy czym najbardziej rozczarowani są ci, dzięki którym PiS przetrwał osiem lat po utracie władzy w roku 2007 – elektorat, mówiąc umownie, najbardziej „prawicowy".

Wszystko to ma swoje praźródło w fakcie, bardzo niechętnie przyjmowanym do wiadomości przez przywiązanych emocjonalnie do PiS i Kaczyńskiego tradycjonalistów-patriotów, że Jarosław Kaczyński nie ma wcale takich poglądów jak jego najwierniejsi zwolennicy. Polityczne qui pro quo (które ująłem kiedyś w określeniu „człowiek, który ukradł Polsce prawicę") polega na tym, że Kaczyński nie chciał budować prawicy, ale „polską chadecję" na wzór niemieckiej CSU, coś w rodzaju nieboszczki Unii Demokratycznej, tylko opartej na wartościach patriotycznych i chrześcijańskich, a nie obyczajowym liberalizmie – większą zaś wrogość od michnikowszczyzny budził w nim narodowy katolicyzm w stylu ZChN. Okazało się jednak, że dla takiego „centrum", o którym marzył, nie ma w postkomunistycznej Polsce wyborców, musiał więc sięgnąć po ten niezbyt przez siebie szanowany elektorat „kościółkowy" i dzięki nieudolności liderów narodowo-katolickich ostatecznie przejął nad nim całkowity „rząd dusz". Kiedy bliski, wieloletni współpracownik „Naczelnika", Adam Lipiński, otwarcie mówił, że jego historyczną zasługą – którą niewdzięczne liberalno-lewicowe salony powinny docenić – jest niedopuszczenie do powstania w Polsce silnej partii narodowo-katolickiej, „nacjonalistycznej" i antyunijnej, to niewątpliwie oddawał przekonanie szefa.

Rozbieżność poglądów między liderem a jego wyborcami ujawniała się jak dotąd rzadko, w sprawach dla przeciętnego wyborcy mniej istotnych, takich jak aborcja czy „piątka dla zwierząt" – zwłaszcza w tym drugim przypadku działacze PiS zostali kaprysem prezesa zmuszeni do przemawiania jednym głosem z organizacjami skrajnej lewicy. Przekształcanie się Unii Europejskiej ze wspólnoty suwerennych państw w oberpaństwo, coraz bardziej bezceremonialnie wymuszające na Polsce kolonialne podporządkowanie i przyjęcie narzucanej z Zachodu tęczowo-genderowej ideologii, nieuchronnie kładzie temu kres. Jarosław Kaczyński, wbrew propagandzie swoich wrogów, jest oczywiście euroentuzjastą, jakkolwiek naiwnym, bo wierzącym w europejskie wartości i model Unii, których już nie ma – w każdym razie myśl o polexicie jest mu równie obca jak dziedzictwo Dmowskiego. Ale jego elektorat patrzy na to nieco inaczej. Szczególnie że zamiast rozdawania miliardów z Unii, czeka rząd zmierzenie się z wywołaną przez nią drożyzną, a być może wręcz kryzysem energetycznym.

OŚMIESZAJĄCA REJTERADA

Pozowanie przez PiS przed własnym elektoratem na partię bardziej prawicową, niż rzeczywiście chce nią być, doprowadziło już do ośmieszającej rejterady w samorządach, które przyjęły swego czasu PiS-owską większością uchwały przeciwko „ideologii LGBT" i tą samą większością wycofały się z nich, postraszone całkowicie bezprawną pogróżką wstrzymania funduszy strukturalnych. W sporze o Turów czy praworządność też trudno się spodziewać lepszego zakończenia.

Nie przysporzyły PiS szacunku przeprowadzenie Polski przez epidemię koronawirusa, z wielkim chaosem, przemądrzałymi profesorami-celebrytami oraz rekordową liczbą zgonów nadmiarowych, ani zmarnowanie pieniędzy na „kopertowe" wybory i cały spór z nominowanym przez siebie szefem NIK, ani bezradność wobec prawniczego rokoszu, paraliżującego sądy. Nie budzi go też – czego polski elektorat szczególnie nie lubi – zajmowanie się przez partię samą sobą. Co prawda, powodem do zadowolenia jest fakt, że opozycja cichcem odstąpiła od buńczucznych zapowiedzi odwołania marszałek Sejmu, ale to dowodzi tylko tego, że w obecnym parlamencie wciąż nie ma większości przeciwko PiS. To nie jest równoznaczne ze stwierdzeniem, że PiS wciąż ma swoją większość. Konieczność negocjowania z bodaj trzema grupkami, które uformowały się z postgowinowców po jego wyrzuceniu z koalicji i które, świadome wagi każdego głosu, eskalują żądania (a nawet z niektórymi posłami PiS, by przypomnieć efemeryczną frondę Girzyńskiego), jest dla uważanego za wszechmocnego Naczelnika wręcz upokarzająca.

Pytanie, po co PiS ta większość, jeśli ją w końcu prezes wynegocjuje? Jakie „nowe otwarcie" ma przegłosować? Mówi się o dokończeniu reform sądowych, co mogłoby przełamać odium niemożności – problem w tym, że choć sędziowska „kasta" nie cieszy się uznaniem ani sympatią społeczeństwa, to nie ma zahamowań w sprowadzaniu na własny kraj ataków z zewnątrz, a eurokraci chętni są z tego korzystać.

Podobno Jarosławowi Kaczyńskiemu imponuje spokój, z jakim znosi wszystkie ataki i porażki wybrany przez niego premier. Taka „siła spokoju" ma w polityce swoje znaczenie, ale problemów nie można w nieskończoność ignorować, licząc na to, że opozycja – tak jak w wypadku wschodniej granicy – zawsze w końcu zrobi władzy prezent i umocni w Polakach przekonanie, że PiS jest mniejszym złem. Jako mniejsze zło można trwać, ale żeby wygrać, musi PiS znaleźć w sobie jakąś nową energię i na nowo porwać wyborców. Na razie nic na to nie wskazuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

Jak motyl
Odczarować mity

Rak jajnika jest jednym z najczęściej występujących nowotworów złośliwych u kobiet.[1]

Owiany mitami, które trzeba odczarować.

Nikt nie zrobi tego lepiej niż one – „Niebieskie Motyle".

Poznaj historię siedmiu delikatnych, ale zarazem silnych i walecznych kobiet, które w książce „Jak motyl. Odczarować mity" dzielą się swoimi historiami o życiu z rakiem jajnika i nadziei. Towarzyszą im opowieści lekarzy, którzy wspierają je w walce z chorobą.

Wydawca:

gsk

Patronat:

STOWARZYSZENIE NIEBIESKI MOTYL

POLSKIE TOWARZYSTWO GINEKOLOGII ONKOLOGICZNEJ

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZE DLA ZDROWIA

1. Didkowska J., Nowotwory złośliwe w Polsce w 2017 roku.

NP-PL-OCU-ADVT-210001, 04.2021

eprasa.pl fa121f19c2

Z Jarosławem Sellinem, wiceministrem kultury, dziedzictwa narodowego i sportu
rozmawia Ryszard Gromadzki

Utopia kontra zdrowy rozsądek

FOT. ALEKSANDRA SZMIGIEL/REPORTER

eprasa.pl fa121f19c2

RYSZARD GROMADZKI: Będzie pozew ze strony rządu wobec Komisji Europejskiej za blokowanie funduszy wpisanych w Krajowy Plan Odbudowy?

JAROSŁAW SELLIN: Nie wiem. Nie zajmuję się tym. To jest pytanie raczej do kancelarii premiera czy do ministra do spraw europejskich.

Czy w relacjach Polski z Komisją Europejską mamy do czynienia z sytuacją graniczną? Od tego, jak rozstrzygnie się obecny kryzys, zależeć będzie, ile suwerenności zachowamy? Taka jest stawka tego sporu?

Mamy różne, odrębne instytucje w Unii. Co innego Komisja Europejska, co innego Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, co innego Parlament Europejski. Rzeczywiście w relacjach ze wszystkimi tymi instytucjami pojawiły się różnego rodzaju napięcia. Moim zdaniem mają one jednak wspólny mianownik. Tym wspólnym mianownikiem jest dominacja elit zasiadających w tych instytucjach, obecnych w nich polityków i działaczy, którzy kierują się, w mojej ocenie, postmarksowskim myśleniem w kategoriach determinizmu historycznego. Wydaje się im, że projekt ideologiczny, który określam jako lewicowo-liberalny, powinien zafunkcjonować w całym świecie, a zwłaszcza w świecie szeroko rozumianego Zachodu, i nic nie powinno w realizacji tego projektu przeszkodzić. Dlatego traktują takie sytuacje jak w Polsce, na Węgrzech czy od niedawna również w Słowenii, gdzie wygrywają siły polityczne spoza tego wielkiego bloku lewicowo-liberalnego, jako niemający prawa się zdarzyć „wypadek w historii", który trzeba jak najszybciej naprawić. Gdy wygrywa PiS czy Fidesz – to „zwycięstwo populizmu", gdy pseudochadecja, socjaliści czy liberałowie – to „zwycięstwo demokracji".

W związku z tą dominacją elit lewicowo-liberalnych rzeczywiście jest takie wrażenie, że szukane są różnego rodzaju preteksty we wszystkich tych instytucjach europejskich, by dokuczyć krajom, gdzie wygrywają konserwatyści, doprowadzić w nich do silnego wewnętrznego napięcia, dopomóc opozycji wobec nich, aby ta władza jak najszybciej się zakończyła. Jest taki wspólny mianownik w tych działaniach KE, TSUE czy PE.

Czy w związku z sytuacją, która wytworzyła się po niedawnych wyborach w Niemczech, zwycięstwie socjaldemokratów i perspektywie koalicji być może bez udziału chadecji, presja na państwa rządzone przez „populistów" może zostać zwielokrotniona? Przecież nie jest tajemnicą, że polityka prowadzona przez instytucje europejskie w istotnym stopniu inspirowana jest w Berlinie?

To jest moim zdaniem nieco bardziej skomplikowane. Ja nie widzę dużej różnicy w tym budowaniu napięcia w stosunku do nas czy do Węgier przez establishment pseudochadecki, socjalistyczny czy liberalny. A przekładając to na warunki niemieckie – może być różnie. Na przykład Zieloni, ciekawa partia, która na pewno w nowym rządzie się znajdzie, ideowo mają bardzo lewicowy charakter, ale już pod względem oceny sytuacji geopolitycznej wyróżniają się od pozostałych partii niemieckich tym, że są „rosyjskosceptyczni", i w tym mogą być do nas zbliżeni. Postrzegają Rosję jako kraj rządzony przez autorytarno-militarny reżim, łamiący prawa człowieka, w dodatku kompletnie niewrażliwy na ideologię ekologiczną. Ale ta odmienność Zielonych na niemieckiej scenie politycznej przejawia się też w odmiennej wrażliwości historycznej. Wśród Zielonych jest większa skłonność do tego, by nadal przyznawać, co Niemcy wyprawiali w czasie drugiej wojny światowej, i do chęci oddawania sprawiedliwości tym, których Niemcy pokrzywdzili w tym okresie. Myślę, że są też jedynym środowiskiem politycznym w Niemczech otwartym na dyskusję o reparacjach wojennych. Sytuacja jest więc zniuansowana. Rząd niemiecki nie będzie, tak jak dotąd, dwupartyjny, lecz trójpartyjny, a to da nam większe pole manewru politycznego w relacjach z Niemcami. Pod jednym względem może się okazać, że będzie miała miejsce kontynuacja tej polityki zmierzającej do pomocy dzisiejszej polskiej opozycji i zmiany władzy w Polsce. Jednak możemy znaleźć w jednym środowisku politycznym, które znajdzie się w nowym rządzie niemieckim, więcej zrozumienia np. dla blokady Nord Stream 2 czy dla realnej oceny polityki rosyjskiej.

Niemiecką politykę czy wręcz rację stanu określa interes gospodarczy, kształtowany przez potężny w tym kraju kompleks przemysłowy. Czy wobec siły oddziaływania tego lobby osobny głos Zielonych w wielu kluczowych sprawach, choćby w kwestii polityki energetycznej, nie będzie stłumiony?

To prawda. Rzeczywiście polityka niemiecka jest w dużym stopniu wyznaczana przez interesy ekonomiczne. Ekolodzy wspierają te działania przemysłu, które koncentrują się na budowie odnawialnych źródeł energii. Z kolei socjaldemokraci nie są tak silnie wrażliwi na postulaty wielkiego przemysłu niemieckiego jak wolni demokraci czy chadecy. Ale oczywiście można uznać, że establishment polityczny Niemiec bardzo silnie kieruje się interesami gospodarki niemieckiej i niemieckich firm.

Samorządy wojewódzkie, ale nie tylko, które dwa lata temu podjęły uchwały przeciwstawiające się indoktrynacji ideologii LGBT i przenikaniu jej do naszego systemu prawnego i edukacyjnego, teraz – pod wpływem szantażu finansowego Brukseli – wycofują się z tych uchwał, zmieniając ich treść na poprawną politycznie. Robią to sejmiki rządzone przez PiS. Czy to nie wyprzedaż pryncypiów? Po taniości...

Nie oceniałbym tego tak dramatycznie. Tych uchwał było wiele, podejmowanych na różnych szczeblach władzy samorządowej. Mówi pan o uchwałach sejmików wojewódzkich, ale były też uchwały rad miejskich, uchwały gmin czy powiatów. Były też podejmowane w konkretnym kontekście historycznym, gdy wzmogła się akcja środowisk lewackich, by wysyłać do szkół różnych „seksedukatorów", „latarników" itp. Uchwały te miały różny charakter. Niektóre w retoryce wyłącznie pozytywny, sprowadzający się do tego, że będą wspierać w polityce społecznej Kartę praw rodziny. Inne miały charakter obronny, że będą chronić przed ekspansją „ideologii LGBT" czy „ideologii gender". Część samorządów wycofała się z tych zapisów, cześć nie. Oczywiście dostrzegam w tej sprawie to, że radni tych różnych szczebli samorządu nie chcą tracić pieniędzy, które się im należą, które procedujemy na przyszłe lata, bo taka groźba nad tymi konkretnymi samorządami zawisła. Rozumiem to, że tych pieniędzy nikt nie chce tracić. Ale też nie znając treści wszystkich uchwał, dostrzegam, że nie ma tam takiego totalnego wycofania się z chęci promowania pozytywnych wartości, tylko wycofanie się z tych zapisów, które mogłyby być – moim zdaniem niesłusznie – ale jednak interpretowane jako „dyskryminacyjne".

Jakkolwiek by tłumaczyć intencje samorządów, wygląda to na kapitulację...

eprasa.pl fa121f19c2

Tak surowo bym tego nie oceniał. Od czasu podjęcia tych uchwał sytuacja zmieniła się o tyle, że wiadomo już, że ta ofensywa lewackich środowisk na szkoły nie powiodła się, że są wystarczające zabezpieczenia prawne, by do niej nie dopuścić. To efekt działania MEiN, kuratorów, rodziców, rozsądnych dyrektorów szkół. Te zmiany uchwał to raczej przejaw pragmatyzmu i pamięci o tym, że i tak w obszarze dotyczącym kwestii moralnych czy rodziny Unia Europejska nie ma prawa nam niczego narzucić, bo tak skonstruowane są traktaty europejskie. W tej materii decydujemy samodzielnie na bazie prawodawstwa krajowego.

Nie obawia się pan, że to niebezpieczny precedens, który zachęci instytucje europejskie do jeszcze mocniejszego okładania nas „pałką praworządności"? Cytowany w polskich mediach anonimowy komisarz Unii nie krył satysfakcji po tym, jak sejmiki wojewódzkie zaczęły wycofywać się z uchwał, które miały zastopować ideologię LGBT na ich terenie.

Nie wiem, o jakim komisarzu pan mówi, i mnie jego satysfakcja mało interesuje. Mam krótki komunikat dla tego komisarza: dopóki moje środowisko polityczne rządzi w Polsce, dopóty żadnej realizacji politycznych i destrukcyjnych moralnie postulatów lewackich ruchów politycznych nie będzie. Nie będzie sformalizowanych prawem związków partnerskich, nie będzie „małżeństw jednopłciowych", nie będzie adopcji dzieci przez pary homoseksualne. Taki mam komunikat dla tego uradowanego komisarza.

Jakie są perspektywy na odwrócenie dominującego w Europie trendu lewicowo-liberalnego? Czy wahadło historii może się odchylić w inną stronę? Czy obserwując Realpolitik, możemy stwierdzić, że to tylko pobożne spekulacje?

Nie wiem, jak długo to potrwa, ale zawsze wierzę, w dłuższej perspektywie, w zwycięstwo zdrowego rozsądku nad utopijnymi ideologiami konstruującymi „nowego człowieka" czy „nowy, wspaniały świat". Z utopijnymi ideologiami w naszej cywilizacji Zachodu często musieliśmy się długo zmagać, niekiedy przez dziesięciolecia. I cierpieć z powodu prób ich wdrażania. Jednak prędzej czy później przegrywały one ze zdrowym rozsądkiem. Wydaje mi się, że w tym kontekście interesujące jest obserwowanie wyników wyborów do Parlamentu Europejskiego, bo one są probierzem trendów ideowych w Europie. Po wyborach w roku 2019 udział procentowy sił lewicowo-liberalnych w europarlamencie jest mniejszy niż w wyniku wyborów z roku 2014. Oczywiście one nadal dominują, ale w mniejszym stopniu. Liczę na to, że ten trend będzie się umacniał i takiego dyktatu tych sił po kolejnych wyborach już nie będzie.

Ufam w powrót zdrowego rozsądku również wśród elit politycznych szeroko rozumianego świata Zachodu i ufam też w efekt tego, co niektórzy politolodzy czy obserwatorzy sceny politycznej określają jako „bunt narodów" wobec coraz silniejszej uzurpacji władzy przez biurokratów brukselskich, którzy przekształcają Unię Europejską w projekt ideologiczny, a nie pragmatyczny projekt współpracy państw narodowych w Europie.

Porozumienie europejskich partii konserwatywnych, którego udziałowcem jest PiS, to projekt dobrze rokujący na przyszłość? To może być zaczyn owego zwrotu w europejskiej polityce?

Tak to postrzegam. Sił, które tego wspólnego mianownika poszukują, które można określić jako konserwatywne, jest, jak już powiedziałem, więcej w Parlamencie Europejskim wybranym w 2019 r. niż w 2014 r. Są one obecne niemal w każdym kraju Unii Europejskiej. Oczywiście one są bardzo zróżnicowane, niekiedy bardzo się od siebie różnią, ale ten wspólny mianownik można by opisać, że są to siły konserwatywne. To porozumienie było podpisane po to, żeby nie dać się wykluczyć z prac nad reformą Unii Europejskiej, co prędzej czy później będzie musiało się dokonać. W takim kształcie, w jakim jest obecnie Unia Europejska, i z tym uzurpowaniem władzy nad nią przez siły lewicowo-liberalne, ideologizowaniem tego projektu politycznego nie można się w dłuższej perspektywie godzić. Wszyscy już dyskutują o tym, jak Unię Europejską w przyszłości zmieniać, również prawnie i traktatowo. Chcemy w tym uczestniczyć jako siły prawicowo-konserwatywne. Stąd to porozumienie. Chcemy mieć swój głos w tej sprawie.

Czy wobec skali konfliktu z instytucjami unijnymi, totalnej obcości ideologicznej Unii w jej obecnym kształcie nie powinniśmy poważnie myśleć nad polexitem? Przynajmniej w kategorii planu ewentualnościowgo?

Nie zgadzam się z tym, że powinniśmy o tym poważnie myśleć. Jesteśmy geopolitycznie położeni przy „rowie tektonicznym". Ten „rów tektoniczny" polega na tym, że za naszą wschodnią granicą, co odczuwamy szczególnie w ostatnich tygodniach, jest strefa niepewności, niestabilności i agresji. W związku z tym w interesie narodowym Polski jest obecność w dwóch najważniejszych strukturach szeroko rozumianego świata Zachodu, nie tylko w NATO, lecz także w Unii Europejskiej. Nawet jeśli na nią narzekamy, nawet jeśli dominujące w niej trendy nam się nie podobają i chcemy ją bardzo mocno zmieniać, bo widzimy, że poszła nie w tę stronę, w którą sobie życzymy, to jednak obecność w tej strukturze jest pewnym bezpiecznikiem, który w przyszłości może wymusić solidarność świata Zachodu wobec nas, jeśli znaleźlibyśmy się w sytuacji bardzo poważnego zagrożenia bytu państwowego. Dlatego uważam, że bardziej trzeba myśleć o walce o zmianę sytuacji w Unii Europejskiej, a nie o jej opuszczaniu.

Czy dyskurs o naszej obecności w Unii nie powinien być wolny od mitologizowania prymatu korzyści wynikających z członkostwa we Wspólnocie? Ostatnie wyliczenia opublikowane przez profesorów Krysiaka i Grossego wskazują, że ten bilans dalece odbiega od utrwalonego stereotypu?

Nie mam nic przeciwko dyskursowi. Z dużym zainteresowaniem ten dyskurs obserwuję. Ale moim zdaniem raczej rację mają ci, którzy uważają, że bilansu naszej 17-letniej już obecności w Unii nie należy oceniać wyłącznie na podstawie kryterium przepływów finansowych. Pamiętajmy, że blisko 40-milionowy kraj dzięki obecności w Unii ma też dostęp do półmiliardowego, zamożnego rynku. Proszę zwrócić uwagę, jak dzięki temu odrodził się polski przemysł, jak sobie świetnie radzi polskie rolnictwo, dzięki czemu wzrosła zamożność polskiej wsi, jak silną pozycję ma nasz sektor meblarski, jak opanowaliśmy rynek transportu samochodowego. Te przykłady można mnożyć. To także korzyści wynikające z zagranicznych inwestycji w Polsce, skutkujące transferem technologii i miejscami pracy. Moim zdaniem na bilans naszej obecności w Unii trzeba patrzeć szerzej. Uważam, że gdyby nie nasza formalna obecność w Unii, to takiego postępu gospodarczego, wzrostu zamożności Polaków, który ma miejsce w ostatnich latach, po prostu by nie było.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

Są na tym świecie osoby, dzięki którym młodzi nie muszą się lękać

Wielu młodych ludzi lęka się przyszłości. Choć są niezwykle zdolni, nie wiedzą, czy będą mogli studiować, czy pozwoli im na to sytuacja finansowa rodziny. Martwią się o to, czy pochodząc z małych miejscowości, odnajdą się w wielkim mieście. Na szczęście są ludzie, dzięki którym każdego roku setki młodych ludzi otrzymuje szansę na lepszą przyszłość

POCHODZĄ Z MAŁYCH MIEJSCOWOŚCI

Są młodzi ludzie, którzy mają dobre oceny, wygrywają konkursy, już w szkole podstawowej odkrywają pasję do jednej z dziedzin nauki. Nie brakuje im wytrwałości, ambicji i tego błysku w oku, który towarzyszy wielkim marzeniom. Mogą być lekarzami, prawnikami, inżynierami lub naukowcami. Wielu z nich jednak nigdy nie wyjedzie z małych miejscowości, z których pochodzą. Sytuacja finansowa rodziny nie pozwoli im na poświęcenie się nauce.

Z LUDZI I DLA LUDZI – DOBRO PROCENTUJE

Są i takie młode osoby, które – pomimo trudnej sytuacji rodzinnej – rozpoczęły studia. Otrzymały wsparcie od ludzi dobrego serca – nie zapominają o tym i przekazują dobro dalej. Są wolontariuszami – wszędzie, gdzie ktoś ich potrzebuje. Pomagają starszym osobom w robieniu zakupów i domowych porządkach, towarzyszą chorym w szpitalach i zakładach opieki, niosą nadzieję w domach dziecka. Pokazują, że dobro procentuje.

ZNAJDUJĄ BOGA

Rozpoczęcie studiów, wyprowadzka z rodzinnego domu, początek samodzielnego życia – to pewna cezura. Odtąd trzeba decydować samemu i brać odpowiedzialność za podjęte decyzje. Wielkie miasto to wiele możliwości, jednak „nie wszystko przynosi korzyść" – jak pisał św. Paweł. Gdy młody człowiek podejmuje kluczowe dla swego życia decyzje, potrzebuje przewodnika. Spotkanie z Żywym Bogiem w Eucharystii i Słowie, szczera rozmowa z duszpasterzem to sprawdzony sposób na kształtowanie duchowości i osobowości młodego człowieka. Pomocą w tym zadaniu jest towarzystwo rówieśników.

LEKARSTWO NA LĘK

Powyższe akapity z różnych perspektyw opisują historie stypendystów Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia". Prowadzi ona program stypendialny dla zdolnej i niezamożnej młodzieży z małych miejscowości. Wsparcie, które można otrzymać już w VII klasie szkoły podstawowej, trwa aż do zakończenia studiów. Oprócz wypłacanych co miesiąc pieniędzy stypendyści otrzymują formację w duchu nauczania św. Jana Pawła II.

Tymi, którzy każdego roku dają setkom młodym ludzi szansę na lepszą przyszłość, są Państwo. To Państwo od ponad 20 lat wspierają zbiórkę Dnia Papieskiego. W tym roku odbędzie się on 10 października pod hasłem „Nie lękajcie się". Wrzucone tego dnia do puszek w kościołach lub na mieście pieniądze zostaną przeznaczone na fundusz stypendialny, który pomógł już ponad 5 tys. młodych ludzi zrealizować marzenia o lepszej przyszłości.

Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia" jest organizacją pożytku publicznego o numerze KRS 0000 150 776. Można ją wesprzeć, wysyłając SMS o treści STYPENDIA pod numer 74265 (4,92 zł z VAT), a także biorąc udział w październikowych obchodach XXI Dnia Papieskiego. Więcej informacji o Fundacji i jej stypendystach można znaleźć na stronie internetowej dzielo.pl.

Hubert Szczypek

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl fa121f19c2

Maciej Pieczyński

Polska to rasistowski, nazistowski kraj, który odmawia pomocy uchodźcom, a jednocześnie przerzuca na Białoruś ekstremistów i terrorystów, by destabilizować tamtejszą sytuację. Tak media Łukaszenki opisują kryzys migracyjny

Granice

We wtorek 21 września Andrzej Duda pojawił się na okładce „Mińskiej Prawdy", państwowego dziennika wydawanego przez władze obwodu mińskiego. Grafik umieścił kod kreskowy pod nosem polskiego prezydenta tak, by współczesny antybohater białoruskiej propagandy przypominał Hitlera. Okładka krzyczy oskarżeniem, wyrażonym w krótkim haśle „karateli!", czyli „pacyfikatorzy". To słowo – raczej rzadko używane w języku polskim – w rosyjskojęzycznej publicystyce pojawia się nagminnie. Ostatnio „karatelami" nazywano wojska ukraińskie walczące w Donbasie z „pokojowymi obywatelami", czytaj: z prorosyjskimi separatystami. „Karateli" zawsze przychodzą z Zachodu i zawsze pacyfikują zwolenników Moskwy. Redakcja „Mińskiej Prawdy" informuje swoich czytelników: „Prezydent Polski już 2 września wprowadził stan wyjątkowy na granicy. Woli nie zauważać bestialskich czynów, jakich dopuszczają się jego policjanci". Obraz, kreślony przez dziennikarkę „Mińskiej Prawdy" Nadieżdę Sablinę, jest typowy dla propagandy Mińska. Oto do bram Unii Europejskiej dobijają się tysiące uchodźców, których zaprosili sami przywódcy UE, głosząc wszem wobec tolerancję i otwartość. „Kolektywny Zachód" ma moralny obowiązek ich przyjąć, ponieważ uchodźcy uciekają z państw zniszczonych wcześniej w rezultacie interwencji NATO albo „kolorowych rewolucji", organizowanych tam przez Waszyngton w celu obalenia legalnych rządów. Niestety, zła Europa nie tylko nie chce im pomóc, lecz także stawia na ich drodze śmiercionośny drut kolczasty. A kiedy już ktoś się przez te zasieki przedostanie, to zostaje zamordowany przez litewskie albo polskie specsłużby, a jego ciało zostaje przerzucone na stronę białoruską, żeby o tę zbrodnię oskarżyć władze w Mińsku. Sablina przytacza przykłady rzekomego znęcania się Straży Granicznej nad uchodźcami, nijak nieudokumentowane i niepotwierdzone przez Warszawę. Jaka jest w tym wszystkim rola Białorusi? Oczywiście pozytywna. Polskie służby przymusowo wypychają migrantów przez zieloną granicę na Białoruś. O tym, że owych migrantów wcześniej do Polski przerzuciły białoruskie służby, już czytelnik, widz czy słuchacz się nie dowie. W końcu, jak pisze Sablina, Białoruś jest tylko „państwem tranzytowym" na drodze Irakijczyków czy Afgańczyków do lepszego, zachodniego świata. Nie chcą oni zostać w państwie Łukaszenki, więc wspaniałomyślny dyktator nie zamierza im przeszkadzać. Białoruskie służby jedynie „pomagają" biednym uchodźcom, wypchniętym przez nieczułych Polaków za granicę.

MIŃSK WINI WARSZAWĘ

Telewizja Łukaszenki epatuje obrazkami głodnych, zmarzniętych, umierających migrantów, którzy cierpią, gdyż rasistowski, nazistowski rząd w Warszawie nie chce ich wpuścić do lepszego świata. Obozy dla uchodźców w Polsce i na Litwie nazywane są wprost obozami koncentracyjnymi. „Oto, jak życie ludzkie straciło wszelką wartość w systemie europejskich zasad humanizmu. Szczególnie gdy chodzi o człowieka o innym kolorze skóry. Migranci z Iraku, Afganistanu i Afryki, pozbawieni jedzenia i pomocy medycznej, umierają jeden za drugim na polskiej granicy. Kraj, w którym na poziomie państwowym rehabilitowany jest nazizm, stał się godnym kontynuatorem metod stosowanych przez zwolenników wyższości rasowej" – tak reportaż o sytuacji na granicy z Polską zapowiedziała Polina Szuba, prowadząca „Panoramę" na kanale ATN, nazywając działania SG „ludobójstwem". W samym materiale reporter Andriej Sycz przedstawił przypadki uchodźców, jakoby torturowanych przez polskie służby, wypchniętych na Białoruś i uratowanych – bądź nie – przez tamtejszych pograniczników. W programie informacyjnym stacji Biełaruś 1 wprost mówi się o tym, że migranci, których ciała znaleziono po obu stronach granicy, zostali zabici przez polskie służby. Mińsk wini Warszawę nawet za śmierć 39-letniej kobiety, której ciało znaleziono 19 września po stronie białoruskiej. Według wersji tamtejszych

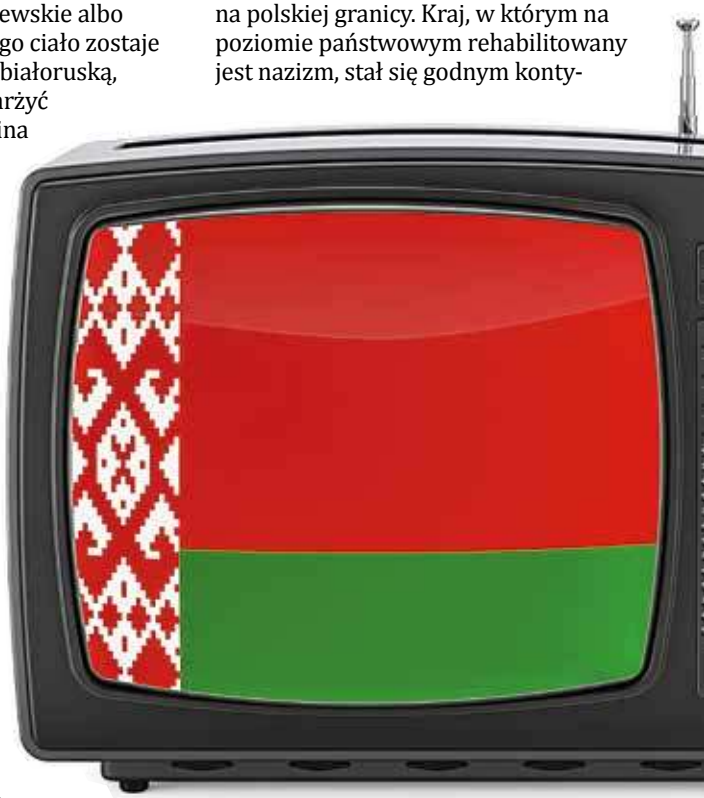

eprasa.pl fa121f19c2

służb miała ona zostać pobita przez funkcjonariuszy SG i, bez butów, przewieziona na granicę, a następnie, już martwa, wywleczona na stronę białoruską. Tymczasem, jak podaje SG, było zupełnie inaczej. Polscy pogranicznicy zobaczyli kobietę leżącą po białoruskiej stronie i powiadomili tamtejsze służby. Zanim nastąpiła reakcja Białorusinów, było już za późno.

Telewizja Łukaszenki wmawia swoim widzom, że bezduszni polscy pogranicznicy nie chcą uchodźcom podać nawet kromki chleba, a jednocześnie chwali białoruskich pograniczników, którzy tym samym uchodźcom przywożą kilogramy jedzenia. Ponadto propagandyści zapewniają, że przedstawiciele państwa białoruskiego niejednokrotnie proponowali uchodźcom azyl. Ci jednak odmawiali, bo przecież ich celem jest Zachód. Tymczasem jest wiele dowodów na to, że białoruscy pogranicznicy wręcz zmuszali migrantów do przekraczania granicy. „Białorusini, oczywiście, uratują każdego, kto został skrzywdzony przez europejskich demokratów, podzielą się ciepłymi rzeczami i domowymi produktami. Ale to nie znaczy, że będziemy cierpliwie znosić próby destabilizacji naszej wewnętrznej sytuacji" – pisze Warwara Morozowa na portalu „Biełaruś siegodnia". Tak – to Polska destabilizuje sytuację na Białorusi, odsyłając z powrotem na jej terytorium przybyłych stamtąd migrantów…

FOT. ADOBE STOCK

Mińsk solidaryzuje się z tą częścią polskiej opozycji, która krytykuje polski rząd za politykę migracyjną. W programie „Klub redaktorów" na antenie telewizji Biełaruś 1 komentatorzy zgodnie potępili stan wyjątkowy, pochylając się nad stanem wolności słowa nad Wisłą. Politolog Andriej Kriwoszejew pochwalił inicjatywę „Dziennikarze na granicy". Andriej Sycz w swoim materiale dla „Panoramy" mówił o „zdrowo myślących Polakach", którzy postanowili zaprotestować pod komendą SG „przeciwko bestialskim działaniom swoich pograniczników". Przekaz białoruskiej propagandy prawie niczym nie różni się od przekazu lewicowo-liberalnej części polskiej sceny polityczno-medialnej. Działania polskiego rządu w obu przypadkach są oceniane jako rasistowskie, ksenofobiczne, agresywne itd. Nikołaj Szczekin na portalu „Biełaruś siegodnia" nazywa Polskę, Litwę i Łotwę zbrodniczymi reżimami, które na obrzeżach Unii Europejskiej stworzyły „strefę terroru i szantażu", podporządkowaną bezpośrednio Stanom Zjednoczonym. „Marionetkowe elity" tych państw sprawdzają szczelność białoruskich granic, przepychając przez nie tysiące migrantów, a część z nich torturując i zabijając. „Junta", rządząca Polską, powinna zostać osądzona przez międzynarodowy trybunał za próbę destabilizacji Białorusi za pomocą kryzysu migracyjnego. Zaatakowany przez wrażą Warszawę Mińsk powinien, zdaniem Szczekina, dążyć do zacieśnienia sojuszniczych więzów z Moskwą. Wiceszef białoruskiego MSW Nikołaj Karpienkow oświadczył wręcz, że Polska i kraje bałtyckie przerzucają na Białoruś ekstremistów w szeregach nielegalnych migrantów. Mińsk zarzuca Warszawie dokładnie to, co według polskich danych sam praktykuje.

propagandy

LUKA W NARRACJI

Propaganda Łukaszenki, epatując obrazkami biednych uchodźców, trafia na podatny grunt w lewicowo-liberalnej części polskiej opinii publicznej, która mniej lub bardziej świadomie rozpowszechnia punkt widzenia Mińska. Jednak w tej „humanitarnej" narracji jest wyraźna luka. Oto migranci, wpychani przez Mińsk do Polski, są biednymi uchodźcami, których nie chce przyjąć rasistowski, nazistowski rząd. Tymczasem ci sami biedni uchodźcy, zawracani przez polskie służby na Białoruś, stają się nagle groźnymi ekstremistami. Wysyłanie migrantów do Polski to akt białoruskiego humanitaryzmu. Wysyłanie migrantów na Białoruś to akt polskiego terroryzmu. Przy czym propagandyści Mińska zarzucają Warszawie podwójne standardy. Bo Polacy twierdzą, że Białoruś jest państwem niebezpiecznym dla własnych obywateli, za to bezpiecznym dla uchodźców.

Nadieżda Sablina w cytowanym już artykule przyznała, że Białoruś osłabiła kontrolę na granicy z Polską. Dziennikarka przekonuje jednak, że powodem było przegrupowanie służb na granicę z Ukrainą oraz do centrum kraju (czytaj: do walki z opozycją). Jednocześnie, dodaje Sablina, Łukaszenka nieraz podkreślał, że w warunkach bezpodstawnych sankcji i nacisków ze strony UE „obrona geopolitycznych interesów Zachodu przez białoruskie struktury siłowe byłaby szaleństwem". Sablina zauważa, że z nadejściem zimy coraz więcej będzie przypadków śmierci migrantów na granicy. Oczywiście niezawinionych przez Białoruś, która przecież pełni jedynie fukcję tranzytową – bo w końcu żaden propagandysta Łukaszenki nie przyzna, że to właśnie Mińsk kieruje falami migrantów. Według Sabliny uszczelnianie granicy przez Warszawę to jedynie prowadzona barbarzyńskimi metodami walka ze skutkami kryzysu. Polsce i krajom bałtyckim „dobrze radzi", aby zmierzyły się z przyczynami i usiadły do stołu z Łukaszenką. Przekaz jest zawoalowany, ale oczywisty. Mińsk przestanie zalewać kolektywny Zachód falami migrantów tylko wówczas, gdy tenże Zachód zrezygnuje z jakichkolwiek nacisków na „ostatniego dyktatora Europy". W przeciwnym wypadku migranci będą dalej umierać, a Łukaszenka – obwiniać o ich los Polskę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

Drogi spór

Łukasz Warzecha

Turów jest dla rządu Zjednoczonej Prawicy zarazem problemem i polityczną okazją. Problemów jest zdecydowanie więcej niż korzyści

Na zdjęciu satelitarnym kopalnia odkrywkowa węgla brunatnego w Turowie, tuż obok Bogatyni, położona w dziwnym granicznym „worku" polskiego terytorium wciśniętym pomiędzy Czechy a Niemcy, jawi się jako wielka, jasna plama. Region jest węglonośny. Niedaleko, po niemieckiej stronie, w kraju związkowym Saksonii na Łużycach, są cztery odkrywki węgla brunatnego i korzystające z nich elektrownie: Jänschwalde, Schwarze Pumpe i Boxberg. Po stronie czeskiej są mały Gródek nad Nysą, niewielkie góry, las, malowniczy zameczek w Lemberku, ale są również odkrywki. To kraj liberecki (kraje w Czechach to odpowiedniki naszych województw) ze stolicą w mieście Liberec.

Po stronie polskiej o Turów toczy się gigantyczna polityczna awantura z prężeniem muskułów wobec TSUE, buńczucznymi zapowiedziami, że Turowa nie unieruchomimy, a kar w wysokości 500 tys. euro dziennie też płacić nie będziemy. Po stronie niemieckiej, która jest potencjalnym beneficjentem konfliktu, pojawia się już oficjalne zainteresowanie sprawą (nieoficjalne trwa od początku). Kilkanaście dni temu minister sprawiedliwości Saksonii, Katja Meier z partii Zielonych (potencjalnego uczestnika nowego niemieckiego rządu), zleciła analizę stanu sytuacji wokół Turowa pod kątem zgodności z… polskim systemem prawnym. Analizę mają zresztą wykonać polscy eksperci. Po stronie czeskiej z kolei zainteresowanie problemami z granicznego trójstyku jest marginalne – wbrew temu, co twierdzą niektórzy polscy politycy i media. Skąd takie różnice w podejściu?

Najpierw spójrzmy na Polskę. Turów jest dla rządu Zjednoczonej Prawicy zarazem problemem i polityczną okazją. Problemów jest zdecydowanie więcej niż korzyści. Po pierwsze – ponieważ podważa opowieść o niezwykłej skuteczności premiera w negocjacjach z sąsiadem, a przecież sam Mateusz Morawiecki ogłaszał już, że sprawa jest załatwiona i Czesi za moment skargę z TSUE wycofają. Po drugie – ponieważ kara finansowa za niewykonanie zabezpieczenia – niezależnie od tego, co myślimy o samej procedurze – to już realne i wymierne uderzenie w polskie interesy. Nawet jeżeli kara ta jest dziesięciokrotnie niższa niż ta, której domagała się Praga. Po trzecie – bo Turów to tysiące pracowników z okolicy, a nawet chwilowe unieruchomienie kopalni oznacza prawdopodobnie niemożliwość wznowienia wydobycia ze względów technologicznych.

Po czwarte – co być może najistotniejsze – problem z Turowem wybija na pierwszy plan sprawę, która dla rządzących jest już jednym z naczelnych kłopotów: ceny energii, a co za tym idzie – problem kosztów życia w ogóle, bo oczywiście ceny energii (nie tylko prądu) są potężnym czynnikiem inflacyjnym. Turów nie jest co prawda bezpośrednio powiązany z kwestią spekulacji uprawnieniami do emisji CO_2, co jest w tej chwili najbardziej bezpośrednią przyczyną szykowanych podwyżek, jednak łączy się z tym na zasadzie skojarzeń. To w końcu nie tylko kopalnia, lecz także elektrownia (elektrownie oparte na węglu brunatnym dostarczają nieco ponad 17 proc. mocy do polskiej sieci energetycznej), a elektrownia to cena prądu.

„OSWAJANIE" Z DROGIM PRĄDEM

Podczas gdy ceny uprawnień do emisji osiągają na rynku już 60 euro

eprasa.pl fa121f19c2

o Turów

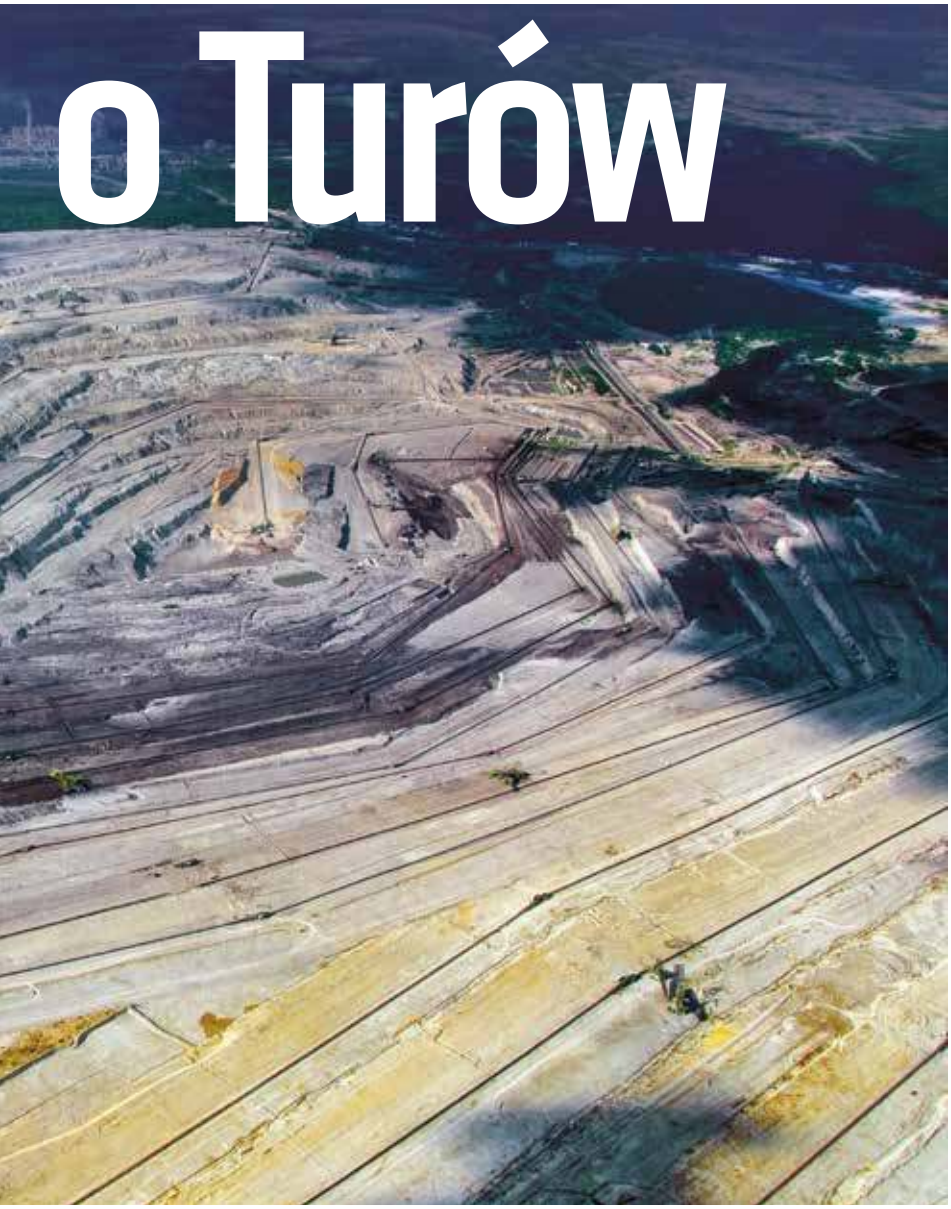

FOT. ADOBE STOCK

za tonę, rząd toczy wizerunkową grę o odsunięcie od siebie wściekłości wyborców. A pamiętać trzeba, że najbardziej narażeni na ubóstwo energetyczne i pauperyzację z powodu cen energii są właśnie wyborcy PiS – po prostu dlatego, że wśród nich jest największa liczba osób względnie ubogich. Gdy okaże się, że ci ludzie muszą decydować, czy lepiej raz w tygodniu uruchomić piekarnik czy pralkę, bo na odpalenie obu tych urządzeń stać ich już nie będzie, PiS może zanotować tąpnięcie w sondażach.

Chyba że uda mu się zręcznie rozegrać rzecz PR-owsko. W tym celu Polski Komitet Energii Elektrycznej – organizacja branżowa, na której działalność składają się różne podmioty, głównie państwowe, a w największej części Polska Grupa Energetyczna – zaplanował kampanię, która ma „oswoić" Polaków z drogim prądem. Oznacza to, mówiąc wprost, że za publiczne pieniądze Polakom zafunduje się pranie mózgów, które będzie ich miało przekonać, że prąd słusznie jest drogi i nie należy się przeciwko temu buntować. Przetarg na zorganizowanie kampanii wygrało konsorcjum francuskich firm Publicis Consultants, Publicis Worldwide i MSL Group.

Sprawa finansowania tego przedsięwzięcia wywołała wielkie wątpliwości. Urząd Regulacji Energetyki wyjaśnił, że tego typu działań PR-owskich nie powinno się finansować z wpływów od tych odbiorców, których dotyczy regulacja cen przez URE. Możliwe jest natomiast ich finansowanie z pieniędzy pozyskanych ze sprzedaży energii poza systemem regulowanym.

22 września senator PO Krzysztof Brejza skierował do odpowiadającego za spółki Skarbu Państwa wicepremiera Jacka Sasina interpelację, w której pytał m.in. o koszt kampanii oraz o to, czy któreś z ministerstw uczestniczy w „akcji oswajania Polaków z podwyżkami cen prądu". Do momentu, gdy powstawał ten tekst, żadna odpowiedź nie wpłynęła (na odpowiedź na interwencję senatorską urzędnicy mają 14 dni).

Skala podwyżek, o które firmy energetyczne zwróciły się do URE, nie jest publicznie znana. Jedynie prezes Enei napomknął nieopatrznie, że we wnioskach może być nawet mowa o 40 proc. To oczywiście nie oznacza, że na tak wysoki skok cen zgodzi się urząd, ale pokazuje, o jakim rzędzie wielkości jest mowa.

Bardzo ciekawym epizodem w tym wątku był zablokowany przez telewizję Republika wywiad Ewy Stankiewicz w cyklu „Otwartym Tekstem" z Piotrem Naimskim, pełnomocnikiem rządu do spraw strategicznej infrastruktury energetycznej. Przed zaplanowaną emisją programu w mediach społecznościowych pojawił się półtoraminutowy spot złożony z krótkich wypowiedzi gościa i pytań do niego. Znalazły się w nim przynajmniej dwa arcyciekawe spostrzeżenia. Pierwsze to pytanie, kto „podpisał" Zielony Ład, z którego wynikają dzisiejsze problemy Polski. Naimski odpowiada (tak wynika ze skrótu programu), że to kwestia ostatnich kilku miesięcy. To wie każdy, kto obserwował poczynania polskich władz. Najnowsze, kolejne już zaostrzenie celów polityki klimatycznej – 55 proc. redukcji do 2030 r. – to grudzień ubiegłego roku i zgoda na ten krok premiera Mateusza Morawieckiego. Żeby było zabawniej, ustępstwo Morawieckiego miało być podyktowane porzuceniem w zamian mechanizmu „pieniądze za praworządność", co – jak dzisiaj widać – nie do końca się jednak udało.

Dalej Stankiewicz pyta, kto negocjował politykę klimatyczną. Naimski odpowiada, że głównie Ministerstwo Klimatu. Stankiewicz stwierdza, że minister Michał Kurtyka w tym samym czasie kandydował na sekretarza generalnego OECD. I to się zgadza. Polska zgłosiła kandydaturę Kurtyki na tę funkcję pod koniec października 2020 r. W grudniu trwały również rozmowy dotyczące kształtu pakietu „Fit for 55", przedstawionego ostatecznie

eprasa.pl fa121f19c2

przez Fransa Timmermansa w lipcu, w których uczestniczył właśnie Kurtyka. Według moich rozmówców polski minister był do tego przedsięwzięcia fatalnie przygotowany. W styczniu tego roku Polska kandydaturę Kurtyki na sekretarza generalnego OECD wycofała. Zatem minister negocjował sprawy dla Polski kluczowe, mając jednocześnie w tyle głowy, że wkrótce może go czekać autoprezentacja przed międzynarodowym gremium jako kandydata do kierowania nim. Trudno tu nie dostrzegać konfliktu interesów.

Jest tajemnicą poliszynela, że Michał Kurtyka jest na wylocie już od miesięcy, a do katalogu jego zaniedbań dołożono w ostatnim czasie właśnie Turów. To bowiem Ministerstwo Klimatu wydaje koncesję na wydobycie, dla Turowa zaś w kwietniu tego roku przedłużono ją aż do 2044 r. – nie rozwiązawszy problemu z Czechami, co skutkowało wnioskiem Pragi o nałożenie na Polskę kar. Pytanie brzmi tylko, czy minister klimatu – który wciąż pełni swoją funkcję głównie dlatego, że nie ma go kim zastąpić na tym wyjątkowo gorącym stołku – nie jest tutaj przede wszystkim kozłem ofiarnym, nawet jeśli jest przy tym niekompetentny. To jednak nie od niego zależały kluczowe polityczne decyzje, takie jak grudniowe podwyższenie progu redukcji emisji CO_2.

POTRZĄSANIE SZABELKĄ

Problemy powiązane pośrednio lub bezpośrednio ze sprawą Turowa mają zatem charakter strategiczny i będą przynosić skutki przez lata, a może nawet dekady. Inaczej ma się sprawa z ewentualnymi korzyściami dla rządzących, które sprowadzają się do kwestii wizerunkowych. Nałożenie na Polskę kary za nieprzestrzeganie zabezpieczenia TSUE – którego realizacja byłaby faktycznie zabójcza dla kopalni, elektrowni i bilansu energetycznego Polski – daje rządzącym okazję do pokazania się jako władza twardo walcząca o polskie interesy. Problem w tym, że ta twarda walka sprowadza się głównie do potrząsania szabelką, ale nie zbliża nas do faktycznego rozwiązania problemu.

Przy okazji zaś coraz wyższej pozycji kwestii cen energii na liście problemów wzmaga się konflikt polityczny po prawej stronie. Solidarna Polska coraz śmielej i głośniej wskazuje na zawinienia premiera Morawieckiego, a Janusz Kowalski, który wyrósł w tej formacji na głównego specjalistę od kwestii polityki klimatycznej, co chwila opowiada o druzgocących dla Polski konsekwencjach obecnego kursu. Na problemach z cenami prądu żywi się także Konfederacja, jedyna otwarcie eurosceptyczna formacja w polskim parlamencie. PiS ma tutaj problem, bo z UE – wbrew twierdzeniom części opozycji – występować nie zamierza, a wręcz przeciwnie: potrzebuje jej nie tylko jako źródła pieniędzy, lecz także jako oponenta, w kontraście do którego można wzmacniać swój przekaz. Pozornym paradoksem jest, że wyjście z UE – czysto teoretyczne – oznaczałoby dla PiS usunięcie jednego z fundamentów wizerunku tego ugrupowania.

Jak wygląda sprawa Turowa z punktu widzenia Czech? Radykalnie odmiennie niż w Polsce: mimo zbliżających się wyborów parlamentarnych (8–9 października) Turów nie jest tematem dużej polityki. Tak sprawa jest przedstawiana głównie przez polskich polityków obozu władzy, co zrozumiałe: polska porażka w tej kwestii wyglądałaby znacznie gorzej, gdyby pokazać prawdziwą skalę zainteresowania w Czechach i wskazać, że jedynie Warszawa traktuje to jak batalię o wielką sprawę.

Zresztą z polskiego punktu widzenia tak poniekąd jest, bo stawką jest stabilność polskiego systemu energetycznego. Tymczasem z czeskiego punktu widzenia rzecz sprowadza się do problemów z wodą w małym zakątku kraju libereckiego. Jak tłumaczy „Do Rzeczy" Martin Ehl z ekonomicznego dziennika „Hospodářské noviny" – kraj liberecki jest drugi od końca, po kraju karlowarskim, gdy idzie o liczbę wybieranych tam posłów: przysługuje mu raptem osiem miejsc w 200-miejscowej Izbie Poselskiej. Dlatego problemy nawet nie całego tego województwa, ale tylko jego małego fragmentu nie są sposobem na zbijanie kapitału politycznego.

Korzystając z bazy danych Newton, obejmującej wszystkie najważniejsze czeskie publikacje, sprawdziliśmy, ile razy słowo kluczowe „Turów" pojawiło się od początku września. Przez większość czasu były to pojedyncze wzmianki. Wzrost pojawił się po nałożeniu na Polskę kary. 24 września wzmianek było ponad 200, ale 27 września ich liczba spadła już tylko do 15. Ehl, który dobrze zna polską scenę polityczną, mówi nam, że poziom zainteresowania w obu państwach jest absolutnie nieporównywalny.

Potwierdza to Filip Harzer, inny czeski dziennikarz, prowadzący na Facebooku profil „Zprávy z Polska". Harzer wspomina, że już po nałożeniu na Polskę kary pojawiały się pojedyncze głosy mało znaczących polityków ODS (będącej w opozycji – rząd Andreja Babiša jest mniejszościowy), np. Jana Zahradila, twierdzących, że w razie, gdyby to ich partia objęła władzę, dogadanie się Warszawy z Pragą byłoby prostsze. Trudno jednak uznać opinię Zahradila za reprezentatywną, zwłaszcza że z PiS łączy go jedna grupa w PE (Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy) oraz kilkuletnie kierowanie międzynarodową partią o tej samej nazwie, a zarazem nie jest on w swoim ugrupowaniu nikim istotnym.

Własną pieczeń na ogniu polsko-czeskiego sporu będą z pewnością próbowali upiec Niemcy. Gdyby bowiem Polska została zmuszona do choćby czasowego, ale nagłego zamknięcia kopalni w Turowie, bardzo możliwe, że nie dałoby się jej już ponownie uruchomić. Wskazują na to eksperci Akademii Górniczo-Hutniczej, wyliczając w niedawno sporządzonym raporcie olbrzymie zagrożenia wynikające z ewentualnego gwałtownego zawieszenia wydobycia. Jako że węgiel brunatny nie może być transportowany na duże odległości (nasiąka wilgocią i staje się bezużyteczny), elektrownie muszą być ulokowane w bezpośredniej bliskości kopalni. Niemieckie odkrywki węgla brunatnego leżą na tyle blisko, że przy odpowiednich metodach transportu mogłyby jeszcze zasilić Turów. Bardziej jednak prawdopodobne, że Polska musiałaby po prostu zacząć kupować więcej energii z Niemiec, żeby zrównoważyć nasz bilans energetyczny.

W tej chwili polskie pole manewru już właściwie nie istnieje i nie zmieni tego rządowa tromtadracja. Jedyną metodą jest szybkie policzenie, co się nam bardziej opłaca: zakończyć chwalenie się swoją nieustępliwością, porozumieć z Czechami i jak najprędzej wyłożyć pieniądze na oczekiwane przez nich rozwiązania techniczne czy płacić 15 mln euro miesięcznie za działającą wciąż turowską kopalnię i nie robić nic. Wówczas jednak prosimy się o dalsze problemy, bo przecież kara jest tylko za niewykonanie zabezpieczenia, a w dalszej perspektywie może zapaść ostateczne orzeczenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

NAGRODY W KATEGORIACH:

STRAŻNIK PAMIĘCI

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

ZAPRASZAMY
DO ZGŁASZANIA KANDYDATÓW
STRAZNIKPAMIECI@DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNE STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

PZU

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Grupa HM Inwest S.A.

PARTNER HONOROWY

NIKiDW NARODOWY INSTYTUT KULTURY I DZIEDZICTWA WSI

eprasa.pl fa121f19c2

Impreza nienawiści

Kamila Baranowska

W wojnie polsko-polskiej przekraczamy właśnie granicę, za którą nie ma miejsca na nic innego poza wzajemną nienawiścią. Czy naprawdę tego chcemy?

Dawno nic nie wywołało takich emocji i tylu komentarzy jak 50. urodziny znanego dziennikarza Roberta Mazurka. Powód? „Fakt" opublikował zdjęcia z imprezy, gdzie widać, że wśród gości znaleźli się zarówno politycy PiS, jak i Platformy Obywatelskiej, a co gorsza – odważyli się ze sobą rozmawiać! Na niektórych zdjęciach nawet się do siebie uśmiechali, co okazało się być już całkiem niewybaczalne. Posypały się więc gromy ze strony zarówno znanych sympatyków obu partii, jak i tych zupełnie anonimowych, którzy na politykach nie zostawiali suchej nitki w Internecie. Pisali, że czują się, jakby im dano w twarz, że oni tu żyły wypruwają sobie na Twitterach i Facebookach, żeby bronić partii i dowalać przeciwnikom, a tu – proszę – ci się uśmiechają i po plecach poklepują. A przecież jest wojna, a na wojnie z wrogami wina się nie pije.

Jak doszliśmy do momentu, w którym polityk jednej partii musi tłumaczyć się z tego, że rozmawiał na jakiejś imprezie z politykiem innej partii, jakby to była najgorsza z możliwych zbrodni? Czy naprawdę ci, którzy takich tłumaczeń oczekują, nie dostrzegają, że przekraczamy kolejne granice absurdu? I że to już nie jest śmieszne, lecz zwyczajnie groźne? Bo co będzie dalej? Będziemy żądać od polityków wrogich obozów, by nie podawali sobie ręki, przechodzili na drugą stronę ulicy na swój widok?

Żeby była jasność, do polityków za udział w tej imprezie można mieć pretensje z jednego powodu – że wybrali imprezę, choć powinni być w pracy. W tym samym czasie bowiem w Sejmie trwało wysłuchanie raportu szefa NIK Mariana Banasia. „Mam trochę żal do redaktora Roberta Mazurka. Gdyby mnie zaprosił na urodziny, mógłbym przedstawić sprawozdanie z działalności NIK większej liczbie posłów, niż była w Sejmie" – napisał kąśliwie na Twitterze Banaś.

Sęk w tym, że lawina krytyki, która wylała się na polityków, nie skupiała się na wątku nieobecności w Sejmie, lecz na tym, że politycy PO świętowali urodziny redaktora razem z politykami PiS. „Impreza u Mazurka wzbudziła sensację nie dlatego, że była aż tak oburzająca, tylko dlatego, że stanowiła wielkie odstępstwo od przyjętej w ostatnich latach normy niezadawania się z ludźmi władzy" – oznajmił Tomasz Lis, redaktor naczelny „Newsweeka".

W PLATFORMIE NAJGORZEJ

Oburzenie na biesiadujących polityków nie rozłożyło się po równo. Największy hejt wylał się na polityków Platformy Obywatelskiej, którzy zostali uwiecznieni na zdjęciach w „Fakcie". Chodzi o Borysa Budkę, szefa klubu PO w Sejmie, Tomasza Siemoniaka, byłego szefa MSZ z Platformy, oraz Sławomira Neumanna, szefa pomorskiej PO. Oskarżeń o nadmierną fraternizację z platformersami pod adresem polityków PiS było nieporównanie mniej.

Na pytanie dlaczego, odpowiedzi udziela opublikowany już jakiś czas temu raport Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW, w którym czytamy, że „wyborcy partii opozycyjnych żywią bardziej negatywne uczucia, w większym stopniu dehumanizują i mają mniejsze zaufanie do swoich oponentów politycznych niż zwolennicy partii rządzącej", a także, że „postawy zwolenników partii opozycyjnych wobec zwolenników PiS są bardziej negatywne niż postawy zwolenników PiS wobec zwolenników opozycji". Wychodzi więc na to, że ci, którzy najwięcej mówią o tolerancji i mają usta pełne liberalnych frazesów, są najmniej tolerancyjni i najbardziej surowi wobec najmniejszych odstępstw od partyjnej linii, co doskonale widać na przykładzie reakcji na imprezę u Mazurka.

Inna sprawa, że politycy w dużej mierze sami są sobie winni, bo odsądzając się od czci i wiary i rzucając pod swoim adresem

eprasa.pl fa121f19c2

FOT. AP

oskarżenia najcięższego kalibru, najczęściej kompletnie nieprzystające do sytuacji, stali się zakładnikami swoich najbardziej radykalnych słów i ocen. Jeśli od sześciu lat powtarzasz, że PiS to zło wcielone, że łamie konstytucję, niszczy demokrację, wprowadza dyktaturę, ciemięży opozycję, wyprowadza nas z Unii itd., itp., to nie dziw się, że są tacy, którzy w to uwierzą. I z tych słów rozliczą w najmniej oczekiwanym momencie. O czym boleśnie przekonali się Budka, Siemoniak i Neumann zaskoczeni, że w ten sposób ich potraktowano.

WEJŚCIE TUSKA

Donald Tusk, widząc, co się dzieje, postanowił wykorzystać sytuację i stanąć po stronie tych, którzy wyznają zasadę „zero tolerancji" wobec PiS. Zrobił to z cynizmu i czystej kalkulacji. Po pierwsze, Tusk od czasu powrotu przyjął taktykę nakręcania polaryzacji i wzajemnej niechęci, co ma mu pomóc zdominować opozycyjną scenę polityczną. Po drugie zaś, hejt na posłów Platformy jest świetnym pretekstem do wewnątrzpartyjnych przetasowań. Już się mówi, że Neumann traci szanse na pozostanie szefem pomorskiej Platformy, a nawet na miejsce na listach PO w następnych wyborach, osłabiona została pozycja Budki w roli szefa klubu PO.

Rację ma Władysław Kosiniak-Kamysz z PSL, mówiąc, że Tusk to „wykorzystał do zrobienia porządków wewnątrz swojego ugrupowania, a po drugie do jeszcze większej polaryzacji". – Nie wolno podać ręki komuś, kto głosuje na PiS, można podać rękę temu, który jest w naszej formacji. I na odwrót. Nie mam równej miary wobec PiS i Platformy, ale to zaostrzanie konfliktu służy dwóm obozom. Ja się nie dam zapisać na jedną wspólną listę, a te działania do tego dążą – mówił w Polsat News polityk.

Tymczasem korzystając z nadarzającej się okazji, Tusk sprytnie ustawił się w roli jedynego, który politykę traktuje poważnie. Jako doświadczony polityk musi mieć świadomość, jak krótkowzroczne i społecznie szkodliwe jest jego działanie, ale widać mu to nie przeszkadza. Krótkofalowo jest opłacalne, bo mobilizuje twardy elektorat, reszta nie ma na tę chwilę znaczenia. „Ktoś zapytał, czy napiłbym się z Markiem Suskim wódeczki. Rozumiem, że ta sytuacja może powodować memy i dowcipy, ale też normalne emocje polityczne. Problemem jest to i stąd moja reakcja wobec kolegów z Platformy, którzy byli obecni na tej imprezie, że ludzie naprawdę chcą wierzyć, że my politykę, nasze zobowiązania, nasze hasła, traktujemy śmiertelnie serio" – stwierdził Tusk podczas czatu z internautami.

W tym kontekście aż żal było czytać upokarzające tłumaczenia Tomasza Siemoniaka, który wyjaśniał, że choć był na imprezie, to w sumie z nikim nie rozmawiał, a zdjęcia zrobiono mu przy wyjściu. „Żadnego alkoholu na spotkaniu nie piłem, z posłami PiS żadnego kontaktu tam nie miałem. Z jednym z ministrów (posłem z mojego okręgu wyborczego) i jego żoną (w większej grupie – co widać na zdjęciu) zamieniłem kilka słów przy wyjściu. Wiedzy, kto będzie, nie miałem" – napisał na Facebooku były minister obrony narodowej, przyznając tym samym rację największym radykałom ze swojego obozu politycznego.

POTRZEBNY UMIAR

PiS zachował się rozsądniej, być może dlatego, że większość polityków na urodzinach Mazurka była z tej właśnie partii. – Robienie awantury na cztery fajerki, że ktoś poszedł do kogoś na urodziny... Naprawdę nie zamierzamy brać udziału w tym kabarecie, który urządza Platforma Obywatelska – skomentował wicerzecznik PiS Radosław Fogiel.

Sam Robert Mazurek skomentował całe zamieszanie w swoim stylu. Podkreślił, że impreza była prywatna, opłacił ją z własnych pieniędzy, a politycy stanowili około jedną dziesiątą zaproszonych gości. Wyliczył, że na imprezie byli też aktorzy, muzycy, malarze, lekarze, pisarze, historycy i winiarze. „Byli też dziennikarze ze wszystkich największych telewizji (TVP, TVN, Polsat), rozgłośni (RMF, Zet, Polskie Radio etc.), portali (Onet, wp.pl, Interia) i gazet (»Wyborcza«, »Rzeczpospolita«, »Dziennik«, »Super Express«)" – wymienia Mazurek i wymierza pstryczek w kierunku redakcji, która ujawniła zdjęcia z jego urodzin. „Rzeczywiście, nie zaprosiłem nikogo z »Faktu«" – dodał w swoim stylu.

Na szczęście wydaje się, że jest sporo osób, także ze świata polityki, które przynajmniej próbują zachować w tym szaleństwie jakiś zdrowy rozsądek. – Ale mamy ze sobą nie rozmawiać? Zamykać się w dwóch światach? To proszę o wyznaczenie korytarzy, którymi mogą się poruszać politycy PiS, i osobnych, gdzie mogą chodzić posłowie z PO. Jeżeli ktoś zaprasza, to nie pytam się, kto jeszcze będzie. Są premiery spektakli w Teatrze Narodowym i też idą przedstawiciele różnych środowisk. I co, miałbym wyjść, bo są tam też politycy PiS? – pytał w Onecie Władysław Kosiniak-Kamysz. – Nie mam zamiaru przestać rozmawiać z politykami, także tymi, z którymi się nie zgadzam. I to nie znaczy, że będę wspierał w jakikolwiek sposób działania PiS. Można się przywitać, powiedzieć „dobry wieczór". Też jesteśmy normalnymi ludźmi, nie jestem na żadnej wojnie – dodał. Włodzimierz Czarzasty z SLD przyznał, że w swoim życiu widział wiele balów dziennikarzy. – I na tych balach byli ci, którzy w tej chwili mają i pozytywne, i negatywne komentarze. Nie widziałem, żeby tam z jakimś wstrętem dziennikarze spotykali się z politykami – stwierdził. A pełne oburzenia reakcje na imprezę u Mazurka skwitował: – Są takie momenty, kiedy sprawy nieważne wchodzą na pierwszy front, i właściwie nie wiem dlaczego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

FOT. ADOBE STOCK

Terapia dla zdrowych

Jan Pospieszalski

Niekonsekwencje i absurdy obostrzeń sprawiły, że wielu medyków przerwało milczenie. Natychmiast wytoczono przeciw nim postępowania samorządu lekarskiego

Od początku ogłoszenia pandemii wśród większości medyków istniał konsensus dotyczący walki z wirusem metodami izolacji i ograniczenia społecznej ruchliwości. Najwcześniej zakwestionowano tezę o zakażeniu bezobjawowym i niszczycielskim wirusie powodującym niewidoczną chorobę, którą należy leczyć ścisłą izolacją. Kierowanie na kwarantannę zdrowych ludzi, skutkujące wyłączaniem całych oddziałów szpitalnych i przychodni tylko dlatego, że ktoś miał kontakt z osobą o pozytywnym teście PCR, szybko poskutkowało paraliżem systemu ochrony zdrowia. Jednocześnie lekarze dostali schematy nieprzewidujące leczenia przyczynowego, niezalecające nawet witamin D i C ani suplementowania cynku. Utrwalano bowiem opinię, że na wirusa z Wuhan nie ma lekarstwa. W leczeniu domowym zalecono zbijać gorączkę i obserwować poziom saturacji, a gdy będzie groźniej, wezwać pogotowie.

DŁUG ZDROWOTNY

Nie wiem, od kogo po raz pierwszy usłyszałem termin „dług zdrowotny", ale on najpełniej oddaje problem, który dał o sobie znać jesienią 2020 r. Teleporady i ograniczenie dostępu pacjentów do przychodni, diagnostyki i szpitali spowodowały odwołanie planowych zabiegów. We wrześniu, w programie „Warto rozmawiać", prof. Ryszard Rutkowski z Białegostoku, powołując się na badania naukowe, zakwestionował politykę obostrzeń. W tym samym programie główny onkolog kraju prof. Maciej Krzakowski, prof. Marek Wojtukiewicz oraz prof. Andrzej Deptała ostrzegali przed tragicznymi konsekwencjami spadku zabiegów na oddziałach chirurgii onkologicznej. Niekonsekwencje i absurdy obostrzeń sprawiły, że wielu medyków przerwało milczenie.

SPRAWIEDLIWI NIE CHCĄ MILCZEĆ

W październiku kilkudziesięciu lekarzy i naukowców w liście otwartym adresowanym do władz RP wytknęło liczne błędy ministrowi zdrowia. List był aktem desperacji wobec braku rzetelnej, naukowej debaty dotyczącej realnego zagrożenia, jakie niesie ze sobą wirus z Wuhan. Było to już kilka miesięcy po tym, jak dr Bodnar z Przemyśla, a za nim kilku innych, w tym dwóch profesorów (Konrad Rejdak z Lublina i Cezary Pakulski ze Szczecina), informowali o pozytywnych skutkach stosowania chlorowodorku amantadyny w leczeniu COVID-19. Autorzy apelu do władz pisali, że restrykcyjne obostrzenia wprowadzone przez władze są nieproporcjonalne do zagrożenia i one powodują więcej szkód niż sama zaraza. „Lekarstwo nie może być gorsze niż problem" – wskazywali sygnatariusze listu. Wzywali rząd do „zakończenia nieuzasadnionych medycznie działań i natychmiastowego przywrócenia: normalnych, demokratycznych zasad funkcjonowania państwa, wszystkich naszych swobód obywatelskich oraz przestrzegania praw człowieka".

Lekarze i naukowcy, a była to znacząca grupa stu kilkudziesięciu osób, z bogatym doświadczeniem, powołali się na amerykańskich lekarzy zrzeszonych w America's Frontline Doctors, którzy za pomocą istniejących i powszechnie dostępnych środków medycznych (hydroksychlorochina, cynk i azytromycyna) wyleczyli wielu pacjentów z COVID-19.

WIRUS – NIE TAKI STRASZNY

Wskazane w liście amerykańskie doświadczenia podważały oficjalne stanowisko WHO, opierające się na tezie, że na koronawirusa nie odkryto jeszcze skutecznego lekarstwa. W apelu lekarzy i naukowców pojawiło się sformułowanie: „SARS-CoV-2 nie jest to wirus zabójca, ale choroba łatwa do wyleczenia". Cytuję dokładnie, ponieważ m.in. właśnie to stwierdzenie zostało uznane za nienaukową herezję, która sprowokowała donos na autorów listu do izb lekarskich. List zwraca uwagę, że zarządzenia polegające na drakońskich obostrzeniach paraliżujących opiekę zdrowotną i życie społeczeństwa nie mają wystarczających naukowych uzasadnień. Sygnatariusze przypominają

eprasa.pl fa121f19c2

że we wrześniu 2020 r. podobny apel podpisało 394 belgijskich lekarzy i 1340 pracowników służby zdrowia. Dzieje się to w momencie, gdy znane są już szerokie, niemieckie badania populacyjne, pokazujące, że śmiertelność koronawirusa wynosi od 0,02 do 0,04 proc., czyli jest porównywalna do sezonowej grypy. Lekarze podkreślają, że wysokie statystyki zakażeń (i tzw. choroby bezobjawowej) spowodowane są zastosowaniem nadmiernie czułych i zawodnych testów PCR.

Z NIMI NIE WARTO ROZMAWIAĆ

List nie wywołał reakcji władz ani debaty środowiska medycznego. Mimo że każdego dnia bombardowani byliśmy nawet błahymi doniesieniami dotyczącymi koronawirusa, mainstreamowe media nie odnotowały tego głosu.

Wkrótce pojawił się kolejny apel. Tym razem autorzy apelu odnieśli się do zapowiedzi władz, że jedynym sposobem na zatrzymanie epidemii będą masowe szczepienia. Autorzy zwracali uwagę, że dopuszczona w trybie awaryjnym, nieprzetestowana szczepionka, nie ma wymaganych badań klinicznych i obserwacji ewentualnych skutków ubocznych. Podkreślali, że producenci zostali zwolnieni z odpowiedzialności od niepożądanych skutków. W liście autorzy zwrócili uwagę, że zamiast rzetelnej informacji stale podsycana jest atmosfera strachu. Epatowanie codziennymi statystykami zachorowań i zgonów, bez odpowiedniego omówienia i porównań, wzmaga tylko stan psychozy i rodzi zamęt.

MEDYCZNE ORMO

Znamienne, że właśnie dopiero wtedy, gdy autorzy apelu – lekarze i profesorowie medycyny – zakwestionowali bezpieczeństwo szczepień, pojawiły się doniesienia lekarza Michała Głogowskiego i dr. Macieja Dziurkowskiego do Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej. Zdaniem skarżących list znacznej grupy członków izb lekarskich podważa zaufanie do szczepień. Donos wpłynął wkrótce po grudniowym posiedzeniu sejmowej Komisji Zdrowia, w trakcie którego minister zdrowia Andrzej Niedzielski apel lekarzy nazwał kołtuństwem, a prezes Matyja zapowiedział przesłuchania autorów apeli przez Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej.

Od stycznia rozpoczęło się wzywanie lekarzy przez Grzegorza Wronę, rzecznika odpowiedzialności zawodowej. W trakcie postępowań wielokrotnie łamano procedury – np. gdy Okręgowa Izba Lekarska w Białymstoku umorzyła sprawę prof. Rutkowskiego, prezes Matyja naciskał na wszczęcie postępowania w Warszawie. Wobec braku merytorycznych podstaw wezwania wielu lekarzy odpowiedziało pisemnie, nie zamierzając się stawić.

PROCES

Dla tych, którzy postanowili przyjechać, była to utrata całego dnia i rezygnacja z przyjęcia nieraz nawet 30 pacjentów. Fakt, że NIL w Warszawie prowadzi postępowania, gdy istnieją okręgowe izby, jest nie tylko pogwałceniem procedury, lecz także rodzajem szykany (np. dr. Czekałowskiemu ze Zgorzelca podróż i wizyta w NIL zajęły dwa dni).

Od miesiąca prowadzone są kolejne przesłuchania. Tym razem lekarze dowiedzieli się, że mają status obwinionych i postawione zarzuty. Winą zaś jest rzekome rozpowszechnianie informacji niezgodnych z aktualną wiedzą medyczną i propagowanie postaw antyzdrowotnych – działanie na szkodę pacjentów i całego społeczeństwa. Gdy lekarze zaczęli domagać się wskazania konkretnej wypowiedzi niezgodnej z aktualną wiedzą medyczną lub szerzącej postawy antyzdrowotne, nie otrzymali odpowiedzi.

PRAWDA, LOGIKA, CZYLI NIENAUKOWO

Kolejnym etapem ma być proces przed sądem lekarskim, a ewentualną karą może być odebranie uprawnień do wykonywania zawodu. Obecnie ponad 100 osób objętych jest postępowaniami dyscyplinarnym. Część dotyczy aktywności lekarzy w mediach społecznościowych i ich udziału w konferencjach. Dotyczy to m.in. dr. Pawła Basiukiewicza i dr Eweliny Gierszewskiej. Jeżeli Rzecznik Odpowiedzialności Zawodowej skieruje sprawę do Sądu Lekarskiego, to ciekawy będzie przebieg rozprawy. Okazało się bowiem, że zawarte w apelach lekarzy konkluzje i ostrzeżenia zostały potwierdzone przez życie. Zarówno jeżeli chodzi o politykę obostrzeń, jak i bezpieczeństwo i skuteczność szczepień. Ponure statystyki nadmiarowych zgonów chorych zmarłych na inne schorzenia niż COVID-19, gwałtowny wzrost zachorowań osób zaszczepionych w Izraelu, jak i zgłaszane licznie powikłania poszczepienne dowodzą, że zarówno w kwestii skutków lockdownu, jak i ryzyka, które niosą szczepienia, lekarze mieli rację.

NIE TYLKO POLSKA

Walka lekarskiej mniejszości z medycznym establishmentem nie toczy się tylko w Polsce. W dniach 13–14 września, w Rzymie, w gmachu włoskiego Senatu, odbyła się konferencja z udziałem lekarzy z Włoch i wielu krajów, poświęcona skutecznym terapiom na COVID-19. Kilkudziesięciu lekarzy, w tym jedyny Polak, dr Włodzimierz Bodnar z Przemyśla, wymieniało doświadczenia, by wypracować terapię pozwalającą zakończyć pandemię. Konferencja, choć była pod patronatem włoskich senatorów, nie wzbudziła zainteresowania mediów. Nie było też przedstawicieli włoskich władz medycznych. Uczestnicy konferencji wystosowali rezolucję z wezwaniem powrotu do przysięgi Hipokratesa i apelowali o prawo do leczenia pacjentów według aktualnej, najlepszej wiedzy medycznej, w sposób wolny od nacisków polityki i koncernów farmaceutycznych.

POZYTYWNE SKUTKI UBOCZNE

Kryzys epidemiczny obok dramatów przyniósł też pozytywne efekty. Po pierwsze, z całą ostrością ujawnione zostały patologie obecne w świecie medycznym. Po drugie, prezes Andrzej Matyja udowodnił, że izby nie są niezależne. Jego wypowiedzi podczas sejmowej Komisji Zdrowia w grudniu 2020 r., ale też inne działania dowodzą, że realizuje on interes polityczny, a nie dobro członków izb. Po trzecie, lekarze postanowili się zrzeszać i zawiązali niezależne organizacje, do których akces zgłaszają medycy z całej Polski. Postulują, by odebrać izbom lekarskim prawo do wydawania uprawnień zawodowych. Wykształcenie, zdane egzaminy, staż i dyplom są stwierdzeniem kwalifikacji medyka, a nie opinią izby. I w końcu – epidemia pozwoliła ujrzeć przemożny i ponury wpływ koncernów na strategie zdrowotne i politykę zarządzania pandemicznym kryzysem, ale nie tylko. Kiedy się obserwuje postępującą segregację sanitarną, wprowadzanie cenzury i ograniczenie wolności, można zauważyć, że walka lekarzy o prawdę o naszym zdrowiu jest wbrew pozorom sprawą sięgającą podstaw demokracji, godności i praw człowieka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

FOT. ADOBE STOCK

Zaatakowane dzieci

Łukasz Zboralski

Fala zachorowań w szkołach. Lecz nie taka, którą prognozowano. To nie COVID-19, a inne wirusy kładą dzieci do łóżek. Czy to wpływ długiej izolacji społecznej?

Przeziębienie – ból głowy, zatkany nos, kaszel, gorączka. Z tym od września borykają się rodzice szkolnych dzieci. Bardzo wielu uczniów choruje na „przeziębienia". Jak relacjonowały lokalne media, np. w Bielsku-Białej na zajęcia nie przychodziły połowy klas. Podobnie jest w innych miejscach. Dyrektor szkoły podstawowej z Krakowa opowiadał w mediach, że na 35 osób na lekcjach pojawia się teraz 17–21 uczniów. Reszta choruje.

I to problem nie tylko samych dzieci. Chorują też nauczyciele. – Przez całe życie bardzo rzadko bywałam przeziębiona i teraz po raz pierwszy od lat czułam się tak źle, że musiałam pójść na tydzień zwolnienia z pracy – relacjonuje Mariola, nauczycielka jednej z podwarszawskich szkół. – Leżałam z gorączką w łóżku, okropnie bolały mnie zatoki. Nie mam wątpliwości, gdzie mogłam złapać wirusa. W mojej szkole wiele dzieci dmucha w chusteczki. Coraz więcej z nich jest przeziębionych i też zostaje w domach.

INNE WIRUSY W NATARCIU

W przypadku przeziębień nikt nie robi testów. Nie określa się wirusów – tak jak przy COVID-19. Zalecenia lekarzy są takie jak dawniej. Poleżeć, brać leki przeciwgorączkowe, leki pomagające odkrztuszać flegmę. Czasem – gdy sytuacja jest już poważniejsza – włączane są antybiotyki.

eprasa.pl fa121f19c2

Wiadomo jednak, że przynajmniej jeden wirus staje się teraz mocno rozpowszechniony. Już latem w USA – bo tam część szkół otworzyła się na początku sierpnia – zwracano uwagę na duży wzrost zachorowań wśród dzieci związanych z wirusem RSV. To jeden z najbardziej rozpowszechnionych wirusów. Jest główną przyczyną chorób układu oddechowego u dzieci. Już u dwulatków stwierdza się w 95 proc. przeciwciała wobec tego wirusa, co znaczy, że prawie każde dziecko miało z nim kontakt. Zakażenia górnych dróg oddechowych wyglądają podobnie do zaziębienia, głównym objawem jest kaszel.

Amerykańscy lekarze alarmowali, że przy jednoczesnym obsługiwaniu pacjentów z COVID-19 zaczyna się poważne zapełnianie łóżek na pediatrii. Doktor Heather Haq ze szpitala dziecięcego w Houston informowała wówczas na Twitterze, że liczba małych pacjentów z chorobą wywołaną przez RSV jest tam już na poziomie „zimowym".

Wszystko wskazuje na to, że podobny problem – choć w Polsce nie wiemy, z jakimi innymi wirusami borykają się aktualnie mali pacjenci, bo takich statystyk nie publikujemy – zaczynamy mieć właśnie nad Wisłą. Przesunięcie wynika jedynie z tego, że w naszym kraju rok szkolny rozpoczął się dopiero we wrześniu.

NASILENIE PO IZOLACJI

To, że nasilenie zachorowań wśród dzieci występuje obecnie w szkołach, potwierdzają sami lekarze.

– Nie tylko mam takie głosy od nich, lecz także sam tego doświadczam w przychodni – mówi „Do Rzeczy" dr Michał Sutkowski, lekarz, prezes Warszawskich Lekarzy Rodzinnych. – Oczywiście ta przerwa w szkołach w ubiegłym roku, w niektórych nawet bardzo długa, spowodowała, że ta wymiana patogenów jest teraz faktem. Jest ponad 200 takich wirusów powodujących infekcje. Przeważa choroba zaziębieniowa z wirusami, rinowirusami, adenorwirusami, koksawirusami, RSV – wylicza. I dodaje: – Generalnie są to łagodne infekcje. Na szczęście sporadycznie odnotowujemy te dwie, które nie są łagodne – czyli koronawirusa i grypę.

Zdaniem dr. Sutkowskiego szkoła zawsze była i pozostanie miejscem, w którym sezon zwiększonych zachorowań dzieci zaczyna się wraz z pierwszym wrześniowym szkolnym dzwonkiem, a kończy dopiero wtedy, gdy dzieci wybiegają z budynku ze świadectwami na wakacje. Chociaż oczywiście związek przymusowej izolacji w domach podczas ostatnich lockdownów i izolacji miał niewątpliwe wpływ na obecne zachorowania dzieci i młodzieży.

Tak samo dzieje się, gdy dzieci pierwszy raz trafiają do przedszkoli czy żłobków. Podobnie mają nawet lekarze, którzy zaczynają praktykę i zaczynają stykać się z chorymi. Zaczynają po prostu częściej chorować. I nie dotyczy to wyłącznie lekarzy rodzinnych. Takie sytuacje zachodzą też na kardiochirurgii czy onkologii – wszędzie tam część pacjentów ma przecież różnego rodzaju infekcje. – To prawda – potwierdza dr Sutkowski. – Zwłaszcza jeśli dotyczy to pewnych baniek środowiskowych, które są z punktu widzenia epidemiologii obszarami jednorodnymi. Jeśli dzieci się długo nie widziały i przynoszą z własnych środowisk patogeny – czy to jako chorzy, czy jako nosiciele bezobjawowi – to możemy w pewnym uproszczeniu powiedzieć, że taki okres izolacji sprzyja potem kumulacji pewnych kłopotów. Inokulum jest duże, czyli liczba zarazków, które mogą zarazić. No i zaczyna najpierw chorować Jaś, potem Kasia, a potem cała klasa kicha na Franka…

Doktor Sutkowski zauważa, że obecna sytuacja jest inna ze względu na koronawirusa. Jego zdaniem powinno się dokładniej testować w tym kierunki dzieci i młodzież. – Czyli kontekst zachorowań w szkołach mamy inny. Natomiast sam mechanizm nie różni się od tego, z czym mieliśmy do czynienia rok temu czy pięć lat temu – podkreśla.

Nieco ostrzej sprawę długotrwałej izolacji dzieci i młodzieży stawiają inni eksperci. Wskazują, że przez półtora roku – przez izolowanie ludzi i np. noszenie maseczek – zwyczajna sezonowa zachorowalność była niższa. Zdaniem dr. Pawła Grzesiowskiego nie pozostało to bez wpływu na odporność dziecięcych organizmów. „Gotowość naszego organizmu do walki z różnego rodzaju infekcjami wyraźnie się obniżyła – przyznał dr Grzesiowski w rozmowie z Onet.pl. – Można powiedzieć, że on się nieco rozleniwił" – dodał.

W OCZEKIWANIU NA CIĘŻKI SEZON

Szczyt tego rodzaju zachorowań zwykle przypadał w listopadzie. Obecnie mierzymy się z nim już od początku września. To może stać się kłopotliwe dla systemu opieki zdrowotnej. Wszystko zależeć będzie od tego, jak ukształtuje się spodziewana fala zachorowań na koronawirusa. Na razie – choć wzrost zachorowań jest widoczny – w porównaniu z poprzednim rokiem wydaje się, że COVID-19 nie zbiera już takiego żniwa, by zapychać szpitale.

Zdaniem lekarzy rok lockdownów i izolacji powoduje następstwo – nasilenie zachorowań. Niektórzy mówią wręcz o tym, że gotowość organizmów do walki z patogenami się obniżyła

Tymczasem – jak przyznają lekarze – już teraz oddziały pediatryczne są pełne dzieci z zapaleniami oskrzeli i zapaleniami płuc. Eksplozja sezonowych zachorowań mogłaby być kłopotliwa dla systemu ochrony zdrowia, gdyby dołożyła się do niej naprawdę wysoka fala zachorowań na koronawirusa. Lekarze uważają, że trzeba przygotowywać się na „ciężki sezon".

Na razie trudno jednak – na szczęście – uznać zachorowania na COVID-19 za alarmujące. Trend wykrywanych przypadków jest niższy niż w pandemicznym poprzednim roku. Zdaniem ekspertów pomogło zaszczepienie się przeciw chorobie. Szczepień w Polsce do tej pory wykonano ponad 37 mln. Minister zdrowia Andrzej Niedzielski właśnie im przypisał lepszą tegoroczną sytuację we wrześniu, gdy na Twitterze zestawił wykresy zachorowań z tego roku i poprzedniego. „Rozchodzące się linie trendu pokazują, jak działają szczepienia. Warto dodać, że mamy do czynienia z bardziej zakaźną mutacją wirusa" – napisał.

Z koronawirusem wciąż się zmagamy, a teraz lekarze rodzinni muszą jeszcze poradzić sobie z dziecięcym efektem ubocznym lockdownu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

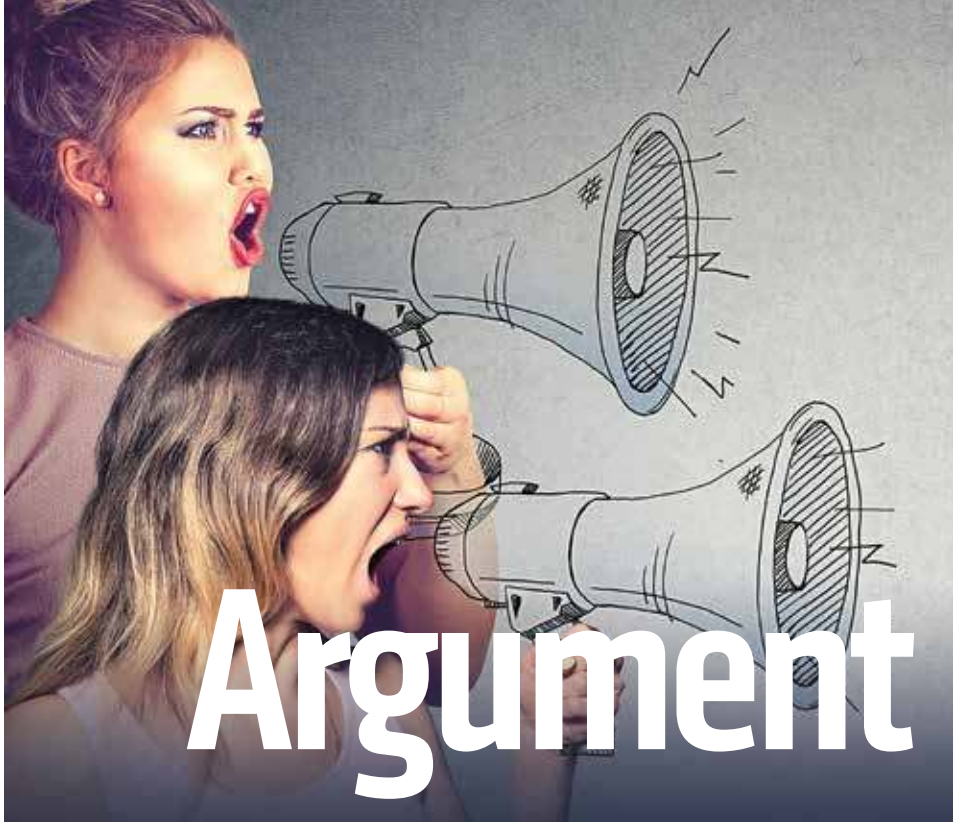

FOT. ADOBE STOCK

Tomasz Rowiński

Sprawa Fundacji En Arche pokazuje, że w polskiej debacie naukowej nie ma miejsca na... debatę. Są tylko wyznawcy

Wbrew panującym dziś przesądom dawna debata akademicka była przestrzenią, w której można było dyskutować każde twierdzenie. Co więcej, dyskutowano nawet takie kwestie, których nikt nie wyznawał. Po prostu uważano, że dochodzenie do prawdy polega na wielostronnym oglądzie rozmaitych hipotez.

Dziś można odnieść wrażenie, że poszczególne działy nauki, zamiast iść naprzód, zamykają się w tożsamościowych, wręcz parareligijnych dogmatach. Mają one swoich ortodoksów, wyznawców, strażników. A także – koniecznie – heretyków, którym odmawia się nawet elementarnego prawa do zabrania głosu. To znamienne, że w czasach, które dla wielu scjentystów są dziś synonimem ciemności intelektualnej, także heretycy czy ludzie podejrzani mogli bronić swoich racji – wobec uniwersytetu czy władzy kościelnej.

LOGIKA WYKLUCZAJĄCA

Problemy z wolnością debaty naukowej kojarzą nam się dziś w Polsce głównie z szeroko rozumianymi naukami społecznymi, które są poddawane intensywnemu formatowaniu rugującemu z dyskusji tradycje intelektualne zakorzenione w kulturze epoki chrześcijańskiej czy klasycznej. Jednak i nauki przyrodnicze mają swoją parareligijną tożsamość. W dziedzinie biologii jest to neodarwinizm. Przez wyznawców – a szczególnie przez samozwańczych popularyzatorów nauki – nie jest on traktowany jak teoria podlegająca falsyfikacji, ale jak religijne objawienie. Według Karla Poppera, jednego z XX-wiecznych mistrzów filozofii nauki, prawdziwa teoria naukowa musi być – mówiąc kolokwialnie – obalalna, ponieważ żadna teoria nie może ująć w całości złożoności zjawisk. Musi zawierać element, który może podlegać eksperymentalnej falsyfikacji. Jeśli ten warunek nie jest spełniony, to mamy do czynienia z teorią pseudonaukową – może być ona religijna, filozoficzna czy jakaś jeszcze inna. Za takie Popper uważał np. marksizm i psychoanalizę. Jednak każdy, kto próbował zajmować się publiczną krytyką choćby niektórych elementów teorii ewolucji, wie, że także współczesna odmiana darwinizmu nabrała cech pseudonaukowych.

Dobrym przykładem wykluczającej logiki niektórych wyznawców scjentyzmu jest trwający spór prawny pomiędzy Adamem Adamczykiem, prowadzącym portal Kwantowo.pl a Fundacją En Arche. Fundacja ta zajmuje się inspirowaniem dyskusji wokół koncepcji inteligentnego projektu, w ramach której – jak podkreśla biolog Michael Denton – przedstawia się argumenty za tym, że w przyrodzie można wykryć projekt i że metody wykrywania projektu są nieustannie wykorzystywane w różnych dziedzinach nauki. Żaden z teoretyków projektu nie podważa procesu ewolucji, który zachodzi drogą doboru naturalnego. Zwolennicy ID twierdzą tylko – i aż – że darwinowska wizja pochodzenia i rozwoju życia na Ziemi, która rości sobie prawo do koncepcji ostatecznej, nie dostarcza odpowiedzi na wszystkie pytania. Sama koncepcja inteligentnego projektu nie ma charakteru ideologicznego i występuje w bardzo różnych odmianach.

Fundacja działa w rozmaity sposób. Stworzyła system stypendialny dla osób, które chcą podejmować badania wokół koncepcji inteligentnego projektu. Wymogiem uczestnictwa w tym programie nie jest wcale popieranie hipotezy, ale gotowość do pracy nad zagadnieniami dotyczącymi inteligentnego projektu, a także darwinizmu. Drugi program stypendialny skierowany jest do tłumaczy, którzy chcą pracować nad tekstami – wspierającymi lub krytykującymi – teorię inteligentnego projektu. En Arche wydaje także książki teoretyków oraz biologów rozwijających koncepcję projektu. Natomiast Kwantowo.pl to popularnonaukowa strona poświęcona poznawaniu wszechświata – jak czytamy w mediach społecznościowych – od mechaniki kwantowej do kosmologii.

W listopadzie 2020 r. wspomniany Adam Adamczyk postanowił wcielić się w postać samozwańczego inkwizytora określającego granice – nawet nie tyle naukowej ortodoksji, ile w ogóle akademickiej dyskusji. Na swojej stronie opublikował tekst zatytułowany „W sprawie pseudonaukowej teorii inteligentnego projektu – list otwarty do polskich uczelni". W nim zaś zadekretował, że teoria inteligentnego projektu to „koncepcja powszechnie uważana w środowisku naukowym za niefalsyfikowalną i pseudonaukową", nie zadając sobie trudu odniesienia do żadnych argumentów badaczy z tego nurtu czy to pozytywnych, czy zawierających krytykę darwinizmu. Sformułował ogólne oskarżenie badaczy z nurtu projektu o „negacjonizm ewolucyjny", co jest – delikatnie mówiąc – półprawdą, ponieważ postulują oni raczej korektę czy uzupełnienie teorii ewolucji tam, gdzie ona niedomaga. Adamczyk podjął też próbę zdyskredytowania niektórych badaczy na podstawie ich

eprasa.pl fa121f19c2

pałki

przynależności religijnej, nie wspomniał oczywiście o licznych ateistach i agnostykach pracujących na rzecz teorii projektu. Ten argument zresztą celnie wskazuje na quasi-wyznaniowy charakter działalności niektórych popularyzatorów nauki. Wszystkie te niemerytoryczne chwyty zawarte w liście miały na celu uderzenie w Wydział Biologii i Nauk o Środowisku UKSW, który dał swój patronat nad spotkaniem z jednym z naukowców Discovery Institute, autorem koncepcji nieredukowalnej złożoności, biologiem Michaelem Behem.

Prezes En Arche Ewa Bubrowiecka z uśmiechem mówi o argumentach, które pojawiają się w krytyce fundacji czy teorii inteligentnego projektu: „Gdy przegląda się strony niektórych popularyzatorów nauki w mediach społecznościowych, gdzie pojawiają się odniesienia do naszej fundacji, można odnieść wrażenie, że tam nie czyta się ani naszych książek, ani artykułów czy nawet podstawowych informacji o naszych celach. Argumenty gdzieś ślepo krążą dookoła sedna sprawy". Dodaje, że chętnie dyskutowaliby ze swoimi krytykami, ale oni nie chcą mierzyć się z argumentami, za to o unikanie dyskusji oskarżają En Arche. Prawda jest taka, że gdy tylko jakaś polemika się pojawia, jest podejmowana przez autorów piszących dla fundacji. Na przykład na artykuł blogera potrafi odpisać profesor, jak miało to miejsce w przypadku tekstu Kazimierza Jodkowskiego „Czym naprawdę jest teoria inteligentnego projektu? Odpowiedź na kiepską analizę blogera »To tylko teoria«".

„Tym razem autor tekstu, Łukasz Sakowski z Poznania, nie odczłowieczał nas, osób zaangażowanych w działalność Fundacji En Arche, jak to parę dni wcześniej robił jego kolega, Adam Adamczyk z witryny Kwantowo.pl, porównawszy nas do maszkar, wyłażących z najciemniejszych dziur, które koniecznie trzeba zagonić z powrotem do ich nor" – zaczyna prof. Jodkowski. Aluzja dotyczy właśnie wspomnianego listu Adamczyka, który zawiera takie właśnie przykłady „naukowości". Atak ten spotkał się z pozwem ze strony En Arche. Pozew nie odnosi się do uwag w sprawach naukowych czy nawet sformułowań o znamionach dyskryminacji, jak piętnowanie przynależności religijnej badaczy. „Już pobieżna lektura pozwu fundacji pokazuje, że nie dotyczy on spraw naukowych lub rozstrzygnięcia statusu teorii inteligentnego projektu. Chodzi tu o osądzenie zwykłego, łobuzerskiego wybryku, którego dopuścił się Adamczyk wobec Fundacji En Arche" – czytamy na stronie fundacji. Jak słyszę w En Arche, to Adamczyk – utrudniający legalną działalność fundacji – propagował w mediach oskarżenia, że pozew to atak na wolność słowa...

Przedmiotem pozwu jest m.in. fraza przywołana przez prof. Jodkowskiego kończąca list popularyzatora nauki: „Wystarczy chwila nieuwagi, odrobina pobłażliwości, aby z najciemniejszych dziur wypełzły maszkary żerujące na ludzkiej ignorancji. Jak uczy nas doświadczenie, maszkary te z czasem bardzo trudno zagonić z powrotem do ich nor. Dlatego trzeba reagować od razu i z całą stanowczością". Ponadto Adamczyk zarzucał jawnie opisującej swoją działalność organizacji działania podstępne, a także ścisłe powiązania „ze środowiskami zagranicznych religijnych fundamentalistów". W En Arche słyszę, że to kłamstwo mające zdyskredytować działalność fundacji. To nie dziwi, skoro adekwatna i merytoryczna polemika prawie się nie zdarza. „Powszechnie twierdzi się, o czym pisze między innymi Richard Dawkins, że nie ma najmniejszego sensu dyskutować ze zwolennikami teorii inteligentnego projektu, bo to może uwiarygodnić twierdzenia zwolenników tego ujęcia. A czyż nauka nie rozwija się właśnie wtedy, kiedy pojawiają się nowe punkty widzenia?" – zauważa dr Grzegorz Malec, pełnomocnik zarządu do spraw naukowych. Niestety, Wydział Biologii i Nauk o Środowisku UKSW uległ argumentowi siły i patronat wycofał.

KOMPROMITOWAĆ I WYKLUCZAĆ

Wyznawcy darwinizmu niechętnie konfrontują się z krytycznymi argumentami, zamiast tego starają się kompromitować i wykluczać z dyskusji swoich oponentów. Każdy krytyk teorii neodarwinowskiej, jeśli nie poprzedzi swojego głosu ewolucjonistycznym wyznaniem wiary, to natychmiast jest klasyfikowany jako kreacjonista czy religijny fundamentalista. Wrażenie jest nieodparte – do dyskusji o pochodzeniu gatunków czy też pochodzeniu człowieka można wejść, tylko przyjmując uprzednio światopoglądowe stanowisko niefalsyfikowalności neodarwinizmu. Brzmi to jak religia. Dlatego krytyków teorii ewolucji, którzy są ateistami lub agnostykami, ignoruje się podwójnie. Przykładem mogą być wspomniany australijski badacz Michael Denton czy amerykański filozof nauki żydowskiego pochodzenia David Berlinski.

Ta parareligijna nieprzemakalność neodarwinizmu, wszystkich swoich krytyków etykietująca jako pseudonaukowców, niewątpliwie powstrzymuje rzeczywistą debatę, która mogłaby przekroczyć anachroniczne – pozornie tylko unowocześniane – XIX-wieczne ramy teorii Darwina. Sam Darwin zresztą wskazywał na możliwość falsyfikacji własnej teorii. Jego epigoni już o tym zapomnieli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

Wiesław Chełminiak

Żegnaj, Jamesie

Nie mam dobrych wiadomości dla fanów Bonda. Daniel Craig rozstaje się z rolą superagenta w stylu sentymentalno-patetycznym, a przyszłość najdłuższego (i najbardziej dochodowego) cyklu w dziejach kina stoi pod znakiem zapytania

Agent 007 urodził się w lutym 1952 r. na Jamajce – w wyobraźni byłego pracownika brytyjskiego wywiadu, który postanowił zostać pisarzem. Filmowy Bond jest o 10 lat młodszy. To niebezpieczny wiek dla mężczyzny, zwłaszcza jeśli prowadzi mało higieniczny tryb życia. Co prawda, ostatnio James rzucił palenie i przestał być casanovą, nie grożą mu więc rak płuc i choroby weneryczne. Nadal jednak lubi wypić, a guzów, siniaków, odmrożeń, oparzeń tudzież pospolitych kontuzji, których nabawił się, ratując świat, nikt nie zliczy. Dodajmy do tego uszczerbek na zdrowiu psychicznym, a przestaniemy się dziwić, że po premierze „Spectre" (2015) Craig, indagowany na okoliczność ciągu dalszego, wycedził: „Prędzej żyły sobie podetnę!".

Gdy obiecano mu królewskie honorarium, zmienił zdanie. Wytwórnia doszła do wniosku, że sięgnięcie po wypalonego aktora stwarza mniejsze ryzyko biznesowe niż szukanie następcy. Craigowi należała się zresztą ta premia jak psu kość: to on wyprowadził Bonda na prostą. Na początku XXI w. cykl słabował. Pisane na kolanie scenariusze składały się w znacznej części z autocytatów. Z herosa, dla którego glob był za mały, zrobiono dodatek do gadżetów w rodzaju niewidzialnego samochodu i słup ogłoszeniowy luksusowych marek.

LUCYFER, TY NUDZIARZU

W „Casino Royal" (2006) Bond przestał wdzięczyć się do widzów. Snob ustąpił miejsca dzikusowi. Sprzyjały mu wzrost napięcia w świecie, proklamowana przez amerykańską administrację wojna z terroryzmem oraz obawa przed nadużyciami służb specjalnych. Cena tej rezurekcji była jednak wysoka: seria traciła wdzięk i styl. Aura wyjątkowości uleciała w kosmos.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl fa121f19c2

Cyngiel z MI6 przestał dyktować modę, raczej starał się za nią nadążyć. Poczuł na karku oddech konkurencji: Ethana Hunta, Jasona Bourne'a i chmary superbohaterów z komiksowym rodowodem.

Filmy z Craigiem miały być prequelem serii. Scenarzyści zyskali sporo przestrzeni i Bond stał się, jak nigdy wcześniej, nieprzewidywalny. Pech chciał, że wytwórnia, odzyskawszy po wieloletniej batalii prawnej prawa do postaci arcyłotra Blofelda, zapragnęła ten sukces od razu zmonetyzować. Ambitne plany wylądowały w koszu. „Spectre" był efektownym, ale zawstydzająco schematycznym widowiskiem. Fabularnie lokował się na przecięciu epok Connery'ego i Moore'a. Rzecz do obejrzenia i zapomnienia.

Równie zbędnym bytem jest Bond numer 25, który na ekrany trafił z półtorarocznym poślizgiem. Jest jak Wagnerowska opera, z której wycięto „Cwałowanie Walkirii": bombastyczny hałaśliwy, przegadany oraz męczący. Po zaskakującym początku akcja wpada w stare koleiny. James, ulegając namowom kumpla z CIA, wraca z przedwczesnej emerytury, by po raz kolejny przekonać się, że pierwsze przykazanie szpiega: „Nikomu nie ufaj" wciąż jest aktualne. Znów podróżuje po świecie, pije wódkę z martini, wdziewa smoking i zmaga się z psychopatą dysponującym bronią masowego rażenia. Rami Malik, alias Lucyfer, jest przerażająco nijaki, sądzę, że Tomasz Kot sprawiłby się lepiej. Danny Boyle, który chciał zatrudnić polskiego aktora, został zdymisjonowany na ostatniej prostej z powodu „różnic twórczych". Wygląda jednak na to, że scenariusz nie uległ radykalnym zmianom. O co więc naprawdę poszło? Może kiedyś się dowiemy.

Gdy Bond robi maślane oczy do swej wybranki, słychać motyw muzyczny, który John Barry skomponował wieki temu na użytek filmu „W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości" (1969), najbardziej melodramatycznej części cyklu. Agent 007 stanął wtedy na ślubnym kobiercu z córką bossa korsykańskiej mafii, po czym ryczał jak bóbr, gdy zaraz na początku miodowego miesiąca Blofeld małżonkę zabił. Po latach dostajemy powtórkę z rozrywki: namiętne pocałunki, miłosne wyznania oraz podróż, zakłóconą przez atak zbirów z organizacji Widmo. Obie produkcje łączy też fatalny timing. Film Petera Hunta miał 137 minut, „Nie czas umierać" (2021) wyznaczył nowy rekord: 163 minuty.

OD KOBIECIARZA DO PANTOFLARZA

Skoro mowa o płci pięknej, to niegdysiejsze dziewczyny agenta z licencją na zabijanie biją się dzisiaj w piersi. Gemma Arterton przeprasza, że zagrała pierwszą naiwną („Miałam wtedy tylko 21 lat i studencką pożyczkę do spłacenia"). Feministki długo czekały na spełnienie swych postulatów. Z ich punktu widzenia Bond Connery był seksualnym drapieżnikiem, który na rozpaczliwe „Nie, nie, nie!" odpowiadał „Tak, tak, tak!". Bond Moore klepał niewiasty w pupy, a one ochoczo wskakiwały mu do łóżka. Bond Brosnan miał marną średnią: dwie kochanki na film. Panie często wyciągały go z opresji, ale czasem policzkowały i torturowały. Robił jednak wszystko, by zasłużyć na pochwałę szefa – oczywiście kobiety.

Bond Craig od początku skłaniał się ku monogamii. Bezwzględny dla facetów, dziewczyny nie uderzył nawet gazetą. W „Casino Royale" zabujał się w zdradzieckiej Vesper. W „007 Quantum of Solace" (2008), mając u boku atrakcyjną boliwijską agentkę, trzymał ręce przy sobie. W „Skyfall" (2012) sugerował, że homoseksualizm nie jest mu zupełnie obcy. W „Spectre" padła kolejna bariera: 007 spędził upojną noc z damą starszą od siebie. Bojowniczki o prawa kobiet wciąż nie były usatysfakcjonowane, więc zatrudniono dodatkową scenarzystkę, by rozbudowała żeńskie postaci. Rezultaty jej pracy są widoczne i trzeba przyznać, że filmu nie psują. Anna Armas w roli rezolutnej Kubanki wprowadza do fabuły trochę luzu i poczucia humoru. Uwaga: spoiler! Pogłoska, że następnym Bondem będzie Murzynka, znalazła częściowe potwierdzenie.

NIEDOLA KAMELEONA

Łatwość, z jaką cykl poddaje się zmiennym modom i środowiskowym naciskom, nie zaskakuje. Najsłynniejszy ze szpiegów Jej Królewskiej Mości zawsze był oportunistą. Producenci serii stosowali się do zasad politycznej poprawności w czasach, kiedy ów termin był jeszcze nieznany. Czasem tylko zawodziła ich wyobraźnia. Czyż mogli przewidzieć, że duet homoseksualnych morderców z filmu „Diamenty są wieczne" (1971) stanie się kiedyś kamieniem obrazy dla harcowników spod znaku LGBT? W „Żyj i pozwól umrzeć" (1973) szwarccharakterami byli wyłącznie Murzyni. Bojąc się oskarżeń o rasizm, zadbano, by chociaż jedna z dziewczyn 007 miała czarną skórę.

Uderzającą cechą Bonda numer 25 jest schyłkowość. Sygnalizuje ją już czołówka „Nie czas umierać". W tle mamrotanej przez Billie Eilish tytułowej piosenki marmurowe posągi pokrywają się krwawymi liszajami i wszystko rozpada się w pył. Wielka klepsydra odmierza czas. Z ekranu padają zarzuty, że superagent nie nadąża za zmianami, i złowieszcza zapowiedź: „Stare robi miejsce nowemu". Bond z twarzą Daniela Craiga przechodzi do historii. Co dalej?

Sądząc z wypowiedzi aktualnej właścicielki franczyzy, Barbary Broccoli, decyzje nie zapadną szybko. Jak zwykle wszystko zależy od wyników kasowych. Jeśli będą zadowalające, to nastąpi kolejny restart z nowym aktorem. Budżet „Nie czas umierać" opiewał na rekordową sumę 250 mln dol. Kampania reklamowa też kosztowała sporo, w dodatku trzeba było ją powtarzać. Wytwórnia stanie na głowie, by odzyskać zainwestowane środki. Jeśli to się nie uda, to pokusa sprzedania wyciśniętej cytryny będzie coraz silniejsza. Spryciarze z Disneya, przejmując prawa do „Gwiezdnych wojen", udowodnili, że format uważany za kompletnie zużyty może stać się żyłą złota. Szefowie Netflixa i HBO też o tym wiedzą.

Jeśli franczyza przejdzie w obce ręce, to angielskie brukowce podniosą krzyk, że Bond to niezbywalne dobro narodowe i symbol brytyjskości stażem ustępujący tylko królowej Elżbiecie II. Bądźmy jednak szczerzy: agent 007 już dość dawno temu przestał być patriotą. Od „Casino Royal" począwszy, głównym motywem jego działania jest zemsta. W „Nie czas umierać" poniekąd zmienia barwy klubowe, współpracując z Amerykanami bez zgody Londynu. Przyznanie Bondowi obywatelstwa USA byłoby logicznym zwieńczeniem jego kariery. Obrońca zachodniej cywilizacji, któremu udało się zdobyć globalną popularność, po przeprowadzce na drugą stronę Atlantyku odrodzi się jak Feniks z popiołów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

Spotkanie z „opętanym starcem”

Dzieło Katsushiki Hokusaia z serii „36 widoków góry Fudżi” oraz autoportret ponad 70-letniego Hokusaia (u góry)

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Łukasz Czarnecki

W Muzeum Narodowym w Krakowie prezentowane są drzeworyty, malowane tuszem i akwarelą obrazy oraz ilustrowane albumy autorstwa Katsushiki Hokusaia (1760–1849) – jednego z najwybitniejszych japońskich artystów, jacy kiedykolwiek stąpali u stóp góry Fudżi

Niewiele osób poza środowiskiem miłośników kultury japońskiej zdaje sobie sprawę z tego, że krakowskie Muzeum Narodowe dysponuje największą w Polsce kolekcją drzeworytów ukiyo-e. To specyficzny rodzaj grafiki, powstały w miastach Japonii epoki Edo (1603–1868). Szybko zyskał gigantyczną popularność, najpierw w swojej ojczyźnie, a po otwarciu granic Japonii w połowie XIX w. także w Europie i Ameryce. Do dziś charakterystyczny styl ukiyo-e kształtuje wyobrażenia człowieka Zachodu o Kraju Kwitnącej Wiśni.

Świat szczególnie pokochał prace Hokusaia. Pejzaże japońskiego artysty były wnikliwie studiowane przez impresjonistów, dla których stanowiły źródło inspiracji. Na początku XX stulecia z twórczością Japończyka zaznajomiony był każdy, kto cokolwiek znaczył w świecie sztuki.

Z WARSZAWY DO KRAKOWA

W Polsce propagatorem twórczości Hokusaia był kolekcjoner, krytyk i patriota – Feliks „Manggha” Jasieński. Na początku XX w. Jasieński postanowił zaprezentować warszawiakom swe bogate japonistyczne zbiory. Sal użyczyła na ten cel galeria Zachęta. Kolekcjoner wierzył w sukces. Zachodnia Europa przeżywała okres szału na sztukę japońską, którą Jasieński nazywał „ozdobą muzeów wszechświatowych”.

Wystawa szybko zdobyła rozgłos, ale nie taki, o jakim marzył organizator. W prasie warszawskiej pisano o Japończykach jako ludożercach, a goście przypinali pod eksponatami kartki z wulgarnymi napisami. Do kolekcjonera zaczęły nawet przychodzić anonimy z pogróżkami, każące wynosić mu się do Papuasów!

Doprowadzony do furii głupotą i chamstwem współobywateli „Manggha” wywiesił w końcu przy wejściu na ekspozycję tabliczkę z napisem „Nie dla bydła”. Śmiertelnie obrażony przeniósł się do Galicji, zabierając ze sobą bezcenną kolekcję dzieł sztuki różnych stylów i artystów. Poczesne miejsce zajmowało w niej 5 tys. japońskich drzeworytów, książek, obrazów i militariów, zaś perłą w koronie było 400 dzieł umiłowanego przez Jasieńskiego Hokusaia. W tym 15 tomów wypełnionego szkicami albumu „Manga”, którego tytuł Jasieński przyjął za pseudonim i sygnował nim publikowane na łamach gazet artykuły. Inna rzecz, że mało kto poza artystycznym światkiem rozumiał znaczenie przydomka, a sam „Manggha” zaklinał się, że pewnego razu w Krakowie usłyszał rozmowę dwóch mieszczek, z których jedna tłumaczyła koleżance, iż „Manggha” to... japońska żona kolekcjonera.

Prezentowane w Krakowie grafiki pochodzą w przeważającej części ze zbiorów Jasieńskiego – 101 lat temu ofiarowanych narodowi polskiemu w postaci bezpłatnej darowizny dla Muzeum Narodowego w Krakowie. Za przechowywane pod Wawelem japonica posiekać na kawałki daliby się nawet kustosze Luwru lub Muzeum Brytyjskiego. Tym bardziej szokuje świadomość, że całe to japoni-

eprasa.pl fa121f19c2

styczne bogactwo gród Kraka zawdzięcza pasji, niestrudzonej woli i majątkowi jednego tylko człowieka! Nic więc dziwnego, że w 160. rocznicę urodzin swego dobroczyńcy Muzeum Narodowe czci jego pamięć, organizując wystawę prac ubóstwianego przezeń Hokusaia.

WESOŁE JEST ŻYCIE STARUSZKA

Kim właściwie był Hokusai? Jasieński mówił o nim: „Na czele kroczy zgrzybiały, a cudownie młody, pełen ognia i zapału Hoksaj”. Przypisywana artyście przez kolekcjonera zgrzybiałość nie stanowiła obraźliwego epitetu. Choć Katsushika sztuką wizualną zajmował się od najmłodszych lat, studiując techniki artystycznego wyrazu pod okiem mistrzów najwybitniejszych japońskich szkół malarskich, a nawet zapoznając się z nielicznymi dostępnymi w ówczesnej Japonii obrazami europejskich artystów, to na szerokie wody wypłynął dopiero po czterdziestce. Najlepszy okres jego twórczości przypada zaś na czasy, gdy miał już dobrze po sześćdziesiątce.

Ten „opętany obrazami starzec”, jak sam się z ironią nazywał, tworzył z pasją i szybkością, która rzeczywiście mogła nasuwać podejrzenia, że jego kruche ciało jest we władaniu jakiś duchów. Prezentowany na krakowskiej wystawie portret siedemdziesięciokilkuletniego Hokusaia przedstawia wychudzonego łysego staruszka, ciężko opartego na lasce. Wydaje się, że starczyłby jeden mocniejszy podmuch wiatru, by model rozsypał się niczym przejrzałe kwiaty wiśniowego drzewa. Tymczasem w chwili uwieczniania jego sylwetki „opętany starzec” był u szczytu sił twórczych. Większość ludzi, osiągnąwszy wiek, w którym go sportretowano, od dawna już jest na emeryturze, ba – w Japonii początku XIX w. mało kto go dożywał! Tymczasem Hokusai jasno dawał do zrozumienia, że dopiero się rozkręca.

Oddajmy zresztą głos samemu zainteresowanemu, który w roku 1834 pisał we wstępie do albumu „100 widoków góry Fudżi”:

„Od szóstego roku życia odczuwałem potrzebę malowania wszystkiego, co widziałem wokół siebie. Gdy osiągnąłem wiek pięćdziesięciu lat, opublikowałem już niezliczoną ilość rysunków, nie byłem jednak z tego, co dotychczas stworzyłem, zadowolony. Dopiero teraz, gdy skończyłem siedemdziesiąt trzy lata, zbliżam się do poznania rzeczywistego kształtu

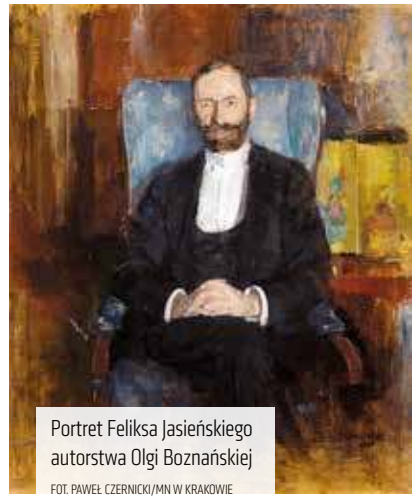

Portret Feliksa Jasieńskiego autorstwa Olgi Boznańskiej

FOT. PAWEŁ CZERNICKI/MN W KRAKOWIE

i charakteru ptaków, ryb i roślin. Do osiemdziesiątego roku życia zrobię dalsze postępy, a w dziewięćdziesiątym wniknę w istotę wszystkich rzeczy. W setnym roku osiągnę wysoki poziom doskonałości, gdy zaś dożyję lat stu dziesięciu, każdy punkt, każda kreska, będzie żyć własnym życiem. Wzywam więc wszystkich, którzy doczekają tego mojego wieku, aby przekonali się o słuszności tych słów. Pisane w siedemdziesiątym piątym roku życia przeze mnie, niegdyś zwanego Hokusai, dziś – »starcem opętanym rysowaniem«”.

Pozwolę zaryzykować sobie stwierdzenie, że powyższe słowa należałoby dawać do lektury wszystkim tym, którzy przeżywają kryzys wieku średniego lub nie mogą się odnaleźć na emeryturze. Kreśląc je pędzelkiem, Hokusai nie teoretyzował niczym większość współczesnych tzw. coachów. Tezie o tym, że „życie zaczyna się po sześćdziesiątce”, pozostał wierny aż do śmierci. Ta chyba lubiła jego twórczość, bo zabrała go dopiero po 89. urodzinach.

Zmarł tak, jak żył, malując do ostatnich chwil. Gdy po odejściu artysty ktoś zapobiegliwy policzył wszystkie jego dzieła, okazało się, że w trakcie długoletniej kariery Hokusai namalował lub naszkicował ponad 35 tys. obrazów! Co zaś najbardziej zdumiewające, powodująca zawrót głowy liczba dzieł szła w parze z najwyższą jakością ich wykonania. Nawet najmniejszy szkic mistrza był dowodem geniuszu zmarłego.

WĘDRUJĄC WŚRÓD PIĘKNA

Krakowska wystawa oferuje zwiedzającym możliwość zapoznania się z różnorakimi tematami podejmowanymi przez „opętanego starca” w trakcie jego długiej kariery. Dominują cykle pejzaży, takich jak choćby „36 widoków góry Fudżi”. Wbrew mogącej powodować konfuzję nazwie wchodzące w skład tej serii drzeworyty bynajmniej nie stawiają sobie za główny cel oddania majestatu góry – wręcz przeciwnie: na większości z nich szczyt przycupnięty jest na odległym planie, a uwaga artysty skupia się na oddaniu na papierze gwaru dnia codziennego. Najważniejsi są tu ludzie, których obserwujemy w różnych sytuacjach, czasem zupełnie zwyczajnych (np. wędrujących gościńcem), kiedy indziej dramatycznych. Przykładowo „Wielka fala w Kanagawie” koncentruje się na dramatycznej walce o życie, toczonej przez rybaków stawiających z pokładu małej łódki czoło furii morskiego żywiołu. Znajdująca się na dalekim planie góra Fudżi wydaje się w porównaniu z potężną, zagrażającą ludziom falą tak mała, że wręcz filigranowa. Warto podkreślić, że drzeworyt ten jest najsłynniejszym ze wszystkich dzieł Hokusaia. Od chwili, gdy po raz pierwszy trafił na rynek wydawniczy w roku 1831, doczekał się aż 8 tys. reedycji!

Przemierzającym muzealne sale widzom dane są też podziwianie mostów z różnych prowincji dawnej Japonii czy obserwacja scenek będących udziałem podróżnych przemierzających łączący Edo z Kioto trakt Tōkaidō, główną i najbardziej zatłoczoną arterię komunikacyjną Kraju Kwitnącej Wiśni w czasach reżimu Tokugawów. Na gości o mocnych nerwach czyhają wizerunki upiorów i demonów z niedokończonego cyklu „Opowieści przy stu knotkach”, stanowiącego zbiór ilustracji do popularnych za życia Hokusaia opowiadań grozy.

Słowo pisane i obraz to dwa różne media. Nie jest możliwe oddanie na papierze nieprzemijającego piękna dzieł „opętanego starca”. O tym, że jego sztuka porywa duszę człowieka na zupełnie inne plany egzystencji, musicie się przekonać już sami. Przyjeżdżajcie zatem do Krakowa, a po obejrzeniu wystawy przespacerujcie się na cmentarz Rakowicki i zapalcie znicz na grobie Jasieńskiego – człowieka, za sprawą którego możemy obcować z geniuszem Hokusaia bez potrzeby odbywania dalekich podróży do galerii Paryża, Londynu czy Nowego Jorku. Zasłużył.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawę „Hokusai. Wędrując…” oglądać można w Muzeum Narodowym w Krakowie do 5 grudnia 2021 r.

eprasa.pl fa121f19c2

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Ścieżki niezbadane

★★★★★★

REŻ. ANDERS THOMAS JENSEN
„JEŹDŹCY SPRAWIEDLIWOŚCI" („RETFÆRDIGHEDENS RYTTERE")
DANIA 2020

wyst. Mads Mikkelsen, Andrea Heick Gadeberg, Nikolaj Lie Kaas

Nie jest to dramat zemsty, choć można mieć takie wrażenie, oglądając zwiastun i czytając streszczenie fabuły: zabijaka w mundurze wraca do ojczystej Danii, gdzie w katastrofie pociągu zginęła jego żona. Są powody, by sądzić, że był to zamach. Gdzie zamach, tam sprawcy, a sprawców można ukarać, zatem Markus (znakomity Mads Mikkelsen) rozpoczyna prywatne śledztwo. Dochodzenie okaże się sportem drużynowym, bo w tropieniu gangu motocyklistów pomaga mu przedziwne trio życiowych przegrywów: stały bywalec terapii, który był ofiarą molestowania seksualnego, ogarnięty obsesją przewidywania analityk od rachunku prawdopodobieństwa oraz opasły maniak komputerowy.

Reżyser Anders Thomas Jensen („Jabłka Adama") szybko kieruje dramat na tory inne, niż można się było spodziewać. Najpierw w centrum opowieści mamy trudne relacje między owdowiałym ojcem a nastoletnią córką. Markus zupełnie nie radzi sobie w roli samotnego rodzica, niewiele wie o własnym dziecku, całe życie spędził na misjach albo w garnizonie. Potem, kiedy wokół niego uformuje się najdziwniejsza grupa mścicieli, jaką widzieliście w kinie, odkrywamy, że powstaje namiastka rodziny. Jeden z dziwaków mówi, że ludzie z problemami lgną ku sobie jak grubasy – bo w grupie wyglądają na chudszych. Ryzykownego humoru jest tu mnóstwo, bo Jensen jest mistrzem czarnej komedii, ale nigdy nie jest to zabawa dla samej zabawy.

Ostatecznie okaże się, że „Jeźdźcy Sprawiedliwości" (to nazwa gangu motocyklistów, ale można tak określić także Markusa i jego nowych kumpli) to opowieść niemal w duchu fabuł braci Coen. „Każde wydarzenie jest skutkiem jakiegoś innego wydarzenia" – przekonuje na początku filmu Otto, sugerując, że nic nie dzieje się przypadkiem. Ale skoro tak, to kto uruchamia ciągi zdarzeń? I po co? Dwa razy – w prologu i epilogu – oglądamy dziwną figurę brodatego starca, bez którego działania losy bohaterów filmu potoczyłyby się zupełnie inaczej. Spełniając czyjeś życzenie, sprowadzi na kogoś innego tragedię. Trudno nie widzieć w nim figury Boga, którego wyroki są niezbadane. Szlachetny poryw serca może skończyć się dramatem, ale także odwrotnie – wielki dramat może nieoczekiwanie zrodzić wielkie dobro. O tym przypomina Anders Thomas Jensen w filmie, który jest jedną z najlepszych premier roku. ©℗

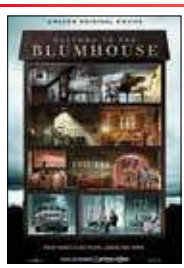

NOWE SERIALE: „WELCOME TO BLUMHOUSE"

prime video

Rok po premierze pierwszego sezonu otrzymujemy kolejny zestaw filmów grozy stworzonych przez studio Blumhouse Productions. Sezon drugi tworzą cztery filmy. „Bingo Hell" to komediowy horror o upartych emerytach, którzy popadną w nieziemskie kłopoty. „Black as Night" zabiera nas na łowy wampirów w Nowym Orleanie. „Madres" to historia opętania rozgrywająca się w latach 70. „The Manor" natomiast to opowieść o luksusowym domu opieki, którego pensjonariusze padają ofiarą tajemniczego fenomenu nadnaturalnego. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***sezon 2 „Welcome to Blumhouse", USA 2021***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 4* ***„On My Block"****, USA 2021*

• *sezon 5* ***„Młody Sheldon" („Young Sheldon")****, USA 2021*

• *sezon 2* ***„Asy wywiadu" („Intelligence")****, Wielka Brytania 2021*

FOX comedy

eprasa.pl fa121f19c2

Porno dla ubogich

KINO

Kto narzeka, że polscy twórcy za bardzo skandalizują, a za mało kochają ojczyznę, powinien obejrzeć „Niefortunny numerek" i klapki spadną mu z oczu. W artystycznych salonach Międzymorza ojkofobia szerzy się jak ogień na stepie. Radu Jude, który już wcześniej próbował mącić narodową kadź, popełnił pamflet na współczesną Rumunię. Branża nagrodziła nihilizm reżysera Złotym Niedźwiedziem na festiwalu w Berlinie, uznając widać, że porusza problemy uniwersalne: zderzenie bezwstydu z hipokryzją, ekspansję chamstwa i głupoty, zanik etyki tudzież estetyki. Długa wędrówka bohaterki ulicami Bukaresztu służy udowodnieniu, że jest to najbrzydsze miasto Europy, a może nawet świata. Kamera masochistycznie kontempluje chaos, będący odbiciem bałaganu w głowach obywateli. Nauczycielka renomowanego stołecznego gimnazjum zostaje rozpoznana przez uczniów jako gwiazda krążącego w sieci amatorskiego filmu porno. Jude serwuje go widzom na dzień dobry, bez żadnego znieczulenia. W tym szaleństwie jest metoda: by zapracować na miano artysty bezkompromisowego, nie wystarczy dziś piętnować antysemityzm, faszyzm i homofobię oraz szydzić z autorytetów. Trzeba pokazać, jak żałosnym stworzeniem jest homo sapiens. Na szczęście reżyser oprócz pasji demaskatorskiej ma poczucie humoru. Ono nas uratuje. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★☆☆☆☆

REŻ. RADU JUDE
„NIEFORTUNNY NUMEREK LUB SZALONE PORNO"
RUMUNIA/ CHORWACJA/ CZECHY 2020

wyst. Katia Pascaru, Claudia Ieremia, Nicodim Ungureanu

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PORA NA SPONSORA

cda PREMIUM

Co zostało z ekranizacji „Śniadania u Tiffany'ego" 60 lat po premierze? Sentymentalna piosenka „Moon River" tudzież fotos Audrey Hepburn z bardzo długą cygarniczką. Reszta cokolwiek się zestarzała, z winy adaptatorów. Historię przyjaźni amoralnej naciągaczki z podobnym jej pasożytem, utrzymywanym przez bogatą starszą panią, opowiedzieli w duchu kina familijnego. Truman Capote, autor oryginału, był zdegustowany, w dodatku producenci zignorowali postulat pisarza, który w głównej roli widział Marilyn Monroe. Hepburn jest jak zwykle olśniewająca, lecz u mężczyzn zamiast pożądania wzbudza instynkt opiekuńczy. Jeśli rzeczywiście chciała zerwać z wizerunkiem grzecznej dziewczynki, to poniosła porażkę na całej linii. Na tle „Nocnego kowboja", filmu młodszego tylko o lat osiem, „Śniadanie u Tiffany'ego" razi naiwnością ocierającą się o hipokryzję. Ot, urocza nowojorska bajeczka. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. BLAKE EDWARDS
„ŚNIADANIE U TIFFANY'EGO" („BREAKFAST AT TIFFANY'S")
USA 1961

wyst. Audrey Hepburn, George Peppard, Patricia Neal

DUCH BLOKOWISKA

KINO

Jednym z objawów zachodniej rusofilii było nazwanie podparyskiego osiedla imieniem Gagarina. Kosmonauta nawet pofatygował się doń z wizytą, owacyjnie witany przez mieszkańców, zwykle Francuzów świeżej daty. Bloki z czasem skorodowały jak wiara w zwycięstwo marksizmu-leninizmu, postanowiono więc je wyburzyć. Okoniem stanęła część lokatorów, zżytych ze sobą tudzież z ponurą modernistyczną architekturą. „Gagarine" jest filmem na wpół dokumentalnym, surrealistycznym w formie, melancholijnym w treści. Czarnoskóry Youri, obdarzony talentami pomysłowego Dobromira, próbuje powstrzymać zagładę krainy dzieciństwa. Po prawdzie nie ma też dokąd iść. Jego muza, cyganka Diana, marzy o wyjeździe do USA, „bo tam człowiek jest wolny". Rzecz spodoba się poetom, squattersom oraz tym, którzy za młodu lubili spoglądać na Księżyc i rozgwieżdżone niebo, choć potem im przeszło. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. FANNY LIATARD/JEREMY TROUILH
„GAGARINE"
FRANCJA 2020

wyst. Alseni Bathily, Lyna Khoudri, Finnegan Oldfield

GRA TYGODNIA: „DIABLO II: RESURRECTED"

★★★★★☆

„Zostań na chwilę i posłuchaj" – usłyszeliśmy przed ponad dwiema dekadami w Tristram. Wielu zostało na całe lata, uznając drugą część „Diablo" za najlepszą odsłonę serii i czekając na „Resurrected" bardziej niż na „Diablo IV". Zaliczam się do tego grona, dlatego cieszę się, że po blamażu z „Warcraft III: Reforged" tym razem Blizzard nie zawiódł. Remaster zamienił grę, która nawet 20 lat temu graficznie odstawała, w bardzo dobrze wyglądającą i brzmiącą produkcję. Z wadami i zaletami pierwowzoru. Kto nie grał, koniecznie musi nadrobić. Kto grał, z przyjemnością powróci na szlak. ©℗

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Hack'n'slash*
- ***Platforma:*** *PC, XSX, XONE, PS5, PS4, NS*
- ***Producent, wydawca:*** *Blizzard Entertainment*

eprasa.pl fa121f19c2

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Teksas po śląsku

Historia opowiedziana przez Michaela Sowę w jego literackim debiucie jest – dzięki książkom historycznym i filmom dokumentalnym – całkiem nieźle znana. W połowie XIX w. do amerykańskiego Teksasu przeprowadziła się niemal cała Płużnica, śląska wioska położona niedaleko Strzelec Opolskich. Za wielką wodą przybysze założyli osadę nazwaną Panna Maria.

Ten śląski exodus, który w sumie objął 2,3 tys. osób, zapoczątkował franciszkanin, ks. Leopold Moczygemba, pochodzący z tejże Płużnicy, który w Ameryce prowadził pracę duszpasterską w okolicach San Antonio. Przypomniawszy sobie o rodzinie, postanowił ściągnąć ją do Teksasu, a w ślad za nią podążyły inne familie, sąsiedzi, znajomi. O losach pierwszej, 150-osobowej grupy, dla której ksiądz odprawił nabożeństwo w Wigilię 1854 r., opowiada powieść Michaela Sowy „Tam, gdzie nie pada".

O autorze wiemy, że od lat mieszka w Niemczech, jest fizykiem, nauczycielem, tłumaczem, a ponadto – jak twierdzi – technikiem mechanikiem i ślusarzem w jednej osobie. Teraz stał się pisarzem. No i najważniejsze, na świat przyszedł w tej samej Płużnicy.

W powieści można sobie pozwolić na wiele, choć trzeba przyznać, że autor trzyma się faktów, przynajmniej tych najważniejszych. Zachował też język, jakim posługują się jego śląscy bohaterowie, ale na szczęście tylko w dialogach; nie-Ślązakom przydaje się niewielki słowniczek wyjaśniający znaczenie niektórych słów charakterystycznych dla śląskiej mowy. Całość utrzymana jest w formie gawędy, mimo miejscami trudnej, poważnej tematyki nasyconej humorem, językowym i sytuacyjnym. Odnośnie do budowy powieści miałbym jedynie zastrzeżenia do pierwszych rozdziałów tej,

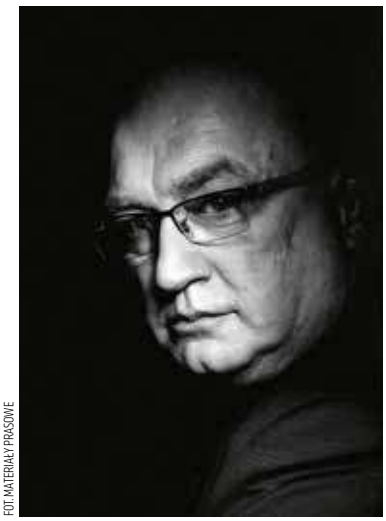

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jak czytamy na okładce, „Ballady o śląskim Teksasie". Stanowczo zbyt wolno rozwija się akcja i choć można się domyślać, że ma to związek z przedstawianym klimatem beznadziei panującej wśród chłopstwa na Śląsku Opolskim, trzeba niemało cierpliwości, by lektura „zaskoczyła" i pociągnęła czytelnika za sobą.

Mieszkańcy Płużnicy jadą do Ameryki w poszukiwaniu lepszego życia, to bowiem, które tu wiodą, nie odpowiada już ich – przecież niewygórowanym – aspiracjom. Cóż z tego bowiem, że chłopi zostali tam w 1811 r. uwłaszczeni, skoro wielu z nich nie miało ani wystarczającego areału ziemi, by mogli z niej wyżyć, ani pieniędzy, żeby nabyć ziemię od pana. Tak że mieli prawo do ziemi, ale tylko na papierze. Inna sprawa, że w Ameryce też nie wszystkim z nich się powiodło. Ale – co przekonująco ukazuje Michael Sowa – najbardziej przedsiębiorczy, co nie zawsze znaczyło – najpracowitsi, odnaleźli w Teksasie swoje miejsce na ziemi. Tyle że ks. Moczygemba, musiał stamtąd uciekać i przenieść się na północ Stanów Zjednoczonych, ścigał go bowiem gniew tych, którym się nie udało i którzy obwiniali kapłana za swą życiową porażkę. To jednak wykracza poza ramy powieści, kończącej się – zdradźmy – nie tyle happy endem, ile względnie optymistycznym finałem.

Powieściowi Ślązacy akcentują swą odrębność: i od Polaków, i od – nie, nie Niemców, bo Niemiec jeszcze wówczas nie było, tylko Związek Niemiecki – Prusaków. A ich stosunek do jednych i drugich obrazuje następująca wymiana zdań:

„– Pruski porządek jest, ino skuli tego, bo ktoś na nich musi robić. Jakby nikt na nich nie robioł, toby bajzel mieli jak kaj indziej. Nos tu mają już od zawsze, bo śląski chłop przywiązany jest do ziemi. Dlotego wydowo sie im, że mogą robić z nami i z Polokami, co chcą, a my zawdy podkulymy ogon.

– Polok zawdy w dupa dostanie, tak jak Ślonzok. Ino Ślonzok przy tym tela larma nie robi. Polok bydzie się targoł i na krzywe pyski z Niemcem zawsze przidzie. A my ino łeb umiymy schylić, pysk trzymać i robić to, co nom sie koże. Czas z tym skończyć".

No i skończyli, a przynajmniej usiłowali skończyć. W Teksasie, trochę podobnym do Śląska, który był polski, czeski, pruski, habsburski, a nawet i śląski. Teksas z kolei należał do Meksyku, później wybił się na niepodległość, by wreszcie stać się częścią Stanów Zjednoczonych. „Za dziesięć lat – czytamy – na pewno będzie należeć do Chin albo znajdzie się na Księżycu, bo normalne nic tu nie jest".

Ta teksańska nienormalność lepsza była od śląskiej normalności. Żeby się o tym przekonać, bohaterowie powieści potrzebowali determinacji i odwagi. Choć lepiej by mówili o niej inaczej niż: „Taki mały krok dla wielkiego płużanina, ale wielki dla małej Płużnicy". Ale że w tej powieści nawet kot filozofuje, to nie czepiam się detali. ©℗

★★★★☆

MICHAEL SOWA „TAM, GDZIE NIE PADA"
LIRA, WARSZAWA 2021

eprasa.pl fa121f19c2

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Próżny fetyszyzm

W idealnym świecie wszystkie bardzo dobre pomysły zamieniałyby się w bardzo dobre książki. Książka „Domy pisarzy" przypomina nam, że nie żyjemy w świecie idealnym. Pomysł był obiecujący. „Uprawiam swojego rodzaju fetyszyzm literacki. Odwiedzam domy pisarzy, kładę się do ich łóżek, wącham należące do nich bibeloty. Przeglądam książki w ich bibliotekach, zaglądam do biurek i szaf" – wyznawała we wstępie Marzena Mróz-Bajon.

Ważna uwaga, żeby nie było dwuznaczności: chodzi o domy pisarzy, którzy już nie żyją. Przypomniała mi się opowieść tłumacza Macieja Świerkockiego o jego peregrynacjach śladem Jamesa Joyce'a. Chodzeniu tymi samymi ulicami, piciu kawy w tych samych kawiarniach. Mówił mi Świerkocki w programie „Literatura na trzeźwo", że nawet kiedy te podróże nic merytorycznego nie przynoszą, to on sam, pracując nad nowymi przekładami Joyce'a, czuje się pewniej, odważniej, lepiej.

Czego w domach Faulknera, Márqueza, Kawafisa czy Bułhakowa szukała Mróz-Bajon? Odnoszę wrażenie, że poza dreszczykiem turysty ani niczego nie szukała, ani niczego nie znalazła. Z zainteresowaniem obejrzałem jej zdjęcia z podróży, z ciekawością czytałem o tym, jak dane miejsce wyglądało kiedyś, a jak wygląda dziś i co się w nim dzieje. Nie ukrywam jednak, że ze słów „domy" i „pisarzy" bardziej interesowało mnie to drugie. Jeśli już bowiem wierzyć w jakiś genius loci, w tajemną więź między twórcą a otoczeniem, w którym pracował, to wypadałoby ową więź przebadać, wysnuć nieco własnych, choćby i karkołomnych teorii. Albo pójść w tak modny dziś subiektywizm i przefiltrować przez odwiedzane miejsca własne doświadczenia i wrażenia z lektury. Pokazać, co się zmienia, gdy promień światła przebija przydymione szkiełko czasu.

Niczego takiego w „Domach pisarzy" nie znalazłem. Głębię wywodu własnego zastępują miniantologie cytatów z dzieł opisywanych bohaterów. Informacje o nich samych ograniczają się do banałów: był wielkim poeta, był znakomitym powieściopisarzem i tak dalej. Tak, wiem, gdyby nie to, pewnie ani autorka by się do ich domów nie wybrała, ani same domy nie przetrwałyby do dziś. Szczegóły z życia? Tak, smaczne, ale dobry research to w czasach Internetu podstawowy obowiązek, a nie powód do dumy. Egzaltacja i pretensjonalność są zaś wrogiem myślenia oraz głębszej analizy. A może po prostu do opowieści o domach pisarzy potrzeba innego pisarza? ©℗

★★☆☆☆☆

MARZENA MRÓZ-BAJON „DOMY PISARZY" MARGINESY 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

O komputerach, umyśle i prawach fizyki – wznowienie jednej z najgłośniejszych książek ubiegłorocznego noblisty, szukającego odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób kształtuje się i funkcjonuje ludzka świadomość.

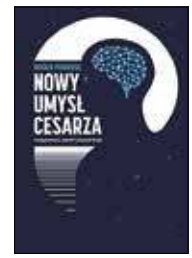

ROGER PENROSE „NOWY UMYSŁ CESARZA" ZYSK I S-KA

Goldsworthy jest autorem wybitnej książki o Imperium Rzymskim („Pax Romana"). W swojej historii wojen punickich ukazuje kluczowy moment ekspansji Rzymu. Triumf Kartaginy zmieniłby zdecydowanie bieg historii

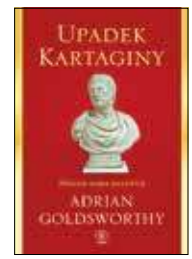

ADRIAN GOLDSWORTHY „UPADEK KARTAGINY" REBIS

Wybór poezji i prozy jednego z najciekawszych węgierskich pisarzy XX w. Znaliśmy go dotąd z kilku antologii, tymczasem jest to jeden z najchętniej przekładanych (także na Zachodzie) i komentowanych poetów swego kraju.

JÁNOS PILINSZKY „KAMIEŃ I CHLEB" BIAŁY KRUK

„50 odcieni morderczej zieleni" – czytamy w podtytule opowieści o arszeniku. Instrument zbrodni, barwnik w tapetach (czy to on zabijał – a nie suchoty?), toksyna w farbach impresjonistów. Fascynujący kawałek historii medycyny. ©℗ ***Piotr Gociek***

WIKTORIA KRÓL „KOLOR ŚMIERCI, ODCIEŃ GROBU" WYDAWNICTWO IX

KOMIKS TYGODNIA: „BATMAN. ŚWIAT"

Nietypowa antologia, która jest zarówno hołdem dla postaci Mrocznego Rycerza złożonym przez artystów z całego globu, jak i okazją do zastanowienia się nad tym, jak mogłyby wyglądać jego przygody z dala od Gotham. W szranki stanęli m.in. scenarzyści i rysownicy z Japonii i Chin, Brazylii i Meksyku, Rosji i Niemiec. Europę Środkową reprezentują Czesi i Polacy. Nasz rozdział sagi o Batmanie wymyślony został przez znanego wydawcę i pisarza SF Tomasza Kołodziejczaka, a narysowany przez Piotra Kowalskiego. Akcja komiksu „Obrońca miasta" rozgrywa się w Warszawie. ©℗

AUTORZY RÓŻNI „BATMAN. ŚWIAT" EGMONT 2021

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl fa121f19c2

Dorośli

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kiedy większość z nas tylko o tym marzyła, muzycy tworzący zespół Dorośli to zrobili. Postanowili przeczekać pandemię z dala od pozamykanych miast, policyjnych patroli i ostrzeżeń nadawanych z głośników radiowozów jeżdżących po opustoszałych ulicach. W czerwcu 2020 r. wyjechali w Beskid Niski, zamieszkali w łemkowskiej chyży, wypełnili ją instrumentami i zamknęli się, aby tworzyć.

– Przyjechaliśmy na lockdown, żeby go spędzić w gronie bliskich ludzi, żeby się zająć muzyką i twórczo podejść do pandemii i dogonić czas, którego wcześniej nie udało się dogonić. Zamknęliśmy się na półtora miesiąca w Beskidzie, a potem się okazało, że jest tak pięknie, a pracy nadal nie ma, że lepiej już zostać w cudownym miejscu i zająć się nagrywaniem płyty – opowiada w rozmowie z portalem halogorlice.info Igor Spolski, wokalista, multiinstrumentalista, kompozytor i autor tekstów. Oraz podróżnik, który tuż przed pandemią tworzył w Nepalu najpierw objazdowe kino, a później zespół, z którym odwiedzał himalajskie wioski.

Pandemia zmusiła go do powrotu, ale w Beskidzie lider Dorosłych świetnie się odnalazł. Oprócz nagrywania płyty zespół zajął się także koncertowaniem. Gdy nie było można przed publicznością, przeniósł się do sieci, streamując bezpośrednio z drewnianej chaty, którą muzycy nazywają wręcz Domem Kultury Śnietnisko w Beskidzie Niskim.

Debiutancki album, który nazywa się tak samo jak zespół, to dziewięć slow-life'owych, inspirowanych nowym amerykańskim folkiem kompozycji. – To mieszanina dwóch perspektyw: dziecięcej i dorosłej, która stała się punktem wyjścia do opowieści o dorastaniu – mówił o płycie Igor Spolski w rozmowie na antenie Czwórki. ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Ognisty ptak

Australijska piosenkarka i aktorka stała się gwiazdą już dzięki pierwszemu singlowi „Torn" z 1997 r. Szósty album Natalie jest jej pierwszą od 12 lat płytą z oryginalnym materiałem.

Imbruglia przez lata na swoich płytach udanie łączyła przystępną muzykę alternatywną z ambitnym popem. Na poprzedniej płycie „Male", zawierającej męskie covery, wokalistce udało się sprawić, że utwory The Cure, Daft Punk czy Toma Petty'ego brzmiały jak jej własne. Tytuł najnowszego albumu, „Firebird", nie jest przypadkowy – na płycie odczuwalny jest triumfalny nastrój. Piosenki pokazują, że Imbruglia podnosząc się z popiołów, nie zapomniała o przeszłości. „Maybe It's Great", którą napisała wspólnie z Albertem Hammondem Jr. z The Strokes, jest zabawnym pastiszem synth popu, „On My Way" zawiera echa dokonań The Pretenders, a nastrojowa mieszanka elektronicznych i akustycznych instrumentów w „River" nawiązuje do jej debiutanckiego albumu „Left of the Middle". Czasem wydaje się, że piosenki są zbyt gładkie, ale na szczęście Imbruglia wplata w każdą z nich jakiś niepokojący element.

Nie jest to oczywiście propozycja dla wytrawnych koneserów muzycznych, ale w czasach zalewu elektronicznego banału te 14 piosenek dziewczyny o „krystalicznie czystym głosie" brzmią nad wyraz autentycznie. ©℗

★★★★☆☆
NATALIE IMBRUGLIA „FIREBIRD"
BMG

★★★★☆☆
KUBA BADACH „OBECNY TRIBUTE TO ANDRZEJ ZAUCHA"
AGORA

Z okazji 30. rocznicy śmierci Andrzeja Zauchy ukazało się wznowienie płyty Badacha z coverami piosenek tragicznie zmarłego wokalisty. Nowa edycja została uzupełniona o dwa nagrania („W złotych kroplach deszczu", „Czarny Ali Baba") oraz nową okładkę autorstwa Andrzeja Pągowskiego.

★★★☆☆☆
NOCNY KOCHANEK „STOSUNKI MIĘDZYNARODOWE"

Nocny Kochanek znowu świntuszy na metalową nutę, ale tym razem przerabiając na język polski frywolne utwory AC/DC, Led Zeppelin, Guns N' Roses czy Judas Priest. Jest ostro, sprośnie, a aranżacje znanych hitów nie odbiegają znacząco od oryginałów. Piwna przekąska. ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

W nieaktualnych zapowiedziach repertuarowych Teatru Telewizji pozycją najbardziej interesującą wydawały się „Narty Ojca Świętego", jedyny utwór sceniczny Jerzego Pilcha FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nasz brand, nasza duma

Krzysztof Masłoń

Jest pięknie. Prezes Kurski kolejny raz powtórzył, że w kierowanej przez niego telewizji teatr pełni absolutnie wyjątkową funkcję, jako że to właśnie Teatr Telewizji, nie żaden inny, jest największym teatrem na świecie. A żeby słowo stało się ciałem, niemal natychmiast zaserwował nam inscenizację dramatu Tadeusza Różewicza „Stara kobieta wysiaduje". Wprawdzie 21 lat temu tym samym dramatem Telewizja Polska chciała już olśnić telewidownię, no ale wtedy spektakl reżyserował Filip Bajon, a teraz Andrzej Barański.

„Reżyser Andrzej Barański – chwali się instytucja z ul. Woronicza – jako jedyny dostał zgodę spadkobierców praw autora na realizację telewizyjną tego dramatu". Wspaniale, ale gdyby w telewizji publicznej „Starą kobietę…" zapowiadano i reklamowano tak zawzięcie, jak choćby niezapomniane koncerty discopolowe, może choć procencik tych, którzy w porze emisji w Jedynce poniedziałkowego teatru oglądają w Dwójce „M jak miłość", zrezygnowałby ze śledzenia – ten jeden raz – niewątpliwie pasjonujących perypetii miłosnych braci Zduńskich czy Chodakowskich. I wybrałby Różewicza.

Wiśta wio, łatwo powiedzieć – rzekłby Andrzej Talar, grany przez Tomasza Borkowego, który – jak wieść niesie – o emeryturze nie myśli i ma całą masę nowych pomysłów. Oby nie było to tylko zamierzenie skręcenia trzeciej serii „Domu". Możliwe bowiem jest wszystko. Oto Orphan Studio nabyło prawa do adaptacji wiekopomnych dzieł Zbigniewa Nienackiego o Panu Samochodziku. Kto zastąpi Stanisława Mikulskiego w tytułowej roli muzealnika-ormowca? Casting już się zaczął.

W rywalizacji z serialami Teatr Telewizji („To jest nasz brand, nasza duma" – cytat za: Jacek Kurski „Dzieła zebrane") stoi niestety na przegranej pozycji. Gdy niedawno telewizyjne władze postanowiły ograniczyć nadawanie innego tasiemca – „Barw szczęścia" – do czterech dni w tygodniu, zaraz musiały wycofywać się rakiem z tej pochopnej decyzji. Tak donośny był protest!

Jednak o telewizyjnym teatrze, rzeczywiście, także było w ostatnich miesiącach głośno, tyle że za sprawą roszad personalnych na dyrektorskich stołkach tej sceny, w trakcie których jedna Kalina zastąpiła drugą, niestety, żadna z nich nie była Kaliną Jędrusik.

Pocieszano się, że panie dyrektorki tak czy inaczej podlegać będą naddyrektorowi Matyszkowiczowi, w którym jednak zainteresowani widzą bardziej filozofa niż artystę. Jako kogo postrzegają prezesa, nie wiem i nie chcę wiedzieć, bo strach się bać.

W nieaktualnych już zapowiedziach repertuarowych Teatru Telewizji pozycją najbardziej interesującą wydawały się „Narty Ojca Świętego", jedyny utwór sceniczny Jerzego Pilcha, swego czasu uznany za, powiedzmy, dyskusyjny, jako że skandalista z Wisły rodem był luteraninem. Od wystawienia na szklanym ekranie wyreżyserowanej przez Piotra Cieplaka, istotnie, świetnej sztuki minęło lat 15; nie tylko Jana Pawła II nie ma już wśród nas, lecz także Pilcha, można więc było liczyć i na tę powtórkę. Choć chyba już przy innym rozdaniu.

Teatr Telewizji przypomnieć też miał spektakl według „Siedmiu dalekich rejsów" Leopolda Tyrmanda. Bo w końcu kto powiedział, że powieści nie można adaptować na scenę? Z jakim skutkiem, to już inna sprawa. Będzie także nowa inscenizacja „Lata w Nohant" Jarosława Iwaszkiewicza i „Balladyny" Juliusza Słowackiego. Ta ostatnia w anonsach nazywana jest skromnie – superprodukcją. Co z telewizyjnym „Metrem", jeszcze nie klasycznym wprawdzie, ale podobno kultowym, do końca nie jest jasne, ale w końcu doczekamy się pewnie i przeniesionego do telewizji dzieła Stokłosy, Józefowicza, a i sióstr Miklaszewskich, które podbić miało świat, a poza Polską spodobało się tylko w Rosji, wystawione tam w czasach, gdy nasi kapryśni sąsiedzi jeszcze na pomysł podobnego badziewia sami nie wpadli.

Z braku własnych propozycji repertuarowych posługujemy się obecnie produkcjami a to rosyjskimi właśnie („Kozacka miłość"), a to tureckimi („Promyk nadziei"), a to znów ukraińskimi („Czarne żniwa"). Niniejszym dementuję plotkę, jakoby osobnicy usiłujący nielegalnie przekroczyć naszą wschodnią granicę (będącą jednocześnie, nie zapominam, granicą Unii Europejskiej), przemycają płyty z zapisami cyfrowymi białoruskich filmów i seriali z „Tałaszem" na czele. A przy okazji, dlaczego to nie jesteśmy na bieżąco z tym, co powstaje nad Dunajem, przede wszystkim w Budapeszcie? Owszem, pamiętam historię pod tytułem „Fred, postrach kotów", ale przydałoby się w ramówce coś nowszego.

A ponieważ w kanałach konkurencyjnych wobec telewizji publicznej „naprawdę nie dzieje się nic i nie zdarzy się nic aż do końca", dla higieny psychicznej wciskać zacząłem ostatnio na pilocie numery dotąd nieruszane, wręcz dziewicze. Tak też trafiłem na TLC, gdzie nie tylko możemy zobaczyć, jak „Rozenek cudnie chudnie", lecz także zachwycić się popisami Doktor Pryszczylli. Oszołomiła mnie już „Problematycznym tłuszczakiem", ale odcinkiem z „Ciekawym przypadkiem cieknącej cysty" wręcz wbiła w ziemię. Pozostaję w stuporze, nie wiem na jak długo. ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

Rod Dreher przemawia w imieniu prześladowanych współcześnie chrześcijan FOT. THE WASHINGTON POST/GETTY IMAGES

Nowy miękki totalitaryzm

ks. Robert Skrzypczak

Czekaliśmy na nową książkę Roda Drehera z nadzieją, że zmusi ona do ponownej refleksji chrześcijański świat, skłonny coraz bardziej poddawać się moralnej i duchowej apatii. W jej tytule „Żyć bez kłamstwa" autor nawiązał do apelu Aleksandra Sołżenicyna z 1974 r., by „nie żyć w kłamstwie". Na podstawie wielu rozmów z osobami, które przeżyły agresywny komunistyczny totalitaryzm w naszej części świata, doszedł do tragicznej diagnozy: Zachód zostaje dobrowolnie poddany innemu „miękkiemu totalitaryzmowi"

eprasa.pl fa121f19c2

Jeśli chcemy przetrwać – mówi Rod Dreher – musimy wrócić do korzeni wiary, być Kościołem bez kompromisów. Co prawda, Jezus powiedział, że Jego Kościoła bramy piekieł nie przemogą, ale – jak przytomnie zauważa amerykański dziennikarz – nigdzie nie dodał, iżby miało to dotyczyć Kościoła w USA bądź w Europie. Papież Benedykt XVI mówił w 2012 r., że kryzys duchowy ogarniający Zachód jest poważniejszy od upadku Imperium Rzymskiego pod koniec V w. Światło chrześcijan wygasa, bo zlekceważyliśmy objawy nadciągającej klęski. Rewolucja seksualna odniosła ostateczny triumf. „Nie ma już bezpiecznego miejsca dla chrześcijan – pisze Dreher – ani w świecie, ani też wewnątrz Kościoła". W jego wnętrzu, zamiast żywej, biblijnej wiary, górę biorą „rozwodniona duchowość" oraz „moralistyczny deizm terapeutyczny". Ta mentalność podbija Kościoły, niszcząc w nich depozyt wiary biblijnej. Nie ma w niej miejsca na pokutę, miłość wymagającą poświęcenia, czystość serca i chwalebny krzyż. Obowiązuje religijność naturalna wokół kultu własnego ja i materialnej wygody. Narzuca się pytanie: Czy chrześcijaństwo, które jest wyznawane w naszych parafiach i rodzinach i które jest znane młodym ludziom, stanowi środek nawrócenia czy też usypiającą szczepionkę służącą temu, by nie brać wiary na serio? Tej kulturowej rewolucji nie sposób już odwrócić. Żyjemy w społeczeństwie, w którym przekonania ewangeliczne tracą na znaczeniu.

Wchodzimy w okres postchrześcijański. Dreher pyta o to, jak go przeżywać. W poprzedniej swej książce „Opcja Benedykta" zwrócił się z tym pytaniem do mnichów, tym zaś razem do dysydentów i męczenników wiary zmuszonych do życia pod pręgierzem komunistycznej, ateistycznej dyktatury w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. „Należy dawać odpór światu z taką samą siłą, z jaką on napiera na nas" – mówiła pisarka amerykańska Flannery O'Connor. Postępowa, głęboko antychrześcijańska wojowniczość coraz bardziej ogarnia nasze postnowoczesne społeczeństwo. Głównym celem książki Roda Drehera jest przygotowanie dzisiejszych uczniów Chrystusa do przetrwania okresu silnej presji kulturowej, społecznego ostracyzmu i osobistego cierpienia. „Nie możemy liczyć – pisze – na skuteczny opór wobec nadchodzącego miękkiego totalitaryzmu, jeśli nie mamy uporządkowanego życia duchowego".

TO POBUDKA!

Stosunkowo niewielu współczesnych chrześcijan jest gotowych cierpieć za wiarę, bo społeczeństwo, które ich ukształtowało, odrzuca przede wszystkim cel cierpienia i ideę znoszenia bólu ze względu na prawdę. „To pobudka – napisał o książce Isaiah Berg – dla tych, którzy są zafascynowani pocieszającymi i wygodnymi narracjami postępowo-społecznymi". Czy Dreher ma rację, gdy pisze, że „żyjemy dziś na Zachodzie w dekadenckim, pretotalitarnym środowisku"? Czy stawia właściwą diagnozę, gdy stwierdza, że „atomizacja społeczna, powszechna samotność, rozkwit ideologii, spadek zaufania do instytucji i inne czynniki narażają nasze społeczeństwo na pokusę totalitaryzmu, której w zeszłym stuleciu uległy Niemcy i Rosja"? Czy nie przesadza w dowodzeniu, że „elity intelektualne, kulturalne, uniwersyteckie i korporacyjne są pod wpływem lewicowego kultu zbudowanego wokół idei sprawiedliwości społecznej? Jest to wojownicza, nietolerancyjna ideologia, niepokojąco przypominająca bolszewizm między innymi w swojej skłonności do dzielenia ludzi na dobrych i złych. Wygląda na to, że ta pseudoreligia zaspokaja potrzebę sensu i poczucia celu moralnego w postchrześcijańskim świecie i stara się stworzyć sprawiedliwe społeczeństwo przez demonizowanie, wykluczanie, a nawet prześladowanie wszystkich, którzy sprzeciwiają się jej okrutnym dogmatom".

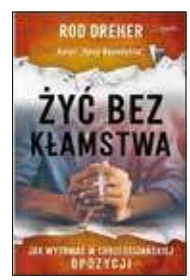

ROD DREHER „ŻYĆ BEZ KŁAMSTWA" WYDAWNICTWO ESPRIT

Przykładów tego, co zapowiada Dreher, nie brakuje. 25 czerwca tego roku Parlament Europejski przyjął tzw. rezolucję Maticia o „prawach ludzkich" do aborcji i transgenderowej edukacji seksualnej dzieci w szkołach. Była to odpowiedź na decyzję węgierskich posłów o podjęciu walki z pedofilią, karaniu jej sprawców, ochronie biologicznej tożsamości dzieci, zakazie szerzenia pornografii i promocji materiałów pornograficznych młodzieży do 18. roku życia. Atak ze strony prasy i polityków zagranicznych był zaskakujący. Potępiono gremialnie węgierskie prawo jako „homotransfobiczne". Zwrócono się do przywódcy narodu węgierskiego Viktora Orbána bez ogródek: „Obal to prawo albo wyjdź z UE!".

We Włoszech tymczasem przechodzi przez parlamentarne procedury prawo zwane „ustawą DDL Zan". Umieszcza ono kategorię „nienawiści genderowej" na liście przestępstw o charakterze rasistowskim. Odmienne poglądy w sprawach psychoseksualnej tożsamości uznaje za coś obraźliwego, źródło cierpienia i upokorzenia. W Anglii ks. Bernard Randall został uznany za potencjalnego terrorystę i zwolniony z pracy nauczyciela w pewnej katolickiej szkole po tym, jak usiłował uspokoić uczniów, wzburzonych spotkaniem z działaczami LGBT, tłumacząc im, że nikt nie jest zobowiązany do poddawania się ideologii gender. „Niebawem również Kościół zostanie uznany za organizację terrorystyczną" – powiedział podczas rozprawy. – Pewnym środowiskom nie wystarcza już, że jesteś tolerancyjny. Masz akceptować bez pytań dyktaturę jednomyślności". Na Malcie dyskutowany jest projekt „o równości" zakazujący nauczania w szkołach katolickiej, biblijnej wizji dotyczącej człowieka i rodziny. Projekt ten usiłuje dodatkowo pozbawić lekarzy i nauczycieli prawa do „obiekcji sumienia", Kościół zaś możliwości kontrolowania programów we własnych szkołach. W Radzie Europy dyskusja na ten temat trwa już od 2008 r. Prawa antydyskryminacyjne mają być rozciągnięte na informację publiczną, edukację, politykę żywieniową, lekarzy oraz służby publiczne (w tym jednostki kościelnej Caritas). W Wielkiej Brytanii z odmową leczenia – poza nagłymi wypadkami – spotykają się osoby uznane przez personel szpitali i przychodni za seksistowskie, homofobiczne i rasistowskie. W kręgu zagrożonych sankcjami znajdują się księża, a także obrońcy życia i rodziny. Pod pretekstem walki z dyskryminacją będą zwalczani wierzący, którzy nie popierają aborcji, eutanazji, sztucznego zapłodnienia i legalizacji par homoseksualnych. „Dopóki milczysz, dopóty będą cię leczyć".

FATIMA I ROZLEWAJĄCE SIĘ ZŁO

Dyktatura obowiązkowej jednomyślności zatacza coraz większe kręgi. Niedawno poczytny amerykański

eprasa.pl fa121f19c2

pisarz Bret Easton Ellis skarżył się: „Są redaktorzy, którzy przeglądają manuskrypty w poszukiwaniu elementów, które mogłyby urazić czytelników albo ich rozzłościć. To się naprawdę dzieje. Strażnicy dominującej kultury aktywnie wymazują opinie artystów, ponieważ się z nimi nie zgadzają lub nie są one zgodne z aktualną »ideologią postępu«". To najnowsza totalitarna forma, której nigdy wcześniej w życiu nie doświadczyłem. Wolność wypowiedzi i opinii zawsze była tu wychwalana, ale tak już nie jest. I nie mogę zrozumieć, dlaczego nie ma żadnej reakcji na to, na co wszyscy narzekają".

Cóż, czy nadal brzmi zaskakująco wyrażone w tej książce przekonanie Roda Drehera o nadciągającym na tereny wolnego świata i cywilizacji praw człowieka nowym czerwonym barbarzyństwie? Czyżby amerykańskie „miasto położone na górze" i wszystkie przyjazne mu cywilizacyjnie obszary miały zostać niebawem zasnute mroczną mgłą nowego zamordyzmu?

W 1946 r. siostra Łucja, wizjonerka z Fatimy, zwierzała się prof. Williamowi Thomasowi Walshowi: „Matka Boża chce, aby papież i wszyscy biskupi na świecie poświęcili Rosję Jej Niepokalanemu Sercu. Jeśli tak się stanie, to Rosja nawróci się i będzie pokój. Jeśli tego nie uczyni, to błędy Rosji wyleją się na wszystkie kraje świata". „Czy to oznacza – dopytywał Walsh – że każdy kraj, bez wyjątku, zostanie owładnięty komunizmem? – Tak. – Czy Pani powiedziała siostrze coś o Stanach Zjednoczonych Ameryki? – Tak". W 1946 r. zapowiedź ta mogła brzmieć nieco nierealnie.

Przez Zachód przechodzi fala radykalnych zmian. Sporo ruchów o nastawieniu marksistowskim, antyrodzinnym i promującym ideologię LGBT doznaje wsparcia od najbogatszych ludzi tego świata

O tzw. ekologicznym totalitaryzmie pisał też François Billot de Lochner. Przyjmowany powszechnie w środowiskach lewicowych projekt „Ocalić Planetę" sprawia, że „byt ludzki, dusze, duch, serce i ciało znaczą mniej niż Ziemia traktowana jako autonomiczny żywy organizm, posiadający własną godność". Wszechmogący i planetarny ekologizm wchłania w siebie wszystkie dziedziny nauki i kodeksy moralne. Nie liczy się już zło wyrządzone innym ludziom czy sobie samemu, tylko niszczenie środowiska. Zgorszenia nie budzą już grzechy śmiertelne, ale zaniedbania w dziedzinie segregacji śmieci. Na społeczną anatemę zasłużyć sobie może zarówno wielodzietna rodzina za hałas i zbyt duże zużycie wody, jak i smakosz czerwonego mięsa, winien wydychania do atmosfery przez gremialnie hodowane krowy zbyt dużej ilości dwutlenku węgla. Tymczasem na Twitterze notorycznie blokowane są strony uznawane za niepoprawne i szkodliwe. Ostatnio jedna z nich została wstrzymana za artykuł o wzroście zachorowalności na choroby przenoszone drogą płciową wśród homoseksualistów. Chodziło o choroby takie jak HIV, syfilis i rzeżączkę. Artykuł słynnego mikrobiologa prof. Gerarda M. Nadala – jak się dowiedział autor – przekroczył zakaz rozpowszechniania nienawiści, a także grożenia ludziom z powodu ich orientacji seksualnej bądź ich nękania. Aby powrócić na Twittera, autor musiał usunąć swój naukowy elaborat.

Dziś w świetle rewolucyjnych zamieszek wzbudzanych pod szyldem Black Lives Matter Ameryka zmienia się w wyraźny sposób. W przyszłości mogą one przebiegać jeszcze ostrzej. Przez Zachód przechodzi fala radykalnych zmian zachodzących w społeczeństwie. Sporo ruchów o nastawieniu marksistowskim, antyrodzinnym i promującym ideologię LGBT doznaje wsparcia od najbogatszych ludzi tego świata – fundacji Forda, Rockefellera, Rothschilda czy Sorosa – w jednym celu: by uwolnić się, jak twierdzą, od uścisku heteronormatywnego myślenia i chrześcijańskiego przekonania o tym, że w centrum najwyższej troski społeczeństwa winna stać rodzina.

Pieniądze i nacisk medialny zmierzają w jednym tylko kierunku: autorytarnej kontroli społeczeństw. Nowa zasada wolności brzmi: nie wolno kwestionować naszych idei i wysiłków! I jest ona konsekwentnie egzekwowana przez społecznościowych gigantów medialnych, takich jak Facebook i inne. Przodują one w technikach publicznego upokarzania i eliminowania zarówno osób, jak i środowisk o odmiennych poglądach i stanowiskach. Są to techniki znane z wcześniejszych komunistycznych rewolucji.

SIŁA MAŁYCH WSPÓLNOT

Na co usiłuje zwrócić naszą uwagę Rod Dreher w swej książce „Żyć bez kłamstwa"? Patrzcie – zdaje się przestrzegać czytelnika – w swoim czasie marksizm zawojował intelektualistów jak burza, bo został zaprezentowany jako nowa świecka religia na postreligijne czasy. Sytuacja w podupadającym świecie zachodnim i w przedrewolucyjnej Rosji nie jest może identyczna, ale niepokojąco podobna. Młode pokolenie odchodzi od ustalonych systemów kościelno-etycznych, natomiast oderwani od życia hierarchowie i duchowni nie wiedzą, jak zareagować na ogólny popandemiczny rozkład duchowy świata. Pojedyncze elementy prania mózgowego pozostają niezauważalne, lecz wnet przeobrażą się one w coś, co Plinio Corrêa de Oliveira nazywał „nieuświadomionym ideologicznym przeładunkiem". Jan Paweł II przestrzegał: „Historia uczy, że demokracja bez wartości łatwo przemienia się w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm".

Musimy zatem zrozumieć ogrom stojącego przed chrześcijaństwem wyzwania i zaplanować strategię oporu. Dla Drehera bezcenne zdaje się być doświadczenie uczniów Chrystusa, którzy bohatersko przetrwali 70 lat terroru ateistycznego w Związku Sowieckim i innych krajach podbitych przez czerwoną antychrystusową bolszewię. „Nas ocaliły małe wspólnoty i wybitni przywódcy" – mówią bohaterowie jego książki.

Rozpaczliwie potrzebujemy wyzwolenia z więzów samotności i rozproszenia, potrzebujemy exodusu z Internetu, by odkryć wolność, która daje poczucie wspólnoty. Od początku dziejów Kościoła przepowiadanie kerygmatu o zwycięstwie Chrystusa nad grzechem i śmiercią prowadziło do tworzenia małych wspólnot, aż ich ogromna liczba przyczyniła się do narodzin chrześcijańskiej cywilizacji ogarniającej całe społeczeństwo. Dziś, gdy owa cywilizacja przemija, znowu potrzeba tworzyć małe środowiska intensywnego życia wiary, które będą w stanie oprzeć się naporowi neopogańskiego barbarzyństwa i zapewnić chrześcijanom warunki pogłębiania więzi z Bogiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

Jesień w Telewizji Republika

REPUBLIKA

Piotr Lisiewicz zaprasza

WYWIAD Z CHULIGANEM

Niedziela
godzina 22:00

#włączprawdę

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

Tuska pułapka na Hołownię

Jan Fiedorczuk

Szymon Hołownia i Donald Tusk znajdują się na kursie kolizyjnym. Lider Polski 2050 unika jednak otwartej konfrontacji, aby nie zostać oskarżonym o rozbijanie jedności obozu „obrońców demokracji"

FOT. PIOTR NOWAK/PAP

Jak ja bym chciał, żebym był pytany o to, jak ułożyć ochronę zdrowia, jak ułożyć relacje między Kościołem a państwem, co zrobić z górnictwem… Ale od kilku tygodni słyszę inne pytanie: Czy uważa pan, że to dobrze, że Donald Tusk wrócił? – żalił się nie tak dawno Szymon Hołownia podczas spotkania z wyborcami w Nysie.

Faktycznie, Donald Tusk wywrócił polityczny stolik do góry nogami po stronie opozycji, a Platforma Obywatelska, która pod przewodnictwem Borysa Budki była na najlepszej drodze do popełnienia spektakularnego samobójstwa, nagle nabrała wiatru w żagle, dystansując konkurencję.

Pierwsze komentarze polityków Polski 2050 dotyczące powrotu Tuska były dość niepewne, by nie rzec – nieporadne. Przykładem słynny wywiad dla „Rzeczpospolitej", w którym wyraźnie pogubiony Hołownia stwierdził, że „to paradoksalnie dobrze, że Tusk zabierze kilka procent wyborców". Z kolei Joanna Mucha, która opuściła Platformę raptem kilka miesięcy wcześniej, stwierdziła nieopatrznie, że oba ugrupowania – PO i PiS – „szczują na siebie", za co musiała następnie publicznie przepraszać.

W oficjalnych wypowiedziach politycy Polski 2050 zapewniają z uśmiechem, że cieszy ich powrót Donalda Tuska. – Działa na nas motywująco i mobilizująco. To dla nas impuls do jeszcze cięższej pracy – mówił przewodniczący partii Polska 2050 Michał Kobosko. Patrząc jednak na spadające poparcie dla ugrupowania, które niedawno jeszcze królowało w sondażach, ciężko traktować te wypowiedzi inaczej niż jako robienie dobrej miny do złej gry.

„TATA INTEGRATOR"

Wchodząc do polityki, Hołownia próbował wpasować się w niegasnące zapotrzebowanie części Polaków na siłę polityczną, która nie będzie uczestniczyć w sporze PO-PiS. Celując oczywiście w elektorat zawiedziony rządami Budki, lider Polski 2050 zwracał się jednocześnie do wyborców spoza antykaczystowskiej bańki.

Wejście Tuska do gry oznacza jednak radykalne spolaryzowanie całej sceny politycznej. Zarysowany przez niego manichejski podział świata – skrzętnie podchwycony przez rządzących – pozwala zradykalizować nastroje społeczne i zmarginalizować konkurencję. Przy takim natężeniu emocji centrum zaczyna zanikać.

Tym samym Tusk zastawił pułapkę na Hołownię. Jeżeli Polska 2050 zacznie się licytować na antypisowski przekaz, to grozi jej los Nowoczesnej. Ugrupowanie Ryszarda Petru upadło nie tylko ze względu na coraz bardziej kuriozalne wpadki lidera, lecz także głównie przez to, że

eprasa.pl fa121f19c2

w kluczowym momencie Petru dał sobie narzucić mentalne klapki antypisu i zaczął ścigać się ze Schetyną na to, kto jest większym antykaczystą. Z liberalnej partii ekspertów, która miała się zajmować finansami państwa, Nowoczesna stała się zaledwie klonem PO. A skoro nie widać różnicy, to po co głosować na podróbkę?

Najwygodniejszy scenariusz dla Tuska zakłada zatem, że Hołownia powtórzy błąd Petru. Śledząc wypowiedzi lidera Polski 2050, można odnieść wrażenie, że jednak lepiej czyta on polityczne szachy od duetu Petru-Lubnauer i rozumie, że musi w jakiś sposób odróżnić się od ugrupowania Tuska. Właśnie dlatego Hołownia stara się dystansować od PO, krytykując niektóre jej przywary. Ten proces przebiega na trzech płaszczyznach.

Po pierwsze, Hołownia podważa prawo Tuska do przewodzenia całej opozycji. Robi to oczywiście w subtelny sposób, gdyż celując w liberalny elektorat, nie może sobie pozwolić na jawną krytykę idola lemingów. „Nie wydaje mi się, żebyśmy potrzebowali Mesjasza, jakiegoś taty, jakiegoś integratora" – mówił w rozmowie z „Super Expressem" jeszcze przed oficjalnym powrotem byłego premiera.

To logiczne – wchodząc w koalicję, Hołownia złożyłby Tuskowi własną partię na tacy. „Nie wskoczę Tuskowi na kolana. Prywatnie odnoszę się do niego niezwykle życzliwie, a na scenie politycznej rywalizujemy" – twierdził w wywiadzie dla „Super Expressu". Jak z kolei zapewnił Mirosław Suchoń w rozmowie z portalem wPolityce.pl, wszelkie próby „wciskania" Polski 2050 w sojusz z KO są „absolutnie nieuprawnione".

Oczywiście Hołownia przy każdej możliwej okazji podkreśla, że Tusk to „zawodnik wagi ciężkiej", który jest potrzebny Polsce, ale – i tu jest kluczowe dopowiedzenie – jest potrzebny jako partner, a nie „tata integrator". „Nie ma powrotu do sytuacji, w której Platforma jest hegemonem na opozycji demokratycznej" – podkreślał Michał Kobosko w rozmowie z OKO.press.

METAFIZYCZNA WOJNA

Drugim polem, na którym czuć narastające napięcie między dwoma formacjami, jest kwestia polaryzacji sceny politycznej. W głośnej rozmowie z Polsat News Hołownia stwierdził, że Tusk zapisuje cały kraj do „metafizycznej wojny". – Mnie dżihady w polityce nie za bardzo kręcą. Jak robimy metafizykę z polityki, to partie zamieniają się w Kościoły, liderzy w mesjaszów, a życie ludzi często zmienia się w piekło – podkreślał były prezenter TVN. Trudno w tej wypowiedzi nie wychwycić echa słów Tuska sprzed lat, gdy ten będąc premierem, podkreślał, że jeżeli ktoś „ma wizje", to powinien udać się do lekarza.

W podobnym tonie wypowiadają się pozostali politycy Polski 2050. Hanna Gill-Piątek wskazała, że to właśnie Tusk „przyniósł na sztandarach" wojnę polsko-polską, a Michał Kobosko wprost zwracał się do elektoratu PiS, co dla Tuska ze zrozumiałych względów jest bardzo utrudnione. – Donald Tusk takim wystąpieniem jak dzisiejsze [chodzi o przemówienie po przejęciu władzy w PO – przyp. J.F.] nie przeciągnie na swoją stronę ani jednego głosu dotychczasowych wyborców PiS – podkreślał Kobosko. Mirosław Suchoń dodawał z kolei, że spór PO z PiS jest wyniszczający dla kraju, gdyż najważniejszy problem Polski to „wyzwania przyszłości, a nie wojna między politykami". Ogólnie w narracji Hołowni pobrzmiewa duch dawnej Platformy z jej hasłem: „Nie róbmy polityki, budujmy mosty".

Politycy Polski 2050 podkreślają ponadto, że projektowana przez Tuska polaryzacja jest nie tylko zgubna dla wspólnoty politycznej, lecz także sprzyja samemu PiS. Hołownia nie mówi tego wprost, ale wydźwięk jest jednoznaczny – Tusk nie ma żadnego planu na to, co zrobić po przejęciu władzy.

– Jeżeli pójdziemy i wklepiemy PiS bez programu na pierwszy dzień po zwycięstwie z PiS, to PiS wygrywa za pół roku – stwierdził, co było czytelnym odniesieniem do jałowej antypisowości Tuska.

W tej perspektywie należy czytać niedawną propozycję Hołowni, aby partie opozycyjne dyskutowały nad jego projektami reform. Przekaz był oczywisty – to ja mam plan na naprawę państwa, a nie Donald Tusk.

Trzecim polem, na którym Hołownia pozwala sobie na uszczypliwości względem Tuska, jest z kolei ocena rządów PO-PSL. Oczywiście „reżim" PiS w tej narracji prezentuje inny, zupełnie nieporównywalny wymiar zła, jednak politycy Polski 2050 podkreślają, że nie ma już prostego powrotu do sytuacji sprzed rządów Kaczyńskiego.

– Trzeba wyciągnąć wnioski z tego, co stało się w 2015 r., w którym mnóstwo Polaków odrzuciło ten model, który proponowały rządy Platformy i PSL. Mit o transformacji, która przysłużyła się absolutnie wszystkim, bo niektórym rzeczywiście wyszła na dobre, ale są też tacy, którym na dobre nie wyszła. My mamy sporo z Platformą różnic – wskazywał lider Polski 2050.

Ta krytyka mogłaby być najmocniejszą kartą w talii Hołowni i otworzyć go na elektorat, który ma dość obecnych rządów, ale nie jest w stanie głosować na PO. Trudno recenzować rządy PO-PSL, gdy we własnym ugrupowaniu ma się pięciu posłów i jednego senatora, którzy dostali się do parlamentu z list Koalicji Obywatelskiej.

To zresztą szerszy problem ugrupowania. Hołownia każdą, nawet najdelikatniejszą formę krytyki Tuska obwarowuje zapewnieniami o wielkim szacunku, jakim darzy lidera PO. W jego narracji ciosy nie są rozdawane po równo, a PiS nie jawi się jako polityczny konkurent, tylko jako zło totalne. W ostatnich tygodniach Hołownia de facto tylko raz ostrzej skrytykował lidera PO, gdy przestrzegał go przed… konszachtami z Kaczyńskim. Swoją biernością Hołownia wpisał się w „metafizyczną wojnę" Tuska, przed którą sam tak przestrzegał. Tym samym zmarnował szansę na pójście „trzecią drogą", której tylu Polaków nadal wyczekuje. Obecnie wydaje się, że polityków Polski 2050, jako przyszłego junior partnera PO, bardziej zajmuje wynegocjowanie jak najbardziej intratnej pozycji w obozie antypisu.

WYMOWNE MILCZENIE

O ile Hołownia mówi o Tusku dużo i często, o tyle sam Tusk „wymownie milczy" w temacie lidera Polski 2050. Były premier oczywiście nie chce poświęcać Hołowni przesadnie dużo uwagi, by go nie „namaścić" na równego sobie.

Walcząc o podobny elektorat, Polska 2050 i PO znalazły się na kolizyjnym kursie. Donald Tusk zrozumiał to w okamgnieniu i dlatego zdecydował się na radykalne spolaryzowanie sceny politycznej, co samo w sobie nie zwiększa jego szans na pokonanie PiS, ale skutecznie marginalizuje pomniejsze partie. Tymczasem dla samego Hołowni problemem nie jest utrata pozycji lidera opozycji, tylko fakt, że – wbrew nominalnej krytyce duopolu PO-PiS – pozostaje pod przemożnym wpływem zarówno Donalda Tuska, jak i salonów III RP. Nic dziwnego, w końcu sam się z nich wywodzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

eprasa.pl fa121f19c2

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Targalskiego walka z „Tchórzem”

Sławomir Cenckiewicz

Jerzy Targalski chciał niepodległości Polski. Nie interesowała go permanentna transformacja ustrojowa, którą raczą nas nasze polityczne elity

Ludzie, którzy jako publicyści wypowiadają w artykułach swoje myśli do dna, jak Władysław Studnicki, tym samym rezygnują z możliwości dojścia kiedykolwiek do władzy” – pisał dawno temu Stanisław Cat-Mackiewicz („Kto to są »pułkownicy«”, „Słowo”, 5 maja 1936 r.). Wystarczyłoby zamienić nazwisko Studnicki na Targalski i wszystko by się zgadzało. Zawsze, kiedy Jerzy Targalski wypowiadał „swoje myśli do dna”, nie przebierając w słowach, porównaniach i poruszając emocje od lewa do prawa, myślałem o starym felietonie Mackiewicza: „To przecież o Targalskim!”. Mógłbym zresztą bez końca porównywać „szalonego” Studnickiego z „szalonym” Targalskim. Niekoniecznie lub – może lepiej by powiedzieć – nie zawsze w sferze poglądów czy idei, choć postrzeganie Sowietów i Rosji było u nich niemal tożsame. Albo ich stosunek do endecji i nacjonalizmów, zresztą również postrzegany przez pryzmat instrumentu, którym posługiwali się Sowieci i Rosjanie. Jeszcze inny przykład: ich stosunek do tradycji insurekcyjnej XIX w. i krytyka jej przeciwników jako mentalnych niewolników przebranych za realistów sprawy polskiej.

I to, co było istotą ich przesłania: wbicie klina w grożący Polsce nieustannie pakt niemiecko-rosyjski. „Warunkiem istnienia wolnej Polski jest rozerwanie sojuszu niemiecko-rosyjskiego, pokonanie Rosji i zbudowanie nowego systemu sojuszy regionalnych, zanim sytuacja geopolityczna ponownie zmieni się na naszą niekorzyść i przekreśli sensowność wszelkiego działania. Takiego zadania może podjąć się tylko suwerenne państwo polskie. Jeśli go nie zbudujemy, zejdziemy ze sceny historii” – pisał Targalski, a jakby pisał to przed laty Studnicki („Cele strategiczne polityki polskiej”, 6 sierpnia 2014 r.).

W każdym razie bez trudu mógłbym dowieść, że ich inteligencja, erudycja, znajomość świata, krytyka narodowych wad Polaków i kompletne nieliczenie się z opinią w artykułowaniu sądów i poglądów bardzo ich do siebie upodobniało. No i ekscentryzm, dosadność języka, nieuczesanie (dosłownie i w przenośni) oraz publiczne artykułowanie gorzkiej prawdy, że polityka powinna być dziedziną ludzi na najwyższym poziomie umysłowym, wykształconych, znających świat i ciekawych świata, nigdy motłochu. Nic bardziej nie przyprawiało ich o zawał serca jak napotkanie funkcyjnego polityka o formalnej sile sprawczej, ale idioty i ignoranta zamkniętego na wiedzę.

WIEŃCE I PUSTKA

Nawet reakcje na ich śmierć są podobne – nagle, po długich latach ostracyzmu, wzruszania ramionami, odwracania się plecami, czytania tekstów bez przyznawania się do tego, ubolewania nad wypowiedzianymi słowami,

eprasa.pl fa121f19c2

a nawet pisemnych napaści, Targalski w 2021 r. jak Studnicki w 1953 r. ma swój państwowy pogrzeb i Polonię Restitutę od pana prezydenta RP na czerwonej poduszce. I ma też zastępy fanów-polityków, ścigających się w zawołaniu: „Ja z niego!". I te dziesiątki ckliwych wpisów i wspomnień w mediach społecznościowych, które ostatecznie… odebrały mi prawo i ochotę osobistego wspomnienia Jerzego.

Tylko się cieszyć z takiego obrotu spraw – ktoś mi ostatnio powiedział – bo „chociaż po śmierci Jerzy został wreszcie doceniony". Nie zgadzam się z tą opinią. W moim wieku staję się powoli weteranem pogrzebów i coraz częściej mam okazję obserwować tę nieznośną prawidłowość – wzmożenie emocjonalne do czasu pogrzebu, deklaracje i mowy, a potem pył niepamięci przygniata mogiłę zmarłego, by zaledwie po roku kilka osób przypomniało w Internecie, że rok temu pożegnaliśmy… Jerzego Targalskiego.

W Polsce, zwłaszcza na prawicy – rzecz jasna – nadużywa się cytowania z „Przesłania Pana Cogito" Zbigniewa Herberta, bo tu każdy prawie udaje „wyprostowanego wśród tych, co na kolanach". Robię to niezmiernie rzadko, zresztą nie jestem aż tak zakochany w poezji Herberta, by w kółko epatować jego strofami, ale jedna z nich akurat dziś wydaje mi się jak najbardziej na miejscu. Nie ta najchętniej akcentowana o „szpiclach" i „katach", ale o „tchórzach", którzy też „wygrają", „pójdą na twój pogrzeb i z ulgą rzucą grudę, a kornik napisze twój uładzony życiorys". No właśnie, tchórzy wołających dziś: „Targalski był wielki!" jest bez liku.

Ktoś powie, to przecież normalna kolej rzeczy, ale kiedy tchórz jest wysokim urzędnikiem państwowym, który może zmienić (nie)porządek rzeczy w realizację, choćby w niewielkim zakresie, konceptów politycznych Targalskiego, a na co dzień notorycznie abdykuje, pławiąc się w osobistych zaszczytach i pieczeniach władzy, by w dniu pogrzebu ścigać się na wielkość wieńca… Było to zresztą tragikomiczne, kiedy podczas mszy za duszę Jerzego w katedrze polowej, siedząc w czwartym rzędzie, oglądałem niemal puste trzy pozostałe ławy rządowe z imiennymi kartkami na pustych siedziskach. A w tle niczym las wyrastały olbrzymie wieńce ze wstęgami (również imiennymi) pełnymi wdzięczności. I patrząc na ten obraz, pomyślałem sobie: może lepiej, że na pogrzeb Jerzego Targalskiego przybyły imienne wieńce zamiast ich właścicieli, bo to oznacza, że jest w nich wciąż jakaś resztka przyzwoitości, jakieś poczucie zdrady idei i prawd, które Jerzy głosił.

No właśnie… Może nie ma dziś nic bardziej smutnego niż widok tego czy innego rzecznika Europejskiego Zielonego Ładu, który oddaje hołd Targalskiemu. Targalskiemu, który krótko przed swoją śmiercią pisał o „niszczeniu gospodarki polskiej pod okiem Brukseli w ramach Zielonego Ładu". „Wiatraki, panele słoneczne i rosyjski gaz z Niemiec zamiast węgla" – oto, co nas czeka, jeśli nie powiemy temu „nie" („Endlösung der polnischen Frage", 4 sierpnia 2021 r.). Bo Zielony Ład był/jest u Targalskiego nowoczesną formą „represjonowania państw, a nawet całego kontynentu" i jeśli się nie postawimy – to przegramy, bo „kto nie stawia oporu, nie może zawrzeć kompromisu, ale będzie staczał się coraz szybciej po równi pochyłej" („Popełnijmy samobójstwo, bo nas zamordują", 23 sierpnia 2021 r.).

TYLKO NIEPODLEGŁOŚĆ

Jerzy Targalski chciał niepodległości Polski. Nie interesowała go permanentna transformacja ustrojowa, którą raczą nas nasze polityczne elity. Niepodległość – to słowo wyryte było w jego sercu, było częścią jego DNA, było jego obsesją, stało się również opisem całego jego życia. Epatował nim nieustannie, czego pierwszym z brzegu symbolem niech będzie nazwa formacji, którą współzakładał w podziemiu: Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość", czy pismo zatytułowane… „Niepodległość". Nawet bezpieka, która już w 1976 r. objęła go Sprawą Operacyjnego Rozpracowania kryptonim Jurek, nieustannie zwracała na to uwagę. Jednak wrogami niepodległości w ujęciu Targalskiego byli nie tylko jej zadeklarowani oponenci – „szpicle" i „kaci", lecz także „tchórze". Myślę w każdym razie, że nie przypadkiem nasz poetycki wieszcz umieścił tchórzy w szeregu ze szpiclami i katami, i nie jest też przypadkiem, że z tym trójgłowym smokiem – „szpicel-kat-tchórz" – przez całe życie walczył Jerzy Targalski. Hydra, której na imię „tchórz", jest z tej potrójnej hydry najważniejsza, a na pewno najważniejszym obiektem walki Jerzego Targalskiego. „Szpicle" i „kaci" są paradoksalnie stosunkowo łatwi do zdemaskowania, ich los kończy się zazwyczaj po demaskacji, „tchórze" zaś są skryci, działają najczęściej w przebraniu realistów, patriotów i oportunistów, no i są najbardziej liczni. „Tchórze", wreszcie, są największymi w Polsce rzecznikami „imposybilizmu" (niemożności realizacji programu ze względu na jakieś niesprzyjające okoliczności) i na dobrą sprawę uniemożliwiają wyrwanie nas z bylejakości, postkomunizmu i niemocy. A na pewno nigdy nie dopuszczą do kreacji innego Polaka niż głuptas, oportunista i tchórz. Stąd też Targalski słusznie zauważył całkiem niedawno, że odgórny proces elitotwórczy jest wykluczony, gdyż „złodzieje, kłamcy, niedojdy i tchórze mogliby wynajdywać i ułatwiać karierę jeszcze większym geszefciarzom, oszustom, patałachom i tchórzom, ponieważ inaczej nowi stanowiliby konkurencję dla starych. Na tym polega zasada selekcji negatywnej powszechnie u nas obowiązująca" („Jak wyłaniają się elity?", 3 września 2021 r.).

Jerzy Targalski nie wierzył też w siłę sprawczą elit kojarzonych z prawicą. Najlepiej oddają to jego rozważania o oportunizmie historyków, również tych z Instytutu Pamięci Narodowej, jako z definicji predystynowanych do opisu kulis polskiej i sowieckiej pierestrojki: „Naukowcy muszą z czegoś żyć, więc nie mogą zajmować się kwestiami istotnymi i zaburzać pokoju społecznego. Muszą przede wszystkim wykazać elicie władzy, że też mogą się przydać do zarządzania zinfantylizowaną ludnością. Ta zaś w żadnym wypadku nie potrzebuje analiz, które mogłyby ją narazić na dysonans poznawczy i wytrącić ze stanu równowagi. Mamy wiedzę już dość rozległą na temat demontażu komunizmu podjętego przez KGB, lecz jest ona bezużyteczna wobec jej ukrywania przez historyków dworskich i odmowy wiedzy ze strony historyków salonowych, którzy w badaniu prawdy posuwają się tylko tak daleko, jak to jest bezpieczne dla ich karier, pozwala na występowanie w mediach, uzyskiwanie grantów, stopni naukowych itp." (Odpowiedź na ankietę „Arcanów", nr 117, 2014 r.).

„Tchórz" był zatem największym wrogiem Targalskiego, bo wiedział, że cały jego wewnętrzny program niepodległościowy od czterech dekad opierał się na przeobrażeniu tchórza i oportunisty myślowego w wolnego i odważnego

eprasa.pl fa121f19c2

w myśleniu Polaka, który na serio chce niepodległości i suwerenności Polski. To był – można by rzec – warunek powodzenia codziennego znoju Targalskiego, bo Polacy po dziejowych kataklizmach XX w. i dziesiątkach lat okupacji niemiecko-sowiecko-komunistycznej w zasadzie utracili swoją tożsamość i stali się ludźmi trwale uszkodzonymi, okaleczonymi i chorymi. „Gdyby Polskę wyobrazić sobie jako pojedynczego człowieka, to ów człowiek tych wszystkich przejść prawdopodobnie by nie przeżył, a jeśliby mu się to udało, to byłby kaleką o ciężkich urazach psychicznych – pisał paralelnie do Jerzego Targalskiego w »Eseju o duszy polskiej« Ryszard Legutko. – Polska stała się poczwórną ofiarą: agresji niemieckiej, komunistycznego zniewolenia, społecznej destrukcji oraz terytorialnego zaboru. Jeśli nadto uzmysłowimy sobie, że Polacy byli społeczeństwem, które pierwotnej agresji niemieckiej dzielnie się przeciwstawiało, to kolejne agresje można uznać za akty wyjątkowo krzywdzące".

SUROWY LEKARZ

Jerzy Targalski obrał sobie najtrudniejszą z dróg, bo wyszedł poza ramy diagnostyki narodowej i stanął na pozycji diagnosty aplikującego leki na polepszenie stanu zdrowia. Tę zmianę upatrywał w pracy indywidualnej z wyłuskanymi przez siebie młodymi ludźmi. Temu służyły wykłady, ćwiczenia i seminaria w Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego, Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusku i Centrum Badań nad Bezpieczeństwem Akademii Sztuki Wojennej.

Był przy tym zawsze bardzo surowym lekarzem. Nie upiększał, nie brązowił, nie słodził, jakby chciał nam powiedzieć za Józefem Mackiewiczem, że „optymizm nie zastąpi nam Polski". U niego nigdy nic nie było idealne ani dobre, ale co najwyżej zadowalające. Kasandryczność, a może i katastroficzność Targalskiego była na służbie przestrogi przed uznaniem, że nic nam już nie grozi. Tym bardziej wszystko to, co się udało, a nie miało prawa się udać – jakby podwójnie cieszyło, lecz na laurach spocząć nie pozwalało. Jego umysł – przesiąknięty operacyjną kombinacyjnością, podejrzliwością i alternatywnością rozwiązań podobną do Jamesa Angletona – kazał mu zawsze pozostać nieufnym i sceptycznym. Rola klakiera jakiejkolwiek władzy nie była mu zatem pisana, bo nie mieściła się w jego umysłowości. I może w tym – o paradoksie! – był Targalski bardziej nowoczesny niż inni i pewnie tym ujmował wielu ludzi młodych.

Wobec tego, co społeczne, co w ujęciu politycznej poprawności ma być „zbiorową mądrością Polaków", był bezwzględny. Uważał, że tradycyjna polskość przestała istnieć i zastąpił ją nowy twór – mieszkaniec „priwislinskiego kraju", czyli materialista bez tożsamości. Nawet całkiem niedawno pytał retorycznie w kontekście konfliktów Polski z Komisją Europejską: „Po co Polakom suwerenność, skoro można ją sprzedać, i to nawet nie za kasę, tylko jej obietnicę?", po czym sam sobie odpowiadał: „Na wszystko Polacy się oczywiście zgodzą, i to nawet za miskę soczewicy. Obiecaną, nie rzeczywistą".

Dziś na tej najtrudniejszej z dróg pozostaliśmy już sami. I wcale nie jest pewne, że z niej jak najszybciej nie uciekniemy, bo już pierwszy zakręt może nas zniechęcić do jej kontynuowania. Ale jedno jest dziś pewne: Jerzy Targlaski dziś wyrecytowałby nam pełen realizmu i goryczy wiersz Jerzego Czecha – „Wyspiański", który kiedyś tak pięknie wyśpiewał Przemysław Gintrowski, a który tak trafnie oddaje postać i sposób myślenia Jerzego:

A ja o Polsce marzę
Co nie jest tylko witrażem
I nie komedią na scenie
Ale spełnieniem
Niechże się taka stanie
Co by nie była udaniem
By szyldem tylko nie była
Lecz żeby żyła
A ludzie, co mnie mijają
I czymś tam się pocieszają
Pociecha dla nich jak tarcza
I to już im wystarcza
A myśl ich podła kusi
Że tak już zostać musi
I będą sobie kłamać
Że zmartwychwstanie sama
A we mnie wielki okrzyk drga
Słowami tymi natchniony –
Wyzwoleń ten tylko doczeka się dnia
Kto własną wolą wyzwolony!

Żegnaj Jerzy, odpoczywaj w pokoju!
Za wszystko dziękuję!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Skrócona wersja niniejszego tekstu ukaże się na łamach „Kuriera Wileńskiego", którego współpracownikiem był Jerzy Targalski.

REKLAMA

eprasa.pl fa121f19c2

Cud nad Dniestrem

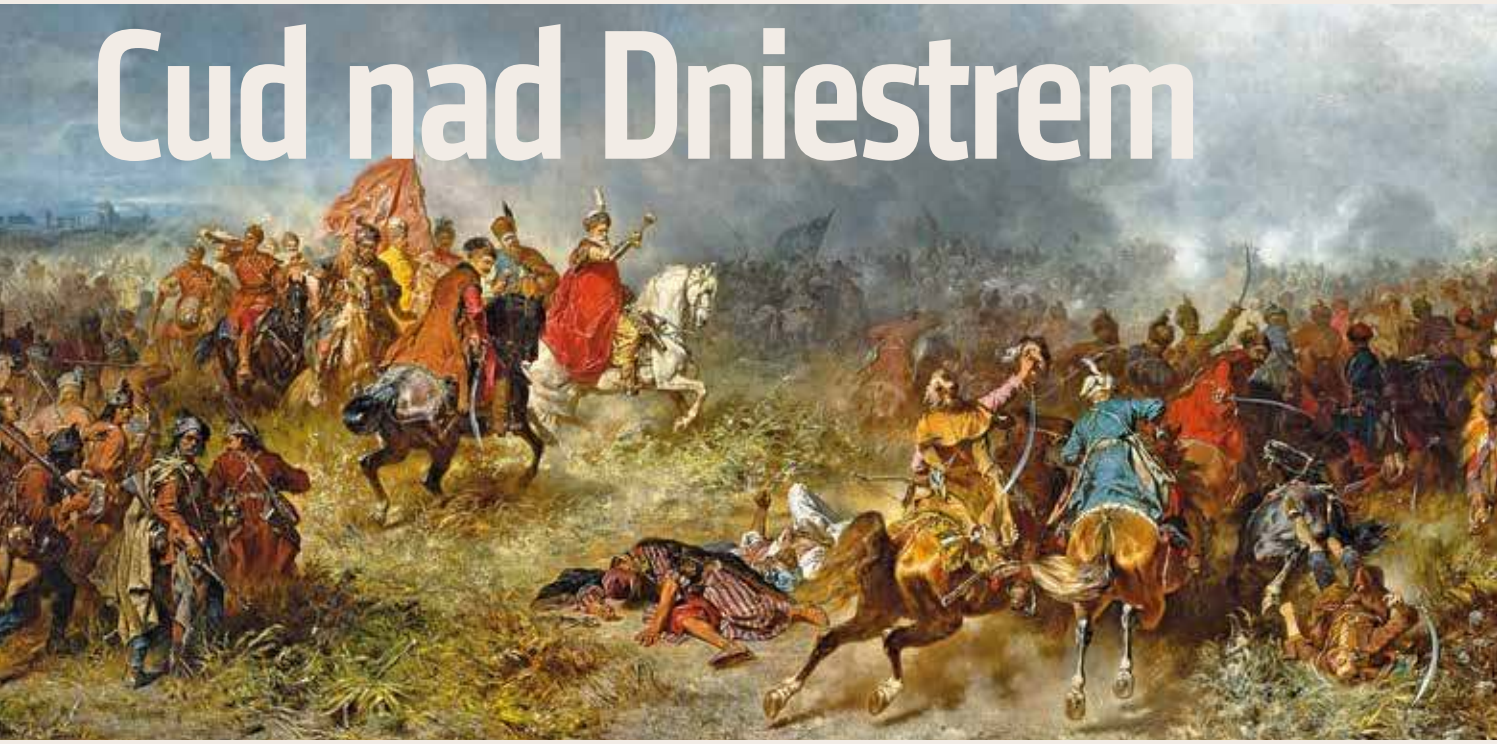

Witold Repetowicz

Bitwa chocimska odbiła się głośnym echem w ówczesnej Europie i długo uznawana była za jedno z najwspanialszych zwycięstw polskiego oręża. Zdumiewać może natomiast to, że niedawno miała zostać wykorzystana jako rzekomy symbol „przyjaźni polsko-tureckiej"

Mija 400. rocznica tej trwającej ponad miesiąc bitwy stoczonej na pograniczu I Rzeczypospolitej i podległego wówczas Turkom Hospodarstwa Mołdawskiego, pod malowniczo położoną w zakolach wijącego się niczym wąż Dniestru twierdzą w Chocimiu. Naprzeciwko ponad 100-tysięcznej armii tureckiej (niektóre źródła mówią nawet o 200 tys.), wyposażonej w 62 działa i dowodzonej osobiście przez młodziutkiego, 17-letniego sułtana Osmana II, stanęła znacznie słabsza armia polsko-litewsko-kozacka pod dowództwem hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza. Według różnych historyków hetman miał do dyspozycji 25–35 tys. wojsk polsko-litewskich, w tym ok. 18 tys. jazdy oraz 20–25 tys. kozaków dowodzonych przez jednego z najwybitniejszych kozackich hetmanów Piotra Konaszewicza-Sahajdacznego. Siłami koronnymi dowodził zaś osobiście 26-letni królewicz Władysław, późniejszy król Polski.

LĄDOWE LEPANTO

Pretekstem tureckiego najazdu na Polskę były wyprawy kozackie na Mołdawię, która od 1387 r. do końca XV w. była polskim lennem, a w XVI w. Polska rywalizowała z Turcją o wpływy nad gospodarstwem, osadzając od czasu do czasu na mołdawskim tronie związanych ze sobą bojarów. Jednak Osman II pragnął przede wszystkim zdobyć sławę na miarę swojego praprapradziadka Sulejmana Wspaniałego, zmarłego ledwie pół wieku wcześniej. Ojciec Osmana, Ahmed I, miał ledwie 14 lat, gdy ten się urodził, a zmarł w wieku 27 lat. Czternastoletni Osman został ogłoszony sułtanem po krótkich rządach swego stryja Mustafy Szalonego i nie mógł się czuć zbyt pewnie, gdyż osmański dwór był areną rywalizacji różnych koterii i walczących między sobą sułtańskich żon i matek. Podbój Polski i ustanowienie nowych granic imperium na Bałtyku były więc marzeniem nastoletniego władcy, które zagwarantowałoby mu miejsce w panteonie najwybitniejszych władców osmańskich obok zdobywcy Konstantynopola Mehmeda Fatiha i wspomnianego już Sulejmana, który pokonując Ludwika Jagiellończyka w 1526 r. pod Mohaczem, zajął potężne królestwo Węgier. Chocim jednak nie okazał się drugim Mohaczem. Wręcz przeciwnie, stał się lądowym Lepanto (morska porażka armii osmańskiej w starciu z chrześcijanami w 1571 r.), choć nie zapowiadało się na to. Zaledwie rok wcześniej siły polskie dowodzone przez sędziwego hetmana wielkiego koronnego Stanisława Żółkiewskiego zostały rozbite przez Turków w trzydniowej bitwie pod Cecorą. Żółkiewski poniósł bohaterską śmierć, a jego głowa została zawieziona do Konstantynopola i na rozkaz Osmana zatknięta na pice przed sułtańskim pałacem. Do niewoli trafił hetman polny koronny Stanisław Koniecpolski, a wraz z nim wielu innych magnatów.

Korona została zatem pozbawiona równocześnie obu hetmanów, będących wielkimi wodzami. Na Polskę padł strach, więc Sejm szybko uchwalił podatki na nową armię pospiesznie organizowaną pod wodzą hetmana wielkiego litewskiego, wsławionego m.in. bitwą pod Kircholmem, gdzie w 1605 r. stojąc na czele czterotysięcznej armii, pobił trzykrotnie silniejszych Szwedów. Postawienie powszechnie uwielbianego królewicza Władysława na czele sił koronnych miało podnieść morale, gdyż to właśnie panika i bunt były głównymi przyczynami cecorskiej klęski. Wspomagać go miał Stanisław Lubomirski jako regimentarz koronny.

Siły Rzeczypospolitej przybyły pod Chocim na początku sierpnia, przeprawiły się przez Dniestr i zajęły zamek oraz

eprasa.pl fa121f19c2

Chocim nie okazał się dla Osmanów drugim Mohaczem. Wręcz odwrotnie – był jak klęska pod Lepanto FOT. LIGIER PIOTR/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

zorganizowały obóz, zapewniając sobie łączność z lewym, polskim brzegiem rzeki. Kozacy dołączyli jednak znacznie później i nim zdążyli się ufortyfikować, pojawili się już Turcy. Bitwa rozpoczęła się 2 września. Niewiele brakowało, a i ona zakończyłaby się klęską otwierającą Turkom drogę do bezbronnej już w takiej sytuacji Polski. Niecały miesiąc później, 27 września, zmarł bowiem nagle hetman Chodkiewicz. Jego śmierć została utrzymana w tajemnicy z obawy przed powtórką z tragicznej w skutkach paniki spod Cecory. Dowództwo w takiej sytuacji objął Lubomirski, choć według wielu źródeł faktycznie dowodził znacznie bardziej doświadczony Sahajdaczny. Obrona lewego skrzydła, za którą odpowiedzialni byli właśnie kozacy, była jednak bliska załamania, a sam hetman zmarł w wyniku odniesionych ran kilka miesięcy po bitwie.

9 października Turcy postanowili odstąpić i po podpisaniu tzw. pokoju hetmańskiego przez regimentarza Lubomirskiego oraz wielkiego wezyra Dilawera paszę armia turecka zawróciła do Konstantynopola. Ambicje młodego sułtana legły w gruzach i szybko popadł on w konflikt z janczarami, których obwiniał za niepowodzenie swojej wyprawy. W rezultacie niespełna osiem miesięcy później został przez nich uduszony, a na tron wrócił jego niespełna rozumu stryj. Tymczasem zarówno w Polsce, jak i w całej Europie zapanowała euforia. Gundulić pisząc „Osmana", w którym tureckiego sułtana ukazał jako krwiożerczego tyrana, a polskich szlachciców jako uosobienie cnót rycerskich, nie ukrywał swoich nadziei, że Chocim otworzy drogę do wyzwolenia Bałkanów spod jarzma osmańskiego.

Chorwacki wieszcz tego jednak nie dożył, gdyż zmarł w 1638 r., a jego rodzinny Dubrownik oswobodził się spod rządów tureckich dopiero 46 lat później, rok po kolejnej polskiej wiktorii tym razem odniesionej przez Jana III Sobieskiego pod Wiedniem. Co ciekawe, pod dowództwem polskiego króla i w randze austriackiego marszałka polnego w bitwie tej walczył również syn Iwana Gundulicia – Frano. Z kolei ojciec Jana III Sobieskiego – Jakub – walczył w bitwie pod Chocimiem, a sam Jan III, który był prawnukiem Stanisława Żółkiewskiego, pomścił go dokładnie w tym samym miejscu, w którym Polska po raz pierwszy powstrzymała turecką nawałę, tj. w drugiej bitwie chocimskiej, stoczonej 11 listopada 1673 r. Nic zatem dziwnego, że postać Jana III Sobieskiego pojawia się również na płaskorzeźbach zdobiących cokół postawionego w 1893 r. w centrum Dubrownika pomnika Iwana Gundulica obok scen z „Osmana", w których przedstawiono z kolei bitwę chocimską oraz Jana Karola Chodkiewicza.

Bitwa pod Chocimiem została też upamiętniona w licznych dziełach polskiego malarstwa, m.in. na obrazie Marcella Bacciarellego z 1782 r. „Pokój chocimski". Dzieło to zostało już jednak stworzone w innych okolicznościach politycznych, więc artysta pokazał nie wojnę, lecz chwilę podpisania traktatu przez Lubomirskiego i Dilawera paszę. Fantazja artysty skłoniła go do namalowania uścisku dłoni obu dowódców, do czego rok temu postanowiła nawiązać ambasada Turcji planująca postawienie w Warszawie „pomnika przyjaźni polsko-tureckiej", w ramach modnego od pewnego czasu fałszowania historii wzajemnych stosunków. Właśnie ten uścisk dłoni miał zostać uwieczniony na monumencie jako symbol wiecznej przyjaźni między obydwoma krajami, która rzekomo miała się rozpocząć po zawarciu tego traktatu.

SYMBOLEM JEST JASYR

Prawda jest zgoła odmienna. Traktat chocimski był mało istotnym dokumentem, a po jego podpisaniu jeszcze przez dwa lata hetman Koniecpolski przebywał w tureckiej niewoli, a inni jeńcy spod Cecory nawet jeszcze dłużej. Również pika z głową Żółkiewskiego długo jeszcze sterczała przed pałacem sułtańskim, zanim ciało wielkiego wodza wróciło wykupione przez wdowę. „Wieczna przyjaźń" nie obejmowała bowiem nawet szacunku dla zwłok. Dilawer pasza został natomiast zamordowany przez janczarów w maju 1622 r. wraz z sułtanem Osmanem II, a nowa wojna polsko-turecka wybuchła już w 1633 r., gdy Mehmed Abaza pasza ruszył na Podole, chcąc wykorzystać to, że Polska zajęta była wojną z Rosją. Dostał jednak łupnia od tegoż samego Stanisława Koniecpolskiego (już wtedy hetmana wielkiego koronnego) i za karę został uduszony na rozkaz sułtana.

Kolejna wojna wybuchła w 1672 r. i doprowadziła do zawarcia haniebnego traktatu w Buczaczu, na mocy którego Polska stała się tureckim lennem. Na szczęście nigdy nie wszedł on jednak w życie, gdyż Turcy dostali łupnia od Sobieskiego pod Chocimiem. Tę prawdziwą „przyjaźń" pokazuje pomnik Sobieskiego na koniu, tratującego Turka, postawiony na Agrykoli w 1788 r. Tuż obok ambasada Turcji chciała postawić swój pomnik.

Prawdziwym symbolem relacji polsko-tureckich są jednak setki tysięcy Polaków porywanych w jasyr i sprzedawanych na targach niewolników. Tragedia ta została całkowicie zapomniana i przyćmiona bajką o tym, że Turcja rzekomo nie uznała rozbiorów. Wymyślił ją Mickiewicz, mając nadzieję na stworzenie legionu polskiego w Turcji. Jednak po wojnie krymskiej polscy jeńcy z armii rosyjskiej, zamiast zasilać ów legion, znów trafiali na targi niewolników.

W XVII w. bitwa pod Chocimiem dla ówcześnie żyjących miała podobne znaczenie co stoczona 300 lat później Bitwa Warszawska. I dotyczyło to nie tylko Polaków i innych narodów tworzących Rzeczpospolitą, lecz także całej Europy. Dziś polityczna poprawność powoduje, że Sobieski nie jest już mile widziany w Wiedniu i niedawno zablokowano postawienie mu tam pomnika. To samo dotyczy upamiętniania zmagań Rzeczypospolitej z Turkami w samej Polsce. Tu powód jest inny: mit o Turcji jako sojuszniczce Polski z Rosją. Jest on równie prawdziwy co twierdzenie, że Chocim jest symbolem polsko-tureckiej przyjaźni, a nie triumfu, z którego w swoim czasie cieszyły się cała Polska i Europa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Krucjata Piłsudskiego?

W latach 30. w Warszawie działał bolszewicki superszpieg uplasowany wysoko w polskim aparacie władzy. W ściśle tajnych raportach przesyłanych do Moskwy alarmował on, że Polska, Niemcy i Japonia mogą zaatakować Związek Sowiecki. Za takim rozwiązaniem miał opowiadać się Józef Piłsudski.

Brzmi jak powieść political fiction? Nic bardziej mylnego. Informacje takie znalazły się w nowej książce Marka Świerczka „Krucjata 1935. Wojna, której nie było". Praca ta została oparta na sensacyjnych sowieckich dokumentach. Okazuje się, że taki szpieg rzeczywiście istniał. I rzeczywiście wysyłał takie raporty.

Czy raporty te zawierały prawdę? Na to pytanie w fachowej analizie próbuje odpowiedzieć Marek Świerczek. Autor znakomitych książek o sowieckim wywiadzie, przede wszystkim monografii operacji „Trust".

Nie zdradzę chyba wielkiej tajemnicy, gdy napiszę, że autor jest krytycznie nastawiony do polityki Józefa Becka.

„Interes narodowy wymagał – pisze Świerczek – przeciwdziałania zagrożeniu, przy czym Rzeczpospolita, usadowiona między dwoma wrogimi krajami, z których każdy był od niej silniejszy, musiała znaleźć sposób, by się zabezpieczyć przed agresją każdego z nich, a zwłaszcza przed perspektywą ich współpracy przeciwko Polsce. Odmieniana przez wszystkie przypadki zasada »równych odległości« do Moskwy i Berlina okazała się w 1939 r. skrajnie szkodliwa, doprowadzając do rozbioru II RP".

Według Świerczka w obraniu przez Polskę kursu ku przepaści rolę odegrała sowiecka prowokacja. Sowieci poprzez swoją agenturę byli w stanie przekonać Becka, że porozumienie między brunatnymi Niemcami a bolszewikami jest niemożliwe ze względu na różnice ideologiczne.

Do tego należy dodać ślepą wiarę we francusko-brytyjskie gwarancje i megalomanię narodową, według której II RP była „mocarstwem". Niedocenienie sił przeciwnika i przecenienie sił własnych. Cały splot błędów i pomyłek.

Konkluzja Marka Świerczka jest bardzo smutna. „Polska – pisze autor – odrzucając kolejne propozycje Niemiec, de facto stoczyła swój samotny bój z Niemcami w obronie Związku Sowieckiego".

Książka Świerczka to ważny głos w dyskusji na temat polskiej polityki zagranicznej w latach 30. XX w. Każdy, kto w przyszłości będzie chciał w niej brać udział, musi ją przeczytać. ©℗

★★★★★☆

MAREK ŚWIERCZEK
„KRUCJATA 1935. WOJNA, KTÓREJ NIGDY NIE BYŁO"
FRONDA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Awantura o kalendarz w Rydze

Przyłączenie Inflant do Polski przez Zygmunta Augusta nie rozwiązało sprawy największego miasta kraju – Rygi. Port zachował przywileje i ustalono 20-letni okres przejściowy, po którym rada miejska miała przystąpić do negocjacji na temat warunków włączenia miasta w granice Rzeczypospolitej.

Sprawę usiłował sfinalizować Stefan Batory podczas swojej wizyty w Rydze w marcu 1582 r., ale nie wszystkie tematy zostały uregulowane i niemal natychmiast po wyjeździe króla doszło do sporów. Część z nich miała charakter typowo handlowy, natomiast pozostałe wiązały się z kwestiami religijnymi i polityką władcy, który dążył do restytucji katolicyzmu na Inflantach. Ryga była bowiem niemal w całości luterańska, a bezpośrednim powodem buntu stała się sprawa nowego kalendarza.

Dotychczas w Europie używano rachuby czasu wprowadzonej jeszcze przez Juliusza Cezara, ale w 1582 r. papież Grzegorz XIII dokonał poważnej jej modyfikacji. Kalendarz juliański tracił bowiem jeden dzień na 128 lat i dlatego przesunięto datę o 10 dni i po 5 października nastąpił od razu 14 października.

Nową rachubę czasu natychmiast przyjęto w Polsce, Hiszpanii, Portugalii i we Włoszech, natomiast pozostałe kraje europejskie pozostały sceptyczne. Szczególny opór stawiały państwa protestanckie i prawosławne, gdzie nowy kalendarz uznano za szatański wynalazek. Podobne zdanie wyrażali też luterańscy mieszczanie Rygi, którzy twierdzili, że znienawidzony papież chciał pozbawić uczciwych ludzi 10 dni, by ugruntować wpływy katolicyzmu.

Spory i zamieszki trwały do końca panowania Batorego, a sytuację spacyfikowano dopiero po objęciu rządów przez Zygmunta III Wazę. Nowy król wprawdzie polecił wprowadzić kalendarz gregoriański, ale zadowolił się wyłącznie przywróceniem władzy nad miastem i wysokim odszkodowaniem. Dzięki temu przez następne trzy stulecia w Rydze posługiwano się dawną rachubą, co było ewenementem w świecie protestanckim. Kalendarz gregoriański wciąż bowiem wzbudzał opór w Europie, jednak kolejne kraje z wolna go przyjmowały (Anglia w 1752 r.). Najbardziej konserwatywne okazały się państwa prawosławne, gdzie aż do początków XX w. nowy kalendarz uznawano za wymysł jezuitów. Rosja trwała przy tradycyjnej rachubie czasu do przewrotu bolszewickiego, natomiast w Grecji datowanie kraju zmieniono dopiero w 1923 r. ©℗

Spory i zamieszki trwały do końca panowania Batorego

eprasa.pl fa121f19c2

FOT. MACIEJ SZPIECH

Jeden las, trzy funkcje

Las pełni wiele funkcji przyrodniczych, gospodarczych i społecznych. Rolą leśników jest pogodzenie trwałości lasu – niezwykle złożonego ekosystemu – z oczekiwaniami i potrzebami społeczeństwa oraz wymogami przemysłu drzewnego i rozwojem gospodarczym kraju. Wielofunkcyjny model, służący do zarządzania terenami podlegającymi Lasom Państwowym, sprawia, że funkcje przyrodnicze, gospodarcze i społeczne są w pełni realizowane i wzajemnie się uzupełniają

W Polsce niemal każdy fragment lasu, poza rezerwatami i parkami narodowymi, to las wielofunkcyjny. Co to oznacza?

Funkcja przyrodnicza to przede wszystkim zachowanie różnorodności biologicznej lasów, redukcja dwutlenku węgla, ochrona zasobów wody, przeciwdziałanie powodziom, zabezpieczenie gleb przed erozją i krajobrazu przed stepowieniem. W Lasach Państwowych znaczna część obszarów przez nie zarządzanych objęta jest różnymi formami ochrony przyrody. Znajdziemy tu 1286 rezerwatów przyrody, ok. 11 tys. pomników przyrody czy 3990 stref ochrony gatunków.

Funkcja gospodarcza to przede wszystkim dostarczanie nam wszystkim drewna. Las i pochodzący z niego surowiec zapewniają też pracę ok. 375 tys. osób. Większość z nich to ludzie zatrudnieni w tysiącach lokalnych rodzinnych przedsiębiorstw – zarówno pracujący w lesie, jak i w zakładach przerabiających drewno i produkty drewnopochodne. Łącznie przemysł drzewny wytwarza 2,3 proc. PKB naszego kraju.

Dzięki **funkcji społecznej** lasów Polacy mają możliwość obcowania z naturą i spędzania wolnego czasu na łonie przyrody. Na swoje potrzeby można w lesie państwowym zbierać grzyby czy jagody. Do dyspozycji społeczeństwa leśnicy oddali i utrzymują ponad 20 tys. km szlaków pieszych, prawie 4 tys. km szlaków rowerowych, ok. ,2 tys. parkingów leśnych i miejsc postoju oraz ponad 600 pól biwakowych i obozowisk. To także bezpłatna oferta edukacyjna LP – ponad tysiąc ścieżek dydaktycznych, blisko 600 wiat edukacyjnych oraz ponad 300 izb edukacyjnych i ośrodków edukacji leśnej.

Nie oznacza to oczywiście, że w tym samym czasie każdy fragment lasu ma pełnić wszystkie trzy funkcje naraz. W pewnych miejscach, zależnie od ich charakteru, niektóre funkcje mogą dominować. Wiele zależy także od wieku lasu. Od posadzenia młodych drzew do ich leśnej pełnoletności, czyli 100–120 lat, minie ok. pięciu ludzkich pokoleń. Z czasem będą się zmieniać drzewostany, a wraz z nimi ich dominujące funkcje.

Las wielofunkcyjny jest niczym mozaika, którą tworzą różnorodne drzewostany. W jednym miejscu rosną te najmłodsze, posadzone tam, gdzie niedawno zostało pozyskane drewno. W kolejnym znajdują się obszary podmokłe, wyłączone z użytkowania. Jeszcze gdzie indziej rośnie dojrzały bór sosnowy, z którego pozyskamy drewno. A dalej piękna buczyna pełna grzybów. Leśnik steruje tą układanką, dbając o to, by równowaga między trzema funkcjami lasu została zachowana.

DLA LASU, DLA LUDZI

„Dla lasu, dla ludzi" to kampania edukacyjna Lasów Państwowych, która ma pokazać, jak leśnicy w swojej pracy łączą dbanie o trwałość lasu jako niezwykle złożonego ekosystemu, oczekiwania ludzi oraz potrzeby przemysłu drzewnego i rozwoju gospodarczego kraju. Razem z ambasadorami kampanii: Mają Włoszczowską, mistrzynią kolarstwa górskiego, dr. Andrzejem Kruszewiczem, przyrodnikiem i dyrektorem warszawskiego zoo oraz Sebastianem Karpielem-Bułecką, muzykiem i architektem, przygotowali cykle filmów, podcasty oraz konkurs fotograficzny, które pozwolą lepiej poznać zależności rządzące lasami, a dla dzieci gry i audiobajkę, które połączą dobrą zabawę z edukacją.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl fa121f19c2

Wszystko do góry nogami

Piotr Semka

Wrześniowe głosowanie do Bundestagu zakończyło epokę Angeli Merkel. Scena polityczna za Odrą przesuwa się w lewo

Rządząca od 16 lat pani kanclerz wpłynęła na wynik wyborów, choć nie tak, jakby ona tego sama chciała. Z jednej strony jej aktywny udział w ostatnim miesiącu kampanii spowodował niemal zrównanie się obozu CDU/CSU z ich głównym rywalem SPD. Z drugiej strony wyniki wyborów pokazują przesunięcie się w lewo niemieckiej sceny politycznej. Bardzo wielu polityków chadeckich wskazuje na przyczyny słabego wyniku – to trwające cztery kadencje rządy Angeli Merkel przyczyniły się do wypłukania partii z ciekawych osobowości, które mogłyby ją zastąpić. Największym błędem okazał się wybór chadeckiego Spitzenkandidat. Został nim Armin Laschet – premier Nadrenii Północnej-Westfalii, jednego z najbardziej kluczowych landów dla gospodarki RFN. Laschet to sprawny polityk, ale każda kampania to także próba osobowości. I ku przerażeniu chadeków Laschet, który był bardzo pozytywnie przyjmowany w wyborach landowych, w zderzeniu ze swoim rywalem z SPD Olafem Scholzem wydał się wyborcom zbyt jowialny i niepoważny. Jak to określił jeden z niemieckich dziennikarzy: wyglądał jak wujaszek, który za uśmiechem ukrywa jakieś nieprzyjemne sekrety. Zresztą konkretne wydarzenie – dowcipkowanie ze współpracownikami za plecami prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera – podcięło nogi jego kampanii.

Na tym tle wydający się przed kampanią nudny i sztywny lider SPD stał się w oczach wyborców kimś znacznie poważniejszym. Gdy tylko socjaldemokraci zorientowali się, że Olaf Scholz budzi zaufanie, skupili na nim całą kampanię. Z czerwonych plakatów SPD krzyczał slogan ze zdjęciem Scholza: „Jeśli chcesz go na kanclerza – to głosuj na SPD”. W sondażach definiowany był jako spokojny, opanowany, racjonalny. Paradoksalnie socjaldemokrata skopiował patent Merkel – prezentowanie się jako kotwica trzymająca niemiecką nawę państwową przeciw burzom dzisiejszego niespokojnego świata. Jednocześnie Scholz jawił się jako wytęskniona odmiana po 16 latach rządów „Mutti”. W rezultacie SPD stosunkowo nieznacznie, ale jednak wyprzedziła CDU z wynikiem 25,7 proc. dla SPD wobec 24,1 proc., które uzyskał blok CDU/CSU. Różnica była niewielka, ale na zasadzie skojarzenia psychologicznego dała socjaldemokratom poczucie prawa do pierwszeństwa w montowaniu koalicji. Bo zarówno chadecy, jak i socjaldemokraci wiedzieli, że nie da się skleić większościo-

eprasa.pl fa121f19c2

FOT. FABRIZIO BENSCH/REUTERS/FORUM

wej koalicji bez udziału dwóch kolejnych wygranych: partii Zielonych i liberałów z FDP. Scholz tę psychologiczną przewagę skwapliwie wykorzystał.

Kolejnym czynnikiem, który mu pomógł, był szok wywołany jednym z najgorszych wyników bloku chadeckiego w wyborach do Bundestagu po wojnie. Wielu znanych polityków chadecji nie dostało się do parlamentu po przegranej z socjaldemokratami. Prestiżową porażkę poniósł długoletni chadecki minister gospodarki Peter Altmaier, który przegrał z socjaldemokratycznym szefem niemieckiej dyplomacji Heiko Maasem. Do Bundestagu nie dostała się też minister obrony Annegret Kramp-Karrenbauer, w której jeszcze dwa lata temu widziano chadecką następczynię Angeli Merkel na stanowisku Bundeskanzler. Symboliczny był również wynik wyborów w okręgu Vorpommern-Rügen – Vorpommern--Greifswald I, gdzie od 1990 r. swój mandat zdobywała Merkel. W tych wyborach Merkel już nie startowała, a kandydat CDU, 33-letni Georg Günther, przegrał z 27-letnią Anną Kassautzki z SPD. W partii natychmiast rozpoczęło się rozliczanie Armina Lascheta ze stosunkowo kiepskiego wyniku. Cios w plecy zadał mu Markus Söder – lider CSU i premier Bawarii. Söder nie ma żadnych powodów do sympatii wobec Lascheta, bo ten zabrał mu funkcję czołowego kandydata chadecji, co bawarski polityk odebrał jako prztyczek w nos. Wielu chadeków lojalnie milczało w czasie kampanii na temat słabości Lascheta, ale dziś mówią już wyraźnie, że to był zły wybór i Söder byłby znacznie lepszy. „Armin, przegrałeś, zrozum to wreszcie" – napisała na Twitterze Ellen Demuth, działaczka CDU z Nadrenii. Teraz partia zagłębia się w wewnętrznej dyskusji, czy zostawić Lascheta czy wybierać jego następcę. W tym drugim wypadku chadecy muszą się zastanowić, czy liderem ich obozu ma zostać Söder. Taka nominacja dla Bawarczyka zawsze budzi sporo wątpliwości.

ZIELONO MI...

Najlepszy wynik w swoich ostatnich latach odnotowała partia Zielonych, uzyskując 14,8 proc. To ewidentny efekt gwałtownej zmiany w nastrojach Niemców w kierunku obsesji zagrożenia klimatycznego. Greta Thunberg, która wykrzykiwała, że natychmiast trzeba coś zmienić w polityce klimatycznej, bo świat czeka zagłada, wypromowała Zielonych. Ten sukces mógłby być jeszcze większy, gdyby nie wybór fatalnej kandydatki na kanclerza. Annalena Baerbock, 40-latka z Hanoweru, okazała się zupełnie bezbarwna, a na dodatek straciła sympatię zwykłych Niemców z powodu krętactw wokół plagiatu w jej książce wydanej na okoliczność wyborów. I znów – tak jak w wypadku obozu chadecji – dziś triumfuje jej wewnątrzpartyjny rywal i triumfują zwolennicy rywala pani Annaleny, współlidera partii Roberta Habecka. Jak wskazują rozgoryczeni Zieloni, na wybór Baerbock wpłynęła jej płeć, a nie kwalifikacje. Zapowiadają oni, że chcą wprowadzić bardzo rygorystyczne zmiany w gospodarce, tak aby osiągnąć tzw. efekt 1,5 st. Celsjusza – obniżenie w skali świata średniej temperatury o rzeczone półtora stopnia.

Tej zielonej obsesji, która opanowała większość Niemców, nie chciała lub nie potrafiła przeciwstawić się kampania chadecji. Laschet bardzo dbał o to, aby nie zyskać opinii wroga polityki proklimatycznej. Miało to swoją cenę. Jego sugestie, by zmiany nie były narzucane administracyjnie, brzmiały pokrętnie i mało nośnie.

I wreszcie liberałowie. Ich przypadek dobrze pokazuje, jak partie liberalne są dzisiaj rozdarte między przywiązaniem do wolnego rynku a rosnącą akceptacją swobody obyczajowej. O ile FDP popiera np. legalizację marihuany, o tyle w kwestiach przejmowania przez państwo odpowiedzialności za gospodarkę broni dawnych reguł, które przyniosły dobrobyt republice federalnej „starych dobrych zasad".

AfD w porównaniu z poprzednimi wyborami spadła z 12 do 11 proc. Alternatywa może pocieszać się wysokim wynikiem w landzie Saksonia, gdzie zdobyła 28 proc. I wreszcie zwróciła uwagę porażka postenerdowskich postkomunistów z partii Die Linke, która zdobyła 4,9 proc. głosów. Na pierwszy rzut oka powinno to nie dawać jej prawa do wejścia do Bundestagu, ale niemiecka ordynacja wyborcza na zasadzie tzw. drugiego głosu pozwoliła spadkobiercom Honeckera na przeczołganie się do parlamentu.

WIELKIE TASOWANIE KART

Socjaldemokraci przynajmniej na zewnątrz demonstrują pewność siebie. Wyraźnie podkreślają, że nowym kanclerzem będzie Olaf Scholz. Ten hamburski polityk sam daje do zrozumienia, że marzy o koalicji SPD-Zieloni-FDP, czyli tzw. koalicji świateł ulicznych. Ale zarówno Zieloni, jak i liberałowie nie mają zamiaru łatwo sprzedać skóry w koalicyjnych negocjacjach. I na dodatek dzielą ich różne priorytety.

Chadecy podkreślają, że liberałom winno być bliżej do ich obozu, gdyż lewica może rozregulować gospodarkę w imię ekologicznych dogmatów. Z kolei socjaldemokraci zachęcają Zielonych i FDP do nowej konfiguracji, która zakończy dominację CDU/CSU w urzędzie kanclerskim. A w samej CDU mówi się, że liberałów może zachęcić wysunięcie na stanowisko ewentualnego kanclerza Bawarczyka Marcusa Södera, który robi na Niemcach o wiele lepsze wrażenie niż naznaczony porażką Armin Laschet.

Nie sposób stwierdzić, jak długo będą trwały negocjacje. W medialnym szumie raz padają zapowiedzi, że SPD dogada się w mig z Zielonymi i FDP, podczas gdy inni przewidują, że ekolodzy i liberałowie będą kontynuować licytację, kto da im więcej. Na razie pojawiło się nowe określenie Zitrus-Koallition, czyli współdziałania

eprasa.pl fa121f19c2

Zielonych i FDP, w którym to zestawie pierwszą partię symbolizują cytryny, a drugą zielone limonki. Obie partie chcą dogadać między sobą linię nowego rządu i dopiero potem zadecydować, czy przyjmą ofertę Scholza czy chadeków. To coś nowego w niemieckiej polityce, gdzie dotąd jeden główny koalicjant proponował udział we władzy mniejszym partnerom.

Jeszcze inni spekulują, czy Angela Merkel pobije rekord pozostawania u władzy, który kiedyś ustanowił Helmut Kohl, który rządził 5870 dni. Aby przebić swego dawnego mentora, Angela Merkel musiałaby dotrwać w urzędzie kanclerskim do początku grudnia tego roku. Zobaczymy, czy negocjacje wokół stworzenia nowej koalicji rządzącej potrwają na tyle długo, by pani kanclerz pobiła rekord Helmuta Khola.

ZAGRANICA ZERKA NA BERLIN

Po wygranej socjaldemokratów zagraniczni dziennikarze zaczęli wertować wcześniejsze wywiady kandydata SPD, szukając w nich wskazówek do zdiagnozowania jego polityki zagranicznej. Scholz niespecjalnie palił się, by odpowiadać na takie pytania. Nieprzypadkowo niemieccy dziennikarze nazwali go „scholzomatem". W ten sposób kpili z maniery związanego z Hamburgiem polityka do udzielania gładkich, wyuczonych formułek.

Scholz w kampanii starał się uspokoić wszystkich. Z jednej strony podkreślał wagę tzw. nowej polityki wschodniej, co było ukłonem dla tej znacznej części Niemców, która w kółko powtarza, że z Rosją trzeba rozmawiać, a z drugiej strony podkreślał poważne traktowanie sojuszu z Ameryką i chęć wzmacniania siły NATO. Jednak nie sposób zastanawiać się nad przyszłą polityką zagraniczną ewentualnego gabinetu Scholza bez pamięci, że SPD jest najbardziej prorosyjską z czołowych partii. Można więc przyjąć, że Scholz będzie kontynuował sprytną politykę Merkel, która potępiała łamanie praw człowieka przez Putina, a jednocześnie broniła jak lew Nord Stream 2.

Jeśli kanclerzem zostanie z kolei ktoś z chadecji, to zarówno w tej partii, jak i w FDP będzie znajdował polityków także podkreślających znaczenie Rosji dla zysków wielkich firm niemieckich. Jedyną partią, która była zawsze wyczulona bardzo ostro wobec obłudnej gry Kremla, byli niemieccy Zieloni. Ale w przyszłej koalicji będą oni stanowić tylko jedną trzecią.

Stosunki z Polską znaczących zmian raczej nie odnotują. Dietmar Nietan,

W Niemczech powstało nowe określenie „cytrusowej koalicji" – limonka symbolizuje Zielonych, a żółta cytryna – FPD

polityk SPD specjalizujący się w dialogu z Polską, wygłosił już po wyborach zestaw tradycyjnych haseł wygłaszanych w kontekście relacji z Warszawą. Podkreślał, że przyszły rząd nie chce rozmawiać z Rosją nad głowami Polski, Ukrainy i państw bałtyckich, przypominał, że to Willi Brandt znormalizował stosunki z Polską, i przekonywał, że nie będzie żadnego wahania Scholza „w sprawie tego, gdzie jest nasze miejsce, bo ono jest w NATO i Unii Europejskiej i po stronie ludzi w Polsce i w krajach bałtyckich". Nietan podkreślał też, że SPD nie chce, by sprawa praworządności stała się tematem bilateralnym w relacjach polsko-niemieckich, bo jest to gestia Komisji Europejskiej. Wszystko to brzmi bardzo dobrze dla polskiego ucha, ale już Merkel przyzwyczaiła nas do tego, że Berlin co innego mówi, a co innego robi. Tym bardziej że spodziewany przechył w lewo zazwyczaj oznaczał ciepłe relacje Niemiec z Rosją. Nieprzypadkowo proputinowska prasa w Moskwie obawy w stosunku do przyszłego rządu wiąże z obecnością Zielonych, którzy są najmniej infiltrowaną przez sowieckie służby niemiecką siłą polityczną. Polska musi jednak pamiętać, że Zieloni będą wywierać nacisk na nas w kierunku jak najszybszego przyjmowania rygorów klimatycznych. Polakom to się chyba niespecjalnie podoba.

NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT?

Być może jesteśmy świadkami ostatecznego zakończenia panowania „ducha Bonn" w niemieckiej polityce. Nasi sąsiedzi zza Odry przyzwyczaili się do długich rządów silnych postaci, zazwyczaj w dwuczłonowych koalicjach. Ten system zbudowany był także na bardzo mocnych osobowościach kolejnych kanclerzy. Sam fakt, że było ich łącznie z Merkel tylko dziewięciu, pokazuje, jak trwała była niemiecka demokracja po 1949 r. Teraz do władzy dojdzie koalicja złożona z trzech sił politycznych i to mających bardzo często odlegle od siebie pomysły. Jak mówią w kuluarach Bundestagu – SPD będzie reprezentować cynizm i interesy socjalne elektoratu 60+, liberałowie będą zafiksowani na sprawach wolności gospodarki, a Zieloni będą ciągle wracać do zmian na rzecz ratowania klimatu.

Dla polskiego obserwatora szczególnie niepokojące są rozmaite pomysły Zielonych dotyczące przymusowego regulowania różnych dziedzin życia. To klimat społeczny, który spowodował, że na stołówkach berlińskich wyższych uczelni ma być dostępne tylko 4 proc. potraw mięsnych, wszelkie podróże samochodowe zostaną ograniczone limitem prędkości 50 km/h, a wewnątrzkrajowe loty w Niemczech zostaną zakazane.

Innym memento było referendum w Berlinie (towarzyszące wyborom do Bundestagu), w którym nakazano władzom Berlina wywłaszczenie wielkich firm wynajmujących mieszkania. Jeśli firma ma ponad 3 tys. mieszkań, to nadwyżki mają być własnością komunalną.

Berlińskie firmy wynajmu mają złą sławę z powodu często wilczych praktyk, ale wizja, w której spora liczba mieszkań stanie się własnością komunalną, budzi u wolnorynkowców jak najgorsze prognozy. A jednak za tym rozwiązaniem opowiedziało się 56 proc. biorących udział w referendum nad Sprewą.

Niemcy najwyraźniej mieli już dosyć epoki „Mamuśki", sami jednak nie mają jeszcze wyraźnej wizji, kto powinien ją zastąpić. Wybrali więc kogoś, kto kojarzy im się ze spokojem i z rozwagą oraz kto występował za czasów obecnej kanclerz. Jednocześnie jednak wybrali lewicę, która kojarzy im się z ratowaniem klimatu i bezpieczeństwem socjalnym. Bardzo charakterystyczne było, że w kampanii wszystkie siły omijały temat imigracji. Chadecy puszczali oko do wyborców zaniepokojonych polityką otwartych drzwi poprzez wspieranie unijnej polityki uszczelniania wschodnich granic Unii, a lewica nie chciała się też kojarzyć z masową migracją z 2015 r. Jak jednak Niemcy usytuują się na mapie globalnego konfliktu Ameryka-Rosja-Chiny, pokaże praktyka przyszłego rządu. Wyborcze deklaracje nie gwarantują niczego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

Premiery, promocje oraz porady.

To wszystko na Targach Mieszkań i Domów w Poznaniu

Anna Mojsiuk

Wielu potencjalnych nabywców, którzy mieli w zamiarze zakup nieruchomości, a przez ostatni rok lub dwa lata tylko się rozglądali, podjęli decyzję, że to właśnie teraz jest dobry moment. W związku ze wzrastającym popytem i z galopującymi cenami za metr kwadratowy raptownie zaczęli oni poszukiwać swojego wymarzonego nowego lokum. Dodatkowo wiele osób decyduje się na lokatę kapitału ze względu na inflację właśnie poprzez zakup jednego lub kilku mieszkań pod wynajem lub po prostu jako ochronę wartości oszczędności. Oferta deweloperów szybko się wyczerpuje, a kolejki na spotkania w biurach sprzedaży mieszkań już nikogo nie dziwią. W tej sytuacji warto pomyśleć o zakupie mieszkania jeszcze tej jesieni.

Targi Mieszkań i Domów to idealna okazja, aby uzyskać potrzebne informacje dotyczące przyszłego lokum. Dzięki nim nabywca nie musi poświęcać dziesiątek godzin na nużące przeglądanie ofert w Internecie. Często też poszukiwanie nieruchomości do zakupu w Internecie nie jest tak proste, jak się wydaje, ponieważ duża część deweloperów nie udostępnia pełnych informacji dotyczących swoich inwestycji. Na Targach uzyskać można wszelkie informacje bez dodatkowych zobowiązań. Istnieje możliwość, aby porozmawiać z przedstawicielem dewelopera twarzą w twarz. Dodatkowo na takich wydarzeniach prezentuje się szeroki wachlarz inwestycji oraz deweloperów, tak więc w jednym miejscu można poznać ofertę całego lokalnego rynku mieszkań i domów.

Tak było w Poznaniu na Międzynarodowych Targach Poznańskich w dniach 25–26 września 2021 r. Wśród wystawców dominowali deweloperzy, ale znaleźć można było tam również agencje nieruchomości, stoiska doradców finansowych oraz projektantów wnętrz. Można było wziąć udział w wykładach, które wyjaśniały wiele kwestii niezbędnych przy zakupie nieruchomości, m.in. podjęte były tematy inwestowania w nieruchomości, jak uzyskać najlepsze warunki kredytowe, projektowania mieszkania oraz jego wynajmu. W zeszłotygodniowym wydarzeniu udział wzięło 82 wystawców, z czego jeden, deweloper, był partnerem targów – Grupa Inwest.

Poznańskie targi były wyjątkowo atrakcyjne dla potencjalnych nabywców, ponieważ wielu wystawców przygotowało na nie specjalnie promocje, rabaty czy też prezentacje premierowych inwestycji. Jak było widać na Targach, argumenty te były wystarczające, aby zachęcić nabywców do ich odwiedzenia. Podczas tegorocznej edycji zostało sprzedanych kilka tysięcy biletów. Frekwencja zaskoczyła wszystkich – i organizatorów, i wystawców. Na potwierdzenie użytego w tym artykule terminu zjawiska wzrostu popytu na nieruchomości warto wskazać, że zeszłoroczna edycja zgromadziła zdecydowanie mniej zainteresowanych.

Jeśli stoisz przed wyborem swojego perfekcyjnego „M" lub chcesz znaleźć idealny produkt pod inwestycję, to warto zorientować się w swoim regionie, kiedy odbywają się Targi Mieszkań. Wydarzenia te są organizowane cyklicznie w każdym z większych miast Polski. Kolejna edycja będzie miała miejsce w Poznaniu w terminie 12–13 marca 2022 r. Jeśli natomiast jesteś na ostatniej prostej do zakupu lokalu, ale zastanawiasz się, którego dewelopera wybrać, to być może warto podjąć decyzję w najbliższym tygodniu. Wielu poznańskich deweloperów jeszcze przez krótki czas będzie oferowało przedłużone promocje tzw. targowe. Jednym z nich jest deweloper Grupa Inwest, który ogłosił na targach wyjątkowy rabat 3 proc. na zakup lokalu w trzech poznańskich inwestycjach – www.grupainwest.pl.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl fa121f19c2

Bolsonaro kontra reszta świata?

Wojciech Golonka

Bicie na alarm międzynarodowej lewicy o zagrożonej brazylijskiej demokracji, gigantyczne manifestacje poparcia w kraju dla prezydenta Bolsonaro, histeria wokół jego wystąpienia na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ – to hałaśliwy ciąg dalszy politycznego przeciągania liny w wewnętrznych sporach Brazylii

Sensacja, skandal i sądy nie są żadną nowością w życiu Jaira Bolsonaro, pomogły mu bowiem rozpocząć błyskotliwą karierę polityczną w czasach, kiedy był jeszcze wojskowym. W 1986 r., na łamach czasopisma „Veja" kapitan Bolsonaro opublikował artykuł krytykujący niskie płace brazylijskich oficerów, czyli uderzył w ówczesny pierwszy cywilny rząd po 20 latach dyktatury armii. Trzydziestojednoletni oficer spotkał się wówczas z reprymendą przełożonych i trafił na 15 dni do wojskowego karceru, ale przede wszystkim zyskał rozgłos i poważanie wśród kolegów w armii, a także pewną rozpoznawalność na brazylijskiej prawicy.

Rok później „Veja" rozpętała już prawdziwą burzę wokół młodego kapitana, oskarżając go o przygotowywanie terrorystycznych zamachów – Bolsonaro miał planować podłożenie bomb w jednostkach wojskowych w Rio de Janeiro na tle niespełnienia finansowego. Jednogłośnie skazany w pierwszej instancji i uznany za „osobę z zaburzoną osobowością i zawodową deformacją" Bolsonaro został uniewinniony przez Najwyższy Sąd Wojskowy, następnie wystąpił z armii i z biegu został wybrany na radnego Rio do Janeiro, na którego mieszkańcach doniesienia żurnalu najwyraźniej nie zrobiły negatywnego wrażenia. Wręcz przeciwnie – dzięki tym samym wyborcom dwa lata później, w 1991 r., zasiadał już w brazylijskim Kongresie w roli deputowanego, którą to funkcję sprawował nieprzerwanie do 2018 r., osiągając w wyborach w 2014 r. przeszło pół miliona głosów, najwięcej ze wszystkich kongresmenów. Wystarczająco dużo, aby wzbudzić jego apetyt na brazylijską prezydenturę.

DIABOLIZOWANIE BOLSONARO

O Bolsonaro świat usłyszał głośniej w 2018 r., w czasie zaciętej kampanii prezydenckiej, w wyniku której udało mu się odbić urząd prezydenta będący od lat w rękach lewicy. Bolsonaro stawiał na bezpieczeństwo i ekonomię, nie kryjąc jednocześnie swego światopoglądowego konserwatyzmu i odwoływania się do chrześcijaństwa, ciesząc się silnym poparciem zwłaszcza wśród protestanckich ewangelików, stanowiących obecnie już 30 proc. mieszkańców onegdaj katolickiej Brazylii. Całość – wraz z jego bliskością do ludzi, ciętym językiem wobec przeciwników i krytyką „establishmentu" – zyskała mu uzasadniony przydomek Tropikalny Trump. Dodatkowy dramatyczny rozgłos zyskał, gdy ugodzono go nożem miesiąc przed pierwszą turą wyborów, co mogło skończyć się tragicznie. Jednak ani zamach, ani masowe manifestacje jego przeciwników nie przeszkodziły mu w zwycięstwie – 1 stycznia 2019 r. został zaprzysiężony na 38. prezydenta Brazylii.

Jako prezydent Jair Bolsonaro, wraz z rządem złożonym w dużej mierze z byłych wojskowych, osiągnął dwa duże sukcesy: silny spadek przestępczości w kraju borykającym się z problemem bezpieczeństwa oraz znaczne pobudzenie gospodarcze redukujące kryzys ekonomiczny. Te dwa dokonania nie zmieniały faktu, że każdy powód był dobry, aby uderzać w jego popularność, a z tego punktu widzenia COVID-19 dla brazylijskiej opozycji okazał się błogosławieństwem. Przywiązany do swobód obywatelskich i potępiający sanitarny zamordyzm Bolsonaro miał ponieść polityczną odpowiedzialność za ponad pół miliona covidowych zgonów w Brazylii, a te z kolei miały służyć całemu światu za przestrogę przeciw prawicowym populistom jego pokroju.

W rzeczywistości sytuacja była bardziej złożona i znacznie mniej karykaturalna niż ją przedstawiano. Prawdą jest, że Bolsonaro opowiadał się przeciw lock-

eprasa.pl fa121f19c2

FOT. ANDRESSA ANHOLETE/GETTY IMAGES

downom, przeciw zamykaniu gospodarki, przeciw nieuzasadnionemu ograniczaniu swobód – ale robił to jako prezydent krytykujący decyzje gubernatorów poszczególnych stanów, które – podobnie jak w USA – miały pełną autonomię w stosowaniu własnej polityki sanitarnej. Brazylia jest bowiem federacją na wzór USA i jeśli ktoś w rzeczywistości poniósł w Brazylii porażkę epidemiczną, to były to przede wszystkimi regionalne władze stanowe, w stosunku do których rząd pełni jedynie funkcję pomocniczą. Nie zmienia to faktu, że podobnie jak Donald Trump Bolsonaro zapłacił wizerunkową cenę za covidowy kryzys, zgony i chwilowe załamanie gospodarki. Drugi wątek – trzeba pamiętać, że Brazylię zamieszkuje ponad 200 mln mieszkańców, czyli prawie tyle, co połowa Unii Europejskiej. Uwzględniając te proporcje, w posępnym rankingu zgonów per capita Brazylię wyprzedzają aż trzy kraje Unii (Węgry, Bułgaria, Czechy), a także Gibraltar, a wśród krajów będących w tych samych widełkach 20–29 zgonów na 100 tys. mieszkańców obok Brazylii (27,7) znajdziemy także Argentynę (25,1), Kolumbię (24,4), Słowację (23), Belgię (21,9), Słowenię (21,8) Włochy (21,6) czy USA i Chorwację (21,1), a także Polskę (20). Diabolizowanie Bolsonaro z powodu COVID-19 było więc przede wszystkim brudną rozgrywką polityczną.

ANTYSZCZEPIONKOWIEC?

Powód do covidowego larum we wrześniu br. dał także przyjazd Bolsonaro na Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych, gdzie – ponoć wbrew protokołom – miał być jedyną niezaszczepioną głową państwa. Jego przyjazd do Nowego Jorku poprzedziły zresztą skandaliczne deklaracje burmistrza miasta Billa de Blasio, który nawoływał, aby niezaszczepiony Bolsonaro trzymał się z dala od Nowego Jorku. Dość powiedzieć, co potwierdził sekretarz generalny ONZ Antonio Guterres, że ograniczanie suwerennemu państwu udziału w Zgromadzeniu Ogólnym z powodu szczepień nie ma podstaw prawnych. Można by dodać, że sam Bolsonaro jest ozdrowieńcem, stoi on na stanowisku, że szczepienie jest indywidualną decyzją między pacjentem a lekarzem, a przede wszystkim, że nikogo nie powinna obchodzić czyjaś kartoteka zdrowotna (niektóre media donoszą, że swoje dane zdrowotne utajnił dekretem prezydenckim na sto lat, sugerując, że przyjął szczepionkę, ale tego nie potwierdził). W każdym razie Bolsonaro w Nowym Jorku ogłosił, że 90 proc. populacji Brazylii w wieku szczepiennym uzyskało pierwszą dawkę szczepionki, czym Brazylia wyprzedza nie tylko większość krajów Unii, lecz także USA. Znów burza w szklance wody.

BEZPARDONOWA WALKA O WŁADZĘ

W rzeczywistości – pomijając zewnętrzne napięcia z USA, odkąd nastąpiła era Joe Bidena – konflikty wokół Bolsonaro są pokłosiem wewnętrznej walki o władzę. Bolsonaro rządzi, ale nie ma większości w Kongresie, od którego dobrej woli zależy jakiekolwiek przegłosowanie jego ustaw. A choć obie izby kontroluje centroprawica, to jej życzliwość wobec prezydenta jest znikoma. Wprawdzie w latach 90. Bolsonaro deklarował się jako polityk, którego poglądy idą od centrum do prawej strony, ale było to 20 lat temu. Nie zmieniając poglądów, dziś ma on łatkę prawicowego radykała. W interesie centroprawicy nie leży jednak otwarte zwalczanie prezydenta, a tym bardziej jego impeachment, który dałby wiatr w żagle wojującej z nim lewicy – a pamiętajmy, że taki właśnie scenariusz spotkał w 2016 r. Dilmę Rousseff, usuniętą z urzędu przez obie izby Kongresu. W rzeczywistości Bolsonaro jest mniej lub bardziej w sytuacji Trumpa, który, owszem, rządził USA, ale nie kontrolował Kongresu nawet wtedy, gdy ten był w rękach republikanów, przez co miał bardzo ograniczone pole ustawodawcze. Dla przykładu: jedną z odsłon tej brazylijskiej telenoweli było odrzucenie tego lata propozycji prawa, dzięki któremu Bolsonaro chciał zdublować elektroniczny system głosowania papierowym potwierdzeniem, co umożliwiałoby ręczną weryfikację głosów w przypadku wątpliwości wyborczych (niedawne audyty z Arizony, pokazujące skalę nieregularności wyborczych, przemawiają akurat na jego korzyść).

Bitwa toczy się więc bardziej o reelekcję pod koniec 2022 r. niż dotrwanie do końca kadencji, niemniej po piętach Bolsonaro i jego rodziny depcze również brazylijski Sąd Najwyższy w związku z podejrzeniami o nieprawidłowości przy zatrudnianiu w przeszłości asystentów parlamentarnych. Próba kontrataku poprzez odwołanie sędziego spełzła na niczym, gdyż senat odmówił Bolsonaro wszczęcia tej procedury. Pozostają więc medialne przeciąganie liny, mocne deklaracje i ulica, a zapowiedziami o tej ostatniej Bolsonaro wywołał histerię aż u lewicowych frustratów z zagranicy. José Zapatero, były premier Hiszpanii, Jeremy Corbyn, były lider angielskiej partii pracy, oraz Janis Warufakis, były minister finansów Grecji, solennie ostrzegli demokratyczny świat przed nadchodzącym przewrotem dyktatora w Brazylii. Ale zamiast zapowiadanego puczu 7 września, w Dniu Niepodległości, na ulicę wyszły setki tysięcy zwolenników pokojowo manifestujących poparcie dla obecnego prezydenta. Silne poparcie to jednak nie wszystko – choć korupcja, malwersacje czy nepotyzm są w zasadzie stałymi oskarżeniami wobec wszystkich brazylijskich prezydentów w ostatnich dekadach, to liczba przeciwników Bolsonaro w sondażach ciągle rośnie. Jeśli nie uda mu się przezwyciężyć wydanej nań politycznej fatwy, to wśród wielu podobieństw z Donaldem Trumpem podzieli także jego porażkę w walce o reelekcję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

FOT. ADOBE STOCK

Zakaz cenzury w sieci

Paweł Zdziarski

Brazylia jako pierwszy kraj wprowadza prawo chroniące obywateli przed bezkarnością serwisów społecznościowych takich jak Facebook, Twitter i YouTube

Nowe prawo obowiązujące w Brazylii to efekt dekretu prezydenta tego kraju Jaira Bolsonaro. Według aktualnych przepisów media społecznościowe mogą natychmiast usunąć tylko te treści, które przedstawiają przemoc, narkotyki, nagość, zachęcające do przestępczości lub naruszające prawa autorskie. Do skasowania wszelkich innych treści będzie wymagane orzeczenie sądowe. Firmy zajmujące się portalami społecznościowymi otrzymały 30 dni na zaktualizowanie swoich zasad. Jeżeli tego nie zrobią, to mogą spodziewać się kary.

Na profilu brazylijskiego rządu na Twitterze pojawiło się uzasadnienie prezydenckiego dekretu. Napisano w nim, że zabrania on usuwania treści, które „mogą skutkować jakąkolwiek cenzurą porządku politycznego, ideologicznego, naukowego, artystycznego lub religijnego".

Część komentatorów uważa, że decyzja Bolsonaro jest konsekwencją jego konfliktu z Facebookiem i Google w sprawie polityki sanitarnej w czasie pandemii. Brazylijskie media połączyły ogłoszenie dekretu z wydarzeniami sprzed kilku tygodni, kiedy YouTube usunął filmy prezydenta, tłumacząc, że „rozpowszechniają dezinformację" na temat COVID-19.

KILKA PUŁAPEK

Przed koncernami twardy orzech do zgryzienia, ponieważ uzyskanie zgody brazylijskich sądów na usunięcie wszystkich treści, które uznają za dezinformację, może graniczyć z cudem. Trudno sobie wyobrazić, jak wiele postów, komentarzy i filmików będzie zgłaszanych każdego dnia, ale prawdopodobnie ta liczba okaże się dość wysoka.

Eksperci podkreślają, że gdyby wymiar sprawiedliwości miał rzetelnie zbadać każdą z tych spraw, musiałby nie robić nic innego. Istnieje zatem kilka możliwości. Być może przepis będzie martwy i w sytuacji koncernów internetowych nie zmieni się de facto nic. Albo brazylijskie sądy zostaną zalane wnioskami o możliwość usunięcia treści kontrowersyjnych z punktu widzenia serwisów społecznościowych.

Może jednak się okazać, że decyzja Bolsonaro poskutkuje realną zmianą sytuacji przeciętnego internauty, dotychczas bezbronnego w starciu ze wspomnianymi koncernami. Rozwiązania brazylijskie mogłyby stać się punktem odniesienia dla władz innych krajów.

KIEDY CZAS NA POLSKĘ?

Pomysły ukrócenia samowoli koncernów internetowych w cenzurowaniu ich użytkowników są obecne również w Polsce. W grudniu ubiegłego roku Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało projekt ustawy mający na celu ochronę wolności słowa w mediach społecznościowych.

– Konstytucja w art. 54. gwarantuje pełną wolność słowa i w konsekwencji wolność wyrażania swoich poglądów. Dlatego przejawy jej ograniczania muszą spotkać się z reakcją państwa, aby umożliwiło ono ochronę przed ingerencją w tę wolność. Projekt ustawy, który przygotowaliśmy, wychodzi naprzeciw różnym niepokojącym sygnałom, a z drugiej strony gwarantuje możliwość wyrażania swoich opinii, o ile nie naruszają one prawa – mówił w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl Sebastian Kaleta, sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości. Według jego zapowiedzi nowe przepisy mają chronić również ofiary fake newsów. Zdaniem autorów projektu osoby te obecnie nie mają możliwości skutecznej ochrony przed pomówieniami. Przedstawiciele resortu sprawiedliwości podkreślali, że podobne rozwiązania zostały już przyjęte w wielu europejskich krajach.

Od kilku lat na problem cenzury w sieci zwraca uwagę Ordo Iuris. W 2019 r. prawnicy instytutu w imieniu Pawła Lisickiego złożyli pozew przeciwko firmie Google. Powodem było określenie programów współprowadzonych przez dziennikarza na kanale wSensie.tv jako rzekomo szerzących „mowę nienawiści". Ordo Iuris organizowało też debaty i panele dyskusyjne na temat cenzury w Internecie z udziałem ekspertów.

Wspomniane projekty do dziś nie doczekały się realizacji. W tym czasie pętla cenzury się zaciska. Do reglamentowanych dotychczas treści dołączyły tematy związane z pandemią COVID-19. Zablokowanie twitterowego konta dr. Pawła Basiukiewcza to tylko jeden z przykładów, że osoby domagające się debaty na temat przyjętych metod walki z zarazą nie mogą spać spokojnie. Dotyczy to lekarzy, polityków, dziennikarzy i innych komentatorów. Ostrzeżenie na serwisie Patronite otrzymał niedawno Jan Pospieszalski, który przeniósł swoją działalność do sieci po zdjęciu programu „Warto rozmawiać" z TVP. Cyklicznie banowane są telewizje internetowe takie jak wRealu24 czy Media Narodowe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

FOT. HENNING BAGGER/EPA/PAP

OKRADŁ MUZEUM, NAZWAŁ TO SZTUKĄ

Można nic nie pokazać i uznawać, że to taki performance. To już było. Ale idzie nowe. Drogę wytycza Jens Haaning. Duńskie Kunsten Museum of Modern Art w Aalborgu zamówiło u niego rekonstrukcję dwóch rzeźb wykonanych z pieniędzy, dało mu 534 tys. koron (ponad 330 tys. zł) zaliczki. Wszak instalacja miała się składać z forsy. Haaning zamiast tego przyniósł dwie puste ramy. Określił to jako dzieło sztuki konceptualnej zatytułowane „Bierz pieniądze i w nogi".

WIELKIE SZCZEPIENIE... FUTRZAKÓW

Skandynawowie na potęgę wybijali zwierzęta futerkowe – bo mogły przenosić COVID-19. Teraz zmiana. Dania będzie je na potęgę szczepić (zawsze lepsze jednak niż zabijanie). Futrzaki dostaną eksperymentalną szczepionkę FurcoVac, którą opracowano na uniwersytecie w Helsinkach. Dawki będą dwie. W magazynach zgromadzono już ok. 500 tys. dawek, co ma zabezpieczyć „norki reproduktory". Bo wszystkich norek w Danii hoduje się ok. 17 mln.

LGBT W NEPALU

Zmiany i nowoczesność. W Nepalu rozpoczął się niedawno spis powszechny. Urzędnicy z Centralnego Biura Statystycznego odwiedzają domy w tym 30-milionowym kraju. Nepalczycy są pytani m.in. o płeć. W tym roku oprócz „mężczyzna" lub „kobieta" mogą też zadeklarować płeć określoną jako „inna". Od sześciu lat Nepal wydaje paszporty, w których może być wpisywana trzecia kategoria płci.

CHIRURG REŻYSER AMATOR

Niemiecki chirurg plastyczny filmował prowadzone przez siebie operacje i zamieszczał krwawe nagrania w sieciach społecznościowych. Okazało się, że był nie tylko amatorskim reżyserem, lecz także amatorskim lekarzem. Dwie jego pacjentki zmarły. Prokuratura, która badała sprawę, uznała, że zgodnie z zasadami sztuki tego rodzaju zabiegi powinny się odbywać na sali operacyjnej, a ten lekarz prowadził je w ambulatorium.

ŻÓŁW SPARALIŻOWAŁ LOTNISKO

Jeden z pasów startowych dla samolotów na międzynarodowym lotnisku Narita niedaleko Tokio został sparaliżowany na kilkanaście minut. Jeden z pilotów pasażerskiego samolotu zauważył bowiem, że po drodze startowej spaceruje sobie żółw. Po intruza wysłano służby techniczne. Pracownicy zabrali go z pasa, a potem jeszcze dokładnie sprawdzali cztery kilometry drogi startowej. Wiele lotów zostało opóźnionych. ©℗

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

AUKUS, czyli koniec pauzy

JACEK PRZYBYLSKI

Ogłoszony przez Joe Bidena nowy sojusz obronny Australii (AU), Wielkiej Brytanii (UK) i USA może na wiele dekad zmienić układ figur na globalnej szachownicy. I choć AUKUS to dziwny akronim, to warto się go nauczyć. Powstanie tego trójstronnego paktu może mieć bowiem podobne znaczenie dla świata jak powstanie NATO w 1949 r., kryzys sueski w 1956 r. czy upadek muru berlińskiego w roku 1989.

Powstanie AUKUS pokazuje jasno: tzw. pauza geopolityczna definitywnie się skończyła. Ukazuje również, gdzie potężne dziś kraje mają nie tylko lewicową i osłabioną Francję, lecz niemal całą Europę. Stary Kontynent nie jest już istotnym partnerem dla USA, Chin czy innych potęg. Podczas gdy unijne elity zajęte są nakładaniem na własny przemysł zabójczych rozwiązań w stylu programu „Fit for 55", przyjmowaniem nielegalnych migrantów, walką z chrześcijańską tożsamością oraz wprowadzaniem dalszych rozwiązań skutkujących spadkiem dzietności, prawdziwi aktorzy na globalnej scenie szykują się bowiem do kluczowego w XXI w. starcia między tzw. anglosferą a coraz potężniejszymi Chinami.

Fakt, że Anglosasi zdecydowali się stworzyć osobny byt geostrategiczny, to także ewidentny dowód na to, że szeroko rozumiany Zachód staje się mniej „zachodni". Europa z roku na rok traci dawną potęgę, a wraz z utratą siły i zdolności działania staje się coraz bardziej narażona na nowe zagrożenia. Ogłaszając AUKUS, Waszyngton wprost przyznaje, że Ameryka szykuje się do zimnej i gorącej wojny z Chinami, a do nowego sojuszu zapraszać będzie tylko wybranych partnerów z Europy. To zła wiadomość dla państw, które swą politykę obronną opierają głównie na Wujku Samie. W tym stuleciu Wujek Sam będzie miał bowiem spore problemy. ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

Co knują europejskie wulkany?

Adam Zubek

Zanosiło się, że Cumbre Vieja z kanaryjskiej wyspy La Palma dołączy do tegorocznych wulkanicznych atrakcji turystycznych, podobnie jak wiosenna aktywność sycylijskiej Etny i islandzkiego Fagradalsfjall. Erupcja okazała się jednak katastrofalna w skutkach: lawa pochłonęła setki domów, a tysiące ludzi ewakuowano. Zakłócony został ruch lotniczy i pojawiło się zagrożenie kwaśnymi deszczami w południowo-zachodniej Europie

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl fa121f19c2

Chociaż te trzy wulkany – Cumbre Vieja, Etna i Fagradalsfjall – zaskoczyły w ostatnich miesiącach Europę swoją aktywnością, to „prawdziwe zło" czai się gdzie indziej.

ETNA, SPOKOJNA I ROZWAŻNA

Etna nie jest wprawdzie skłonna do spektakularnych niespodzianek, ale często, zwłaszcza w mediach i literaturze, przedstawiana jest jako potwór siejący śmierć i zniszczenie. Oskarża się ją o zagładę wielu tysięcy istnień ludzkich, a jako dowody przytacza się erupcje z lat 1169 (ponad 15 tys. ofiar) i 1669 (ponad 20 tys.). Doktor Boris Behncke, wulkanolog z Catania University, który przeprowadził szczegółowe śledztwo w sprawie tych oskarżeń, doszedł do wniosku, że Etnie „dopisano" ofiary trzęsień ziemi.

Czarny PR Etna zawdzięcza zapewne temu, że jest największym wulkanem europejskim i jednym z najbardziej aktywnych na świecie. Najstarsze dane o jej aktywności sięgają 1500 r. p.n.e. Od tego czasu doszło do 206 erupcji. Siedem z nich można uznać za rzeczywiście groźne. Dla miejscowych Etna to „dobra góra", a z jej kaprysami radzą sobie m.in. z pomocą relikwii św. Agaty, patronki Katanii. Etna należy, na szczęście, do typu wulkanów mieszanych, efuzywno-eksplozywnych (zwanych także strombolijskimi), które cechują częste, ale raczej krótkie i niezbyt silne wybuchy z wyrzucaniem bomb wulkanicznych, wylewami lawy i dużą produkcją gazów. Etna ma jeszcze jedną dobrą cechę: podczas wzrostu aktywności często na jej zboczach pojawiają się rozpadliny. Spełniają one rolę zaworów bezpieczeństwa, gdyż redukują ciśnienie gazów wewnątrz krateru. Nawiasem mówiąc, ta cecha, swoistych zaworów bezpieczeństwa, obejmuje cały kompleks nieodległych wulkanów w archipelagu Wysp Liparyjskich, jak Stromboli, Vulcano, Vulcanello. Są one aktywne lub drzemiące, dają nierzadko atrakcyjne spektakle typu „światło i dźwięk" (słynie z tego zwłaszcza Stromboli), uwalniając w ten niegroźny sposób nadmiar swojej energii.

POTRÓJNE ZŁO

Prawdziwe „zło" czai się jakieś 300 km bardziej na północ. To przede wszystkim Wezuwiusz. Do czego jest zdolny, świadczą wykopaliska w jego okolicach (Pompeje, Herkulanum, Stabie). Zdaniem wulkanologów jego kolejny wybuch jest kwestią czasu, i to niedługiego. W komorach magmowych pod wulkanem zebrało się już 200 km sześc. materiału (podczas najsłynniejszej, „pliniuszowskiej", erupcji z roku 79, z krateru wydobyło się ok. 5 km sześc. magmy). Wulkanolodzy są zdania, że „zakorkowany" od ponad 70 lat Wezuwiusz każe nam, by spodziewać się erupcji bardzo gwałtownej. Niezależnie od wypływów lawy uwolnione zostaną kolosalne ilości popiołu i pyłów, co grozi Neapolowi powtórką z Pompejów, a przestrzeni powietrznej Europy paraliżem ruchu lotniczego.

Niestety, obszar włoskiej Kampanii kryje dwa jeszcze gorsze zagrożenia. Jedno nosi nazwę Marsili, drugie Campi Flegrei (Pola Flegrejskie). Marsili jest podwodnym stożkiem wznoszącym się ok. 3 tys. metrów z dna Morza Tyrreńskiego (ok. 150 km na południe od Neapolu). Jego szczyt znajduje się ok. 300 m pod powierzchnią morza. Odkryto go dopiero przed pół wiekiem. Wiadomo, że jest aktywny, a jego konstrukcja jest zadziwiająco krucha. Zdaniem wulkanologów jest pod każdym względem gotowy do erupcji. Trudno przewidzieć inne następstwa, pewne jest, że wywoła ona gigantyczne tsunami, które spustoszy wybrzeża tej części Morza Śródziemnego.

Jeszcze większą zagadką jest coś, co nazywa się Campi Flegrei i jest praktycznie północno-zachodnim przedmieściem Neapolu. To kandydat na superwulkan Europy.

Superwulkany to stosunkowo nowy termin w klasyfikacji wulkanów uwzględniającej siłę eksplozji. Najwyższy stopień – 8 – zarezerwowany jest dla superwulkanów. Takim był np. wybuch wulkanu Yellowstone (640 tys. lat temu). Ocenia się, że podneapolskie Campi Flegrei otarły się już w swojej przeszłości o siódemkę (37 tys. lat temu). Istnieje tu gigantyczna kaldera (pozostałość po dawnym kraterze) o średnicy 13 km, a w jej obrębie znajdują się 24 mniejsze kratery. Wśród nich rozsiadły się zabudowania 80-tysięcznego Pozzuoli. Nieustannie trzęsie się ziemia, a ze szczelin wydobywają się gazy wulkaniczne, aktywne są zjawiska hydrotermalne. Raz po raz dochodzi do znacznych deformacji podłoża. Wulkanolodzy obserwują to wszystko z dużym niepokojem.

Włochy nie mają monopolu na wulkany obszaru śródziemnomorskiego. Powszechnie jest już dziś znana historia wyspy Thera (Santoryn). Wybuch, do którego doszło ok. 1500 lat p.n.e., zniszczył nie tylko wyspę (uważaną przez wielu za mityczną Atlantydę), lecz także doprowadził do upadku potęgę minojską na Krecie i otworzył pole dla rozkwitu kultury helleńskiej.

Dalej na wschód wcale nie jest lepiej. Wyspa Nisyros, będąca wciąż czynnym wulkanem, jest nikłą pozostałością po kolosalnej erupcji superwulkanu sprzed 160 tys. lat w rejonie wyspy Kos. Skryta pod wodą kaldera ma ok. 15 km średnicy. Wszechobecne w tym rejonie pokłady pumeksu i tufów są świadectwem ówczesnej katastrofy. Grecki łuk wulkaniczny rozciągający się przez Morze Egejskie z zachodu na wschód, od Zatoki Korynckiej przez Therę aż do wyspy Kos, jest wciąż aktywny.

DZIECKO WULKANÓW

Czy od północy, za sprawą wulkanów Islandii, grozi Europie coś podobnego? Już z samego oddalenia tej wsypy od kontynentu można wnioskować, że zagrożeniem mogą być tylko pyły emitowane do atmosfery. Poza tym wulkany Islandii są zajęte czymś innym niż te w strefie włoskiego buta. Tam wulkany zajmują się niszczeniem, destrukcją, na Islandii zajmują się budowaniem. Czasem w sposób burzliwy, ale przeważnie w sposób spokojny, wyważony. Wyspecjalizowały się też w produkcji kolosalnych ilości popiołów i pyłów. Wyspa, zbudowana w całości z lawy, jest dzieckiem procesów wulkanicznych, gdyż jest usytuowana w osi grzbietu śródatlantyckiego. A grzbiet ten, ciągnący się na całej długości oceanu i będący fragmentem światowego systemu ryftowego, jest sam w sobie czymś w rodzaju wulkanu, liniowego wulkanu. Ta właśnie lokalizacja i ten właśnie proces są odpowiedzialne za niezwykle aktywny wulkanizm Islandii, która jest jedynym fragmentem tej podwodnej śródatlantyckiej struktury wyniesionym ponad poziom morza. Dodatkowo, jak twierdzą geolodzy, aktywność tego obszaru wzmaga tzw. pióropusz płaszcza – niezwykle intensywny strumień ciepła wznoszący się pionowo z głębi Ziemi. To niezwykłe połączenie aktywnego ryftu śródoceanicznego z plamą gorąca zrodziło wyspę zbudowaną wyłącznie z lawy i mieszczącą na powierzchni trzykrotnie mniejszej

eprasa.pl fa121f19c2

od Polski 180 wulkanów, w tym 18 czynnych.

W zasadzie należą one do typu efuzywnego, czyli do wulkanów w miarę spokojnie, „dostojnie" wylewających swoje lawy. Wykorzystują do tego celu nie tylko typowe stożki, góry wulkaniczne, lecz także często wielokilometrowe szczeliny. Nierzadko jednak potrafią zbudzić się z drzemki w sposób eksplozywny. Wulkanizm Islandii, mimo swojej nieustającej aktywności, nie ma na sumieniu zbyt wielu ofiar. Ale potrafi działać podstępnie. Tak było z erupcją Laki w latach 1783–1784. Nie zginęli ludzie, ale odnotowano bardzo duże straty wśród zwierząt hodowlanych, co wywołało głód. Z powodu głodu oraz chorób ludność Islandii zmniejszyła się wtedy o niemal 10 tys.

WULKANICZNE NIESPODZIANKI

Od północy i północnego zachodu wisi na Europą, na kształt miecza Damoklesa, nie tylko Islandia. Jeszcze dalej na północ, na norweskiej wyspie Jan Mayen, wznosi się drugi po Etnie pod względem wysokości stożek Europy – Beerenberg. W czasach historycznych nigdy jeszcze nie stworzył większego zagrożenia, ale jest to jednak wulkan czynny, który od roku 1732 wybuchał sześciokrotnie (ostatnio w 1985 r.), produkując znaczne ilości lawy, a także popiołów. Jako najdalej na północ wysunięty czynny wulkan jest zbyt oddalony od centrów cywilizacji, żeby mógł stanowić zagrożenie. Ale kto wie?

Mogłoby się wydawać, że cała zachodnia flanka Europy, na południe od Islandii, jest wolna od tego typu zagrożeń. Nie jest tak dobrze. Nie zapominajmy, że Wyspy Azorskie, Kanaryjskie, Madera i jeszcze podwodna góra Meteor to wszystko czynne wulkany, niezbyt oddalone od kontynentu. Geolodzy uważają, że każde z tych miejsc to aktywne plamy gorąca. Na Azorach ostatni wybuch wulkanu miał miejsce w 1957 r. Niczym groźnym się nie zapisał, ale uskok, na którym jest położony, ma bardzo złą sławę – był odpowiedzialny za tragiczne trzęsienie ziemi z 1755 r., które niemal doszczętnie zniszczyło Lizbonę i wywołało potężne tsunami.

Wyspy Kanaryjskie to cały ciąg podwodnych gór wulkanicznych, z których kilka wystaje nad powierzchnię oceanu. Pico del Teide na Teneryfie to trzeci najwyższy wulkan świata (licząc od dna morskiego, wznosi się na 7 tys. m). Na razie przejawia słabą aktywność, ale jego sąsiadka, La Palma, dała o sobie znać w 1971 r. i ponownie teraz. Plama gorąca znajduje się obecnie pod najmniejszą wyspą archipelagu, Hierro. Tę nazwę zapewne jeszcze usłyszymy. Wulkan Madery, Pico Ruivo, jest twórcą tej wyspy i całego archipelagu. Na razie jest w stanie śpiączki.

To mało znany fakt, ale w samym sercu Europy Zachodniej – 24 km od Koblencji i 37 km od Bonn, na zachodnim brzegu Renu – znajduje się kandydat na superwulkan. Na razie ma postać malowniczego jeziora. Laacher See to dawny krater wulkaniczny, pozostałość po wielkiej (6 w skali VEI) eksplozji sprzed 12,9 tys. lat. Uważa się, że to za sprawą tego wybuchu ostatnia epoka lodowcowa przedłużyła się o ponad tysiąc lat – inicjując okres gwałtownego oziębienia, znany jako młodszy dryas. Ślady wybuchu w postaci pokładów popiołów i tefry spotyka się na dnie Morza Północnego i w Europie Środkowej.

Czy Laacher See jest tylko zabytkiem przyrody, wygasłym wulkanem? Nie, kaldera wulkanu jest wciąż aktywna sejsmicznie, a z wód jeziora w kilku miejscach wydobywa się w sposób burzliwy dwutlenek węgla. Świadczy to o tym, że zbiornik magmy pod kalderą wciąż „żyje". I może być źródłem bardzo niemiłej niespodzianki.

W samym sercu Europy Zachodniej, na zachodnim brzegu Renu, znajduje się kandydat na superwulkan

To samo da się powiedzieć o jeszcze mniej znanym, a jeszcze nam bliższym wulkanie z rumuńskich Karpat. To Ciomadul położony na południowo-wschodnim łuku Karpat, stosunkowo blisko Braszowa. Badacze oceniają, że jest czynny od ok. pół miliona lat, a ostatnie erupcje miały miejsce 33–29 tys. lat temu. Jednak pod wulkanem jest wciąż obecna aktywna komora magmowa, a z jeziora w kraterze Ciomadul uwalnia się, podobnie jak z Laacher See, dwutlenek węgla i siarkowodór. Na tej podstawie, a także – jak mówią wulkanolodzy – młodzieńczego wyglądu kraterów Ciomadul można uznać za wulkan potencjalnie aktywny.

CZY OŻYJĄ POLSKIE WULKANY?

Nie wybuchnie oczywiście ani stożek Ślęży, ani stożek Śnieżki. Poza kształtem nie mają te góry nic wspólnego z wulkanami, chociaż wciąż można spotkać sceptyków nieprzyjmujących tego faktu do wiadomości. Pytanie jest jednak w pełni uprawnione. Mamy przecież, na wzór francuskiej Owernii, polską Wulkanię. Krainą Wygasłych Wulkanów nazywany jest Dolny Śląsk. Geolodzy natknęli się tu na ponad 300 powierzchniowych wystąpień skał wulkanicznych, w tym 44 ślady, niekiedy bardzo wyraźne, po stożkach wulkanicznych (jednym z nich jest Góra św. Anny na Opolszczyźnie). Mniej więcej 32–21 mln lat temu, w środku okresu zwanego trzeciorzędem, wskutek nacierania płyty afrykańskiej na euroazjatycką zaczęły powstawać góry systemu alpejskiego. Ale efektem tego szturmu płyty afrykańskiej były zniszczenia i deformacje całego przedpola powstających nowych gór. W osłabione w ten sposób struktury wdzierała się magma. Sądząc po pozostawionych śladach, odbywało się to na dwa sposoby – albo bardzo energicznie, w formie erupcji wulkanicznych, albo nieco łagodniej, w postaci powolnych, ale obfitych linearnych wypływów rozżarzonej lawy. Pod tym względem region ten najbardziej przypominał współczesną Islandię.

Procesy, które przed milionami lat doprowadziły do powstania dolnośląskiej strefy wulkanicznej, wciąż są żywe. Budowa gór systemu alpejskiego nie jest ukończona, a napór płyty afrykańskiej wciąż trwa. Procesy takie mają zwyczaj intensyfikować się okresowo. Zapewne przekonamy się o tym w przyszłości, ale nie wcześniej niż za kilkadziesiąt tysięcy lat.

Jak więc rysuje się wulkaniczna przyszłość Europy? Jakkolwiek by to zabrzmiało, najbezpieczniejsi jesteśmy od wschodu. Bez wątpienia z najwyższym niepokojem należy spoglądać na Włochy, na region Neapolu. Mniej podejrzliwie można traktować Etnę. Islandia zapewni nam regularne fajerwerki, które mogą być groźne dla mieszkańców wyspy, a także dla europejskiego lotnictwa. Wielką niewiadomą, potencjalnie bardzo groźną, jest Laacher See.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Władza zachęca do strajków

Władze Polski – w tym przypadku Rada Polityki Pieniężnej – nawet nie próbując sprowadzić szalejącej w Polsce inflacji do poziomu przyzwoitości, a więc poniżej 2,5 proc., ba, czyniąc ze swego uporu w tej sprawie jakiś dziwaczny rodzaj rzekomej ekonomicznej cnoty – w istocie zachęcają Polaków do strajkowania. Zachęcają, ba, wręcz zagrzewają do strajków zarówno wielkie grupy zawodowe – lekarzy, pielęgniarki, nauczycieli, kolejarzy, policjantów, pracowników ZUS, jak i pracowników tysięcy przedsiębiorstw – państwowych, półpaństwowych i prywatnych. I chciałbym się mylić, że obecne strajkowe groźby nauczycieli, medyków i pracowników ZUS oraz strajk w firmie Paroc i faktyczny strajk policjantów (tzw. psia grypa) to ledwie przedsmak fali, która wkrótce zaleje Polskę.

Jak bowiem inaczej niż jako zachętę do strajków odczytywać upór władz monetarnych Polski (RPP) w utrzymywaniu stóp procentowych na tak niskim poziomie przy tak wysokiej inflacji, czyli narzucanie Polakom ujemnych stóp procentowych – i to na poziomie wyższym jedynie niż w Sudanie, Iranie, Etiopii, Zambii, Argentynie, Zimbabwe, na Seszelach, w Kirgistanie, Angoli i Nigerii? (Zacne towarzystwo, nieprawdaż?)

Ale to przecież dalece niejedyny sposób zachęcania Polaków przez władze Polski do strajków – do wymuszenia przez pracobiorców podwyżek na pracodawcach. Od kilku lat czynią to samo – w tym przypadku rząd, a nie RPP – np. bez umiaru windując wysokość płacy minimalnej. Rzecz jasna, rząd pokazuje w ten sposób swym wyborcom, jaki to „ma gest". I, owszem, „rząd ma gest", tyle tylko że jest to gest za nie swoje pieniądze, bo „swoich" pieniędzy rząd nigdy nie miał, nie ma i nie będzie miał – chyba że ministrowie „zrzucą się" na coś z własnych pensji i oszczędności. Rząd „ma gest", lecz wyłącznie za pieniądze przedsiębiorców – w przypadku narzucanych im podwyżek pensji pracowników firm – oraz za pieniądze podatników, zmuszanych do składania się na podwyżki pensji pracowników sfery budżetowej. Zresztą gdy idzie o pracowników budżetówki, to rządzącym często już nie wystarcza determinacji, by zadbać o należytą wysokość ich pensji; w końcu łatwo podnieść wysokość płacy minimalnej (papier zniesie wszystko), dużo trudniej znaleźć w kasie państwa pieniądze na podwyżki dla pracowników budżetówki…

W każdym razie rządzący zachowują się, jakby w tej sprawie mieli tej determinacji dużo mniej niż wtedy, gdy załatwiali podwyżki dla siebie. Skądinąd tempo wprowadzenia, a zwłaszcza wysokość podwyżek – sięgająca aż 60 proc., które sobie w warunkach szalejącej inflacji bezceremonialnie przyznali – to kolejna zachęta dla pracobiorców w całej Polsce, by wystrajkować sobie podobne. Jedna z central związkowych pracowników ZUS domagając się podwyżek, powołuje się wprost na tę przyczynę. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Przeginacze

Czy wiedzą państwo, kim jest przeginacz? Otóż przeginacz to taka osoba, która nawet gdy robi coś sensownego, zawsze ostatecznie przegnie i jej początkowo niegłupie działania zmienią się rychło we własną karykaturę, farsę czy komedię. I nie da się ich już bronić.

Obecna władza poza wieloma innymi specyficznymi cechami ma również tę: nie potrafi swoich poczynań wypośrodkować, zachować umiaru, uniknąć niepotrzebnych ekstremów. Coś takiego dzieje się właśnie na polskiej wschodniej granicy.

Co do zasady działania władzy w sprawie obrony granicy są słuszne

Nie mam na myśli nieulegania nieznośnemu sentymentalizmowi lewicowych elit, uparcie nazywających migrantów „uchodźcami". Ostatnio tak napisała „Gazeta Wyborcza" o migrantach z… Turcji i Iraku, a więc z krajów w większości bezpiecznych, gdzie nie trwa żaden konflikt zbrojny. Owszem, z Turcji mogą uciekać z obawy przed prześladowaniami Kurdowie, ale najpierw należałoby zweryfikować, z kim ma się do czynienia, a nie a priori przyjmować, że każdy pojawiający się na granicy to „uchodźca".

Co do zasady działania władzy w sprawie obrony granicy są zatem słuszne i nie ma co do tego dyskusji. Ale już w szczegółach mamy coraz większe przegięcie.

Czy naprawdę najkorzystniejszym rozwiązaniem jest zablokowanie dostępu mediom do obszaru objętego stanem wyjątkowym? Uzasadnienie, które przedstawił pan prezydent w rozmowie z TVN24, jest doprawdy dziwaczne: z ich obecności korzystają nieodpowiedzialni politycy, więc trzeba zabronić wstępu właśnie dziennikarzom. Przypominam tylko, że dziennikarze obsługują przede wszystkim swoich odbiorców.

Dlaczego Polska nie współpracuje z Frontexem, unijną agencją ochrony granic, skoro UE generalnie nasze działania popiera? Czy to kolejny rozdział z cyklu „Dumni Polacy poradzą sobie bez niczyjej łaski"? Po co dawać krytykom kolejny punkt zaczepienia? Nie mówiąc o tym, że Frontex mógłby być naprawdę pomocny.

I wreszcie nieszczęsna konferencja, na której wiadoma krowa przykryła znacznie ważniejsze informacje. Czy ministrowie obrony i spraw wewnętrznych nie mają obok siebie nikogo, kto choćby w podstawowym stopniu rozumiałby sprawy wizerunkowe i mógłby zasugerować, że ustawienie szefa resortu na tle zdjęcia osobnika kopulującego z krową jest może nie najkorzystniejsze?

Lecz cóż – przeginacze mają tę cechę, że swoich przegięć nie dostrzegają. ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

Strach w oczach

FOT. ADOBE STOCK

Jacek Przybylski

Obawa przed wysoką inflacją i bankructwem olbrzymiego chińskiego dewelopera, niepokój związany z rekordowym długiem USA oraz ze zbliżającą się dużymi krokami normalizacją polityki pieniężnej przez Fed mogą doprowadzić do gwałtownych tąpnięć nie tylko na rynkach akcji

Jednym z czynników, który spędza sen z powiek światowych inwestorów, jest potężny kryzys, w który wpakował się olbrzymi chiński deweloper Evergrande. Stojąca na krawędzi bankructwa spółka – 122. na liście największych firm według „Fortune" – w ubiegłą środę kolejny raz nie wypłaciła części zagranicznych posiadaczy obligacji należnych im odsetek: chodzi o 47,5 mln dol. od papierów zapadających w marcu 2024 r. Tydzień wcześniej Evergrande nie zapłacił 83,5 mln dol. odsetek.

EVERGRANDE JAK LEHMAN BROTHERS?

Jeżeli zaległe pieniądze nie zostaną wypłacone w ciągu 30 dni od terminu, to chiński gigant rynku nieruchomości – w którego grupie znajdują się m.in. spółki produkujące auta elektryczne, sprzedające wodę mineralną, prowadzące parki rozrywki oraz świadczące usługi z sektora ochrony zdrowia – zostanie oficjalnie uznany za niewypłacalnego. Bankructwo Evergrande, drugiego pod względem wielkości dewelopera w Chinach i jednej z największych firm na świecie pod względem przychodów na liście Fortune Global 500, może stać się faktem już 22 października. S&P Global Ratings zmienił już więc ocenę dla Evergrande na CC, na notę przyznawaną spółkom, które stoją na progu bankructwa.

Na razie grupa ratuje się wyprzedażą aktywów. Na szczęście wciąż ma co sprzedawać: w ubiegłym tygodniu China Evergrande poinformowała, że sprzeda niemal 20 proc. w Shengjing Banku za 9,99 mld juanów (6,2 mld zł). Jeszcze niedawno sporo warte były też inne spółki z grupy Evergrande, ale ich wycena w ostatnich miesiącach znacząco spadła. Deweloper może też wyprzedawać bloki i grunty,

eprasa.pl fa121f19c2

inwestorów

ale ich wartość również może gwałtownie spaść, gdy wreszcie pęknie mocno napompowana bańka na rynku nieruchomości. Tymczasem tylko w październiku firma jest zobowiązana wypłacić inwestorom ponad 180 mln dol., w tym ponad 160 mln dol. powinno trafić do inwestorów zagranicznych. W sumie zadłużenie chińskiego dewelopera wynosi zaś ok. 2 bln juanów, czyli ok. 305 mld dol. Takie kwoty przeważnie trudno sobie wyobrazić. Warto więc dodać dla porównania, że dług publiczny Polski na koniec 2020 r. wynosił ok. 360 mld dol.

Zdaniem analityków finansowych bankructwo giganta, który rocznie budował dziesiątki milionów metrów kwadratowych mieszkań, wywołałoby w Chinach potężny kryzys gospodarczy, doprowadzając do upadku nie tylko wiele firm w sektorze nieruchomości, lecz także w sektorze bankowym i całej gospodarce. Ogromna część chińskiego długu jest bowiem zabezpieczona hipotekami na nieruchomościach, pęknięcie bańki na rynku nieruchomości oznaczać będzie więc bolesne reperkusje w całej chińskiej – i nie tylko chińskiej – gospodarce. Szacuje się, że w razie upadku dewelopera pracę błyskawicznie stracić może 3,8 mln (!) osób. Natychmiast wzrosłoby więc bezrobocie, zwłaszcza że budownictwo w Chinach kreuje od 15 do 25 proc. produktu krajowego brutto.

W razie bankructwa giganta z pewnością mocno po kieszeni dostałyby również globalne fundusze inwestycyjne oraz zachodni inwestorzy. W rękach Amerykanów i Europejczyków znajduje się wiele obligacji Evergrande, bo w czasach rekordowo niskich stóp procentowych na Zachodzie rynki wschodzące miały być świetną szansą na przyzwoity zarobek. Niektórzy ostrzegają nawet, że ewentualne bankructwo Evergrande w Chinach mogłoby nieść podobne skutki jak upadek amerykańskiego banku inwestycyjnego Lehman Brothers, który w 2008 r. ukazał, jak fatalnie zarządzane były niektóre banki, i doprowadził do potężnego kryzysu w sektorze finansowym na całym świecie. Upadek tak wielkiego dewelopera jak Evergrande obnażyłby z kolei wielką słabość Państwa Środka. „Evergrande to wszystkie nieszczęścia Chin w jednym" – zauważył w swej analizie historyk finansowy i strateg inwestycyjny Edward Chancellor, podkreślając, że już 14 lat temu ówczesny premier Chin Wen Jiabao określał chińską gospodarkę mianem „niestabilnej, niezbilansowanej, nieskoordynowanej i niemożliwej do utrzymania na obecnym poziomie rozwoju". I właśnie w takiej przeinwestowanej, nadmiernie lewarowanej gospodarce wyrastał Evergrande – dziecko taniego pieniądza, rzucanego na rynek w ramach pakietów stymulujących wprowadzonych po upadku Lehman Brothers, oraz wynikającego z taniego finansowania nieruchomościowego boomu.

305 mld dol.

NA TYLE SZACOWANY JEST DŁUG CHIŃSKIEGO DEWELOPERA EVERGRANDE

Łatwo więc zrozumieć, dlaczego hasło „Evergrande" od kilku tygodni sieje strach na globalnych rynkach. I chociaż nie brakuje optymistów, którzy uważają, że przed przyszłorocznymi wyborami chińska partia po prostu nie może pozwolić upaść tak wielkiej firmie, to według Edwarda Chancellora obecny prezydent Xi Jinping pozwoli na upadek Evergrande, aby spuścić trochę powietrza z chińskiej bańki gospodarczej, a następnie już całkowicie pod swoim przywództwem stworzyć nowy system ekonomiczny Chin. Obecnie wiele mieszkań stoi bowiem pustych, a młode pokolenie Chińczyków z przerażeniem patrzy na wywindowane ceny nieruchomości.

„Prezydent Xi Jinping mówi o Chinese Dream, ale ten sen może zmienić się w koszmar" – ostrzega Edward Chancellor, przypominając, że przed laty wartość japońskich nieruchomości stanowiła czterokrotność PKB Japonii i po wybuchu kryzysu na rynku domów i mieszkań kraj ten od ponad trzech dekad boryka się z poważnymi kłopotami gospodarczymi. Kolejne fale recesji sprawiają, że analitycy finansowi mówią o „Kraju Przekwitającej Wiśni", tymczasem wartość nieruchomości w Państwie Środka szybko zbliża się do czterokrotności chińskiego PKB (obecnie wskaźnik ten wynosi 3,7). I chociaż rynek nieruchomości w Chinach zyskał miano „bańki, która nigdy nie pęka", to można sobie tylko wyobrażać, jak bolesny dla całego świata będzie kryzys tego sektora, jeśli w końcu z napompowanych cen domów i mieszkań w Państwie Środka ujdzie dużo powietrza.

Wielu analitykom wciąż wydaje się, co prawda, że bardziej prawdopodobna jest dokładnie kontrolowana przez rząd restrukturyzacja dewelopera niż niekontrolowane bankructwo, ale sporo jest też takich, którzy są niemal pewni, że władze w Pekinie pozwolą Evergrande upaść, aby jaskrawy przykład był przestrogą dla innych firm, które nadmiernie się zadłużając, zachowują się, jakby były „nieśmiertelne".

NIEPOKÓJ NA GIEŁDACH

W przypadku Lehman Brothers gigantyczny, ogólnoświatowy kryzys szybko objął całą światową gospodarkę i trwał dobrych kilka lat. Czy tak będzie też w najbliższej przyszłości? Problemy chińskiej gospodarki z pewnością negatywnie wpłynęłyby na handel międzynarodowy.

Zdaniem wielu ekonomistów konsekwencje potencjalnej upadłości chińskiego giganta nie byłyby jednak aż tak poważne jak w przypadku bankructwa Lehman Brothers. O tym, jak działa efekt domina w globalnej gospodarce, świadczy jednak fakt, że niepokój związany z zagrożeniem bankructwem

eprasa.pl fa121f19c2

Światowi inwestorzy boją się nie tylko upadku Evergrande, lecz także dalszych kroków amerykańskiej Rezerwy Federalnej FOT. ADOBE STOCK

Evergrande był jedną z przyczyn wyprzedaży… polskiego złotego. Chociaż oczywiście – największy wpływ na osłabienie wartości złotego ma bezczynność Rady Polityki Pieniężnej. Polski bank centralny jako jedyny w regionie zdaje się nie dostrzegać zagrożenia wysoką inflacją. W czasach, gdy Węgrzy oraz Czesi konsekwentnie podnoszą stopy procentowe, władze monetarne w Warszawie nadal prowadzą wyjątkowo łagodną politykę pieniężną, przez co miliony Polaków z miesiąca na miesiąc patrzą, jak kurczy się wartość nabywcza gromadzonych przez lata oszczędności.

W sierpniu wskaźnik wzrostu cen wyniósł w Polsce 5,8 proc. i był najwyższy od 20 lat. A przecież wiele wskazuje na to, że inflacja dopiero się rozpędza. Błyskawicznie drożeje bowiem wszystko: od chleba poprzez energię do materiałów budowlanych. Obecna polityka RPP promuje więc sposób zarządzania majątkiem doskonale sprawdzony przez Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego. – Większość swoich pieniędzy wydaję na kobiety i alkohol, a resztę, wstyd się przyznać, trwonię – zwykł mówić doskonały polski generał, lekarz i dyplomata. I ten właśnie styl życia powinien sprawdzić się najlepiej w rzeczywistości gospodarczej kreowanej pod wodzą obecnej Rady Polityki Pieniężnej.

Inflacji boją się nie tylko Czesi czy Węgrzy – Narodowy Bank Węgier we wrześniu już czwarty raz podniósł stopy procentowe, dzięki czemu bank centralny w Budapeszcie liczy na to, że średnioroczna inflacja spadnie z 4,65 w roku 2021 do ok. 3–3,5 proc. w roku przyszłym. Zbyt szybkiego wzrostu cen obawiają się też Niemcy czy Amerykanie. Według najnowszych danych inflacja w Niemczech przekroczyła we wrześniu poziom 4 proc., była więc najwyższa od 1993 r.

Jednocześnie rządząca w Stanach Zjednoczonych Partia Demokratyczna próbuje przeforsować nowe pakiety stymulujące gospodarkę, których spłata obarczy wiele kolejnych pokoleń, czemu przeciwstawiają się Republikanie, stawiając opór rekordowemu zadłużeniu kraju. Tymczasem 18 października w państwowej kasie skończą się pieniądze. Sekretarz skarbu USA Janet Yellen ostrzegła już przed skutkami bankructwa Ameryki. – Stany Zjednoczone mogą być niewypłacalne po raz pierwszy w historii, a kraj będzie musiał zmierzyć się z kryzysem finansowym i recesją – przestrzegła w przemówieniu na Kapitolu najważniejsza ekonomistka Ameryki, zwracając uwagę, że brak szybkiej decyzji w sprawie podniesienia limitu długu publicznego będzie naprawdę bardzo groźny. „Ameryce grozi jej Evergrande" – ostrzegają więc amerykańskie media. Teoretycznie ryzyko czarnego scenariusza jest niewielkie, bo Ameryka od lat żyje na kredyt, a limit długu publicznego był już podwyższany od drugiej wojny światowej niemal sto razy. Tym razem demokraci chcą jednak przepchnąć ustawy, w ramach których rząd federalny, realizując swój socjalistyczny program, ma wydać 4,5 bln (!) dol. Zdaniem liderów Partii Republikańskiej aż takie zadłużanie kraju byłoby katastrofą. Jest się czego bać, bo jeszcze na początku lat 80. XX w. amerykański dług publiczny wynosił niecały bilion dolarów. W latach 90. wzrósł już do 6 bln, a w sierpniu tego roku wynosił ponad 28 bln dol.

Niestety, niepodwyższenie limitu długu i symboliczne bankructwo Ameryki również skończyłyby się katastrofą. Mocno osłabiłby się nie tylko dolar, lecz także potężny cios otrzymałyby giełdy papierów wartościowych. Według analizy Maka Zanady'ego z amerykańskich giełd nagle wyparowałoby 15 bln dol. Na rynek pracy trafiłoby 6 mln osób nowych bezrobotnych. Mocno zachwiałyby się też fundamenty światowej gospodarki.

Jakby inwestorzy mieli mało na głowie, to źródłem poważnych zawirowań może być również zbliżająca się dużymi krokami normalizacja polityki pieniężnej przez Fed. Podwyżki stóp i wstrzymywanie drukarek drukujących dolary mogą być sygnałem do sprzedaży akcji.

TĄPNIĘCIE CEN DOMÓW W USA?

Nawet bez problemów z Fedem i limitem zadłużenia w szybkim tempie kurczyć mogą się nie tylko wyceny indeksów giełdowych. Robert J. Shiller, znany ekonomista z Uniwersytetu Yale, ostrzegł niedawno przed gwałtownymi spadkami cen nieruchomości. – Jest spore prawdopodobieństwo, że w najbliższych latach będziemy obserwować potężne spadki cen domów – stwierdził Shiller w rozmowie z portalem Yahoo! tuż po ogłoszeniu danych o kolejnych szybkich wzrostach na rynku nieruchomości.

Tylko w lipcu obecnego roku wartość domów skoczyła o 19,7 proc. rok do roku. I nie było to nic szczególnie niespodziewanego, bo w czerwcu wskaźnik wzrostu wynosił 18,7 proc. Shiller zwrócił uwagę na zaskakujący moment tak mocnych wzrostów. – Zaczęły się one w czasie recesji. Powinniśmy być wówczas pogrążeni w depresji, a tymczasem staliśmy się na rynku wyjątkowo aktywni – zauważył ekonomista, tłumacząc, że tak dziwne wzrosty cen wynikają zarówno z rekordowo niskich stóp procentowych, jak i z frustracji ludzi, którzy zmuszeni podczas pandemii do pracy zdalnej postanowili polepszyć swoje warunki lokalowe i kupić większy, lepszy dom.

Według ekonomistów szaleńcze wzrosty cen paradoksalnie napędzają popyt, bo ludzie boją się, że jeśli nie kupią danej nieruchomości teraz, to w niedalekiej przyszłości nie będzie ich już na nią stać. – Taka sytuacja jest niemożliwa do utrzymania na dłuższą metę – podkreślił Robert J. Shiller.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

ROD DREHER
„ŻYĆ BEZ KŁAMSTWA. JAK WYTRWAĆ W CHRZEŚCIJAŃSKIEJ OPOZYCJI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~909 ZŁ~~

335,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 574 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl fa121f19c2

Spijanie emisyjnej śmietanki

FOT. ADOBE STOCK

Jakub Wozinski

Rozrastający się na naszych oczach system handlu uprawnieniami do emisji CO_2 tworzy wielkim instytucjom finansowym okazję do ogromnego zarobku. Dopiero tak można zrozumieć polityczną presję na wdrażanie zielonej agendy

Polacy będą zapewne już niedługo przeklinali dzień, w którym polskie państwo wyraziło zgodę na przystąpienie do Europejskiego Systemu Handlu Emisjami (ETS). Wprowadzony w 2005 r. system wydawał się początkowo czymś absolutnie niewinnym, gdyż cena uprawnień do emisji tony CO_2 przez długi czas pozostawała poniżej 10 euro. Od kilku lat pnie się jednak nieustannie w górę i wynosi już 60 euro, a zdaniem większości analityków to dopiero początek wzrostów. Na dodatek w ramach przedstawionego w lipcu unijnego pakietu klimatycznego „Fit for 55" rynek uprawnień do emisji ma zostać rozszerzony na kolejne branże, m.in. transportu morskiego, budownictwa i transportu lądowego. Oznacza to wzrost kosztów działalności dla setek tysięcy firm, co w efekcie przyniesie falę drożyzny dla wszystkich.

CENA ZA EUROENTUZJAZM

Rząd ma wprawdzie świadomość grożącego polskim konsumentom oraz całej gospodarce niebezpieczeństwa, ale stara się umywać ręce, wskazując na bezradność wobec polityki klimatycznej Unii Europejskiej. W jednym z niedawnych wywiadów premier Mateusz Morawiecki sugerował, że Polska nie ma w gruncie rzeczy wyboru, gdyż wysokie ceny uprawnień nie dają żadnego pola manewru. Polacy są wciąż w większości zdecydowanymi zwolennikami obecności naszego kraju w Unii, w której akceptacja dla forsownego tempa zielonej transformacji jest niemal powszechna, dlatego w pewnym sensie sami płacą coraz wyższą cenę za swój euroentuzjazm.

Największą wadą systemu ETS nie jest wcale to, że wzorem centralnego planisty wydziela liczącej 445 mln mieszkańców wspólnocie odpowiednie przydziały uprawnień do emisji. Najbardziej szkodliwy jest fakt, że cyfrowe certyfikaty uprawniające do emisji dwutlenku węgla podlegają swobodnemu obrotowi. Pozornie przyzwolenie na handel pozwoleniami wydaje się być czymś ułatwiającym życie wszystkim uczestnikom systemu, gdyż kraje emitujące mniej niż dla nich przewidziano mogą w ten sposób odpowiednio zarobić. W praktyce tego rodzaju rozwiązanie stwarza warunki do spekulacji na ogromną skalę.

Wielcy finansowi gracze korzystają najchętniej z bardzo rozbudowanych rynków o wysokiej płynności, gdzie

eprasa.pl fa121f19c2

każdego dnia zawierane są setki tysięcy transakcji o łącznej wartości nawet kilku bilionów dolarów. Pod tym względem rynek uprawnień do emisji nie może wciąż jeszcze dorównać choćby rynkowi walutowemu, obligacji czy najważniejszych surowców. Wszystko to może się jednak szybko zmienić, gdyż w ostatnim czasie narasta presja na to, aby rynki pozwoleń na emisje wprowadzić na całym świecie. W lipcu Francja ogłosiła inicjatywę, aby narzucić obowiązujące globalnie minimalne zakresy cen emisji dwutlenku węgla. Pomysł ten zyskał poklask nie tylko organizacji międzynarodowych, lecz także najbogatszych państw świata skupionych w grupie G20, dlatego w najbliższej przyszłości należy się spodziewać, że swoje własne systemy ETS zaczną wprowadzać kolejne państwa i regiony. Krajowy system handlu uprawnieniami w lipcu tego roku wprowadziły już nawet Chiny, które objęły nim aż 40 proc. całkowitej emisji dwutlenku węgla. Plany uruchomienia nowego amerykańskiego systemu ma niedługo przedstawić również Joe Biden.

GIGANCI WKRACZAJĄ DO AKCJI

Wedle niezwykle ostrożnych szacunków ekspertów do 2050 r. wartość globalnego emisyjnego rynku ma wynieść 22 bln dol. To wciąż zdecydowanie mniej niż w przypadku największego na świecie rynku walutowego, lecz wystarczająco dużo, aby przyciągnąć najpotężniejsze instytucje finansowe na świecie. Tym bardziej że w obecnej sytuacji politycznej wiele wskazuje na to, iż poszerzanie systemu ETS o kolejne branże i państwa może wkrótce przynieść wręcz zawrotną stopę zwrotu. Największe podmioty specjalizujące się do tej pory w rynkach surowcowych (m.in. angielsko-szwajcarski Glencore oraz holenderski Vitol) dynamicznie rozbudowują zespoły traderskie skupiające się na rynku emisyjnym. Ostatnie decyzje Komisji Europejskiej jedynie przyspieszyły ten proces i dziś uważa się, że do 2030 r. rynek uprawnień do emisji będzie wart więcej niż rynek ropy naftowej.

Stale przyspieszająca zielona transformacja sprawia, że rynek handlu uprawnieniami zapewnia ponadnormatywne zyski, których próżno szukać nawet w przeżywającej okres wielkiego boomu branży nieruchomości. W ciągu ostatnich miesięcy na całym światowym rynku towarowym jedynie tarcica przyniosła wyższą stopę zwrotu niż inwestycje powiązane z handlem uprawnieniami. Nie dziwi więc to, że w latach 2017–2020 liczba podmiotów obracających emisyjnymi pozwoleniami wzrosła aż o 85 proc. Oprócz „starych wyjadaczy" pojawiają się także nowi gracze, którzy błyskawicznie pozyskują środki inwestorów. Do lokowania coraz większych sum w podmiotach operujących na rynku ETS skłania również coraz wyższa inflacja.

POLITYCZNA KREACJA

W listopadzie w Glasgow ma się odbyć kolejny szczyt klimatyczny, na którym gościem specjalnym będzie papież Franciszek. Kreujący się na „papieża ubogich" przywódca Kościoła wesprze tym samym przedsięwzięcie, które w sposób bezdyskusyjny wzmocni przede wszystkim możnych tego świata. Stworzenie systemu handlu uprawnieniami do emisji CO_2 to wręcz wymarzona okazja do zarobku dla świata wielkich pieniędzy. W odróżnieniu bowiem np. od rynków towarowych, gdzie przedmiotem obrotu są ostatecznie pewne realne i potrzebne ludziom dobra, na rynku emisyjnych uprawnień wszystkie transakcje dotyczą tak naprawdę czegoś sztucznie wykreowanego przy użyciu środków politycznych.

Rosnący w zawrotnym tempie rynek emisji dwutlenku węgla tworzy tym samym niezliczone wręcz okazje do nadużyć. Skoro o liczbie uprawnień, ich zakresie, a także całym kształcie zielonej transformacji decydują sami politycy, to uprzednia wiedza na temat ich zamierzeń będzie czymś szczególnie pożądanym. Wielkie banki i fundusze inwestycyjne zapewne już zacierają ręce z myślą o tym, jak wiele okazji do zbicia fortuny zapewni zielony biznes.

Warto przy tym zauważyć, że przedstawiciele Unii Europejskiej są w pełni świadomi tego, w jakim kierunku rozwija się rynek uprawnień do emisji CO_2 oraz jak wielkiej spekulacji jest przedmiotem. Reforma systemu ETS z 2017 r. została z woli Brukseli przeprowadzona tak, aby maksymalnie ożywić handel (m.in. poprzez planową redukcję liczby uprawnień w razie spadku cen), który do tej pory nie rozwijał się w zadowalającym dla jego twórców tempie. Innymi słowy, polityczni ekoradykałowie całkowicie świadomie stworzyli odpowiednie warunki do spekulacji, gdyż są święcie przekonani, że jedynie bardzo wysokie ceny uprawnień będą w stanie powstrzymać globalne ocieplenie. Wielokrotnie mówił o tym m.in. unijny komisarz ds. klimatu Frans Timmermans.

ŁĄCZENIE PRZYJEMNEGO Z POŻYTECZNYM?

Większa część społeczeństw zachodnich, w tym przede wszystkim młodych osób, autentycznie wierzy nie tylko w tezę o antropogeniczności globalnego ocieplenia, lecz także godzi się na to, aby ponosić dodatkowe koszty związane z koniecznością spełniania zielonych norm. Częściowo nieświadomie składają się tym samym na krociowe zyski zgarniane przez wielkie finansowe instytucje. O wiele bardziej świadomi wydają się natomiast zamożni inwestorzy. Przedstawiciele funduszy inwestujących na rynku uprawnień przekonują nierzadko, że ich klienci są szczęśliwi, iż mogą połączyć przyjemne z pożytecznym: osobisty zysk z ratowaniem planety poprzez windowanie ceny emisji CO_2 do coraz wyższych poziomów.

Wykreowany praktycznie z niczego system handlu pozwoleniami na emisję CO_2 to w pewnym sensie ukoronowanie całej „zielonej polityki" i rodzaj okienka z kasą, przy którym poszczególni aktorzy dramatu pt. „Walka z globalnym ociepleniem" będą inkasowali swoją część wynagrodzenia. Na wartym kilkadziesiąt bilionów dolarów rynku okazji do zarobku będzie naprawdę sporo, ponieważ stałe śrubowanie ekologicznych norm zapewni długotrwały okres hossy.

Polska oraz Dania już w marcu wystosowały zapytanie do Komisji Europejskiej o to, czy ceny uprawnień emisyjnych nie stanowią przedmiotu spekulacji. Odpowiedź na to pytanie od początku jest jednak oczywista. Na europejski rynek ETS, a także inne rynki tego rodzaju napłynęły w ostatnim czasie znaczne zasoby kapitału wykreowanego przez banki centralne w następstwie pojawienia się koronawirusa. Towarzyszący pandemii wielki zwrot ku zielonym inwestycjom dodatkowo zwiększył oczekiwania w kontekście przyszłych zysków, dlatego ceny emisji rosną z tygodnia na tydzień.

Cały system handlu uprawnieniami do emisji wydaje się bodajże najzuchwalszą piramidą finansową w dziejach. Najbardziej przykry jest jednak fakt, że jako członek Unii Europejskiej Polska musi w niej partycypować, przenosząc koszty na zwykłych obywateli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

Psychoanaliza tweedu

Joanna Bojańczyk

Prawdziwy tweed to produkt regionalny. Podobnie jak wina, sery, octy chwali się miejscem pochodzenia, tradycyjną technologią, odległą datą założenia tkalni

Scena z filmu „Downton Abbey" – na polowaniu idą w rzędzie członkowie rodziny Crawleyów: lady Mary, lord Robert Crawley, Tom Branson. Wszyscy spowici w wełny w kolorach rdzawozielonoszarobrązowych. Panowie w płaszczach, marynarkach, spodniach wpuszczanych do wysokich lśniących butów, lady Mary w kostiumie ze spódnicą. Na głowach kapelusze i czapki w kolorach jesieni.

Piękna scena: przyroda, piękni ludzie i ubrania. Obrazek z życia angielskiej klasy wyższej, która cieszy się nieustannym zainteresowaniem klasy niższej. Na rezydencje w Belgravii z wystrzyżonym trawnikiem i członkostwo elitarnego klubu przeciętny zjadacz chleba nie może liczyć, ale coś tam ze stylu very British może jednak uszczknąć.

Ściśle mówiąc: coś z ubrania. A czy jest materiał bardziej kojarzony z Anglią niż tweed? Rasowa, mocna, ciepła i piękna wełna utkana w manufakturach wietrznej Szkocji. Czy nie idealny materiał na zimowy płaszcz, kurtkę, marynarkę w jodełkę?

Tweed został uromantyczniony i sprowadzony do zastosowań plenerowych. Takich właśnie, jak widzimy w filmach „Downton Abbey", „The Crown" i innych podobnych angielskich produkcjach, gdzie – jak wiadomo – kostiumy są na najwyższym poziomie. Polowanie, przejażdżka konna, jesienne spacery... I eleganccy dżentelmeni mknący na koniu przez wrzosowiska z policzkami zaróżowionymi od wiatru. W tweedowych kurtkach. Takie zastosowanie tweedu jest uzasadnione, gdyż jest on tkaniną nie tylko ciepłą, lecz także wbrew pozorom wodoodporną. To materiał do trudnych zadań. Daje ciepło, jest wytrzymały, a wilgoć nie przenika przez jego ściśle tkane nitki.

Cokolwiek zbanalizowany „filmowy" wizerunek tweedu jest w dużej mierze zasługą amerykańskiego projektanta

FOT. GILES KEYE/CARNIVAL FILMS PRODUCTION

eprasa.pl fa121f19c2

Ralpha Laurena, który sam nie pochodząc z klasy wyższej, stworzył wizerunek swojej marki oparty właśnie na skojarzeniach z nią i jej potocznie wyobrażonym stylem życia. „Old England"... Nawet Francuzi, odwieczni rywale Anglików, się na to złapali – sieć sklepów o tej nazwie działa do dziś we Francji. Wizerunek Laurena, choć sztuczny, przemówił do wyobraźni i kieszeni zamożnych Amerykanów, którzy nie mogąc zostać członkami brytyjskiej elity, chcą przynajmniej mieć na grzbiecie jeden z jej symboli. Swój udział w tym mają też marki Holland & Holland, Bruar, Burberry. Komercyjne wersje „starej Anglii" dobrze przysłużyły się popularyzacji stylu na całym świecie. Ma on dużo konserwatywnego uroku. I pokazuje wachlarz możliwości tweedu, który umie być lekki, miejski i niezmiennie elegancki.

MYŚLIWSKA ZIELEŃ

Ojczyzną tweedu jest północna Anglia. Do dziś produkcja tej tkaniny jest ściśle związana z tym regionem. Podobnie jak szkockie kraty chlubią się przynależnością klanową, tak tweedy związane są z okolicznymi przędzalniami i tkalniami. Prawdziwy tweed to produkt regionalny. Podobnie jak wina, sery, octy tweedy też chwalą się miejscem pochodzenia, tradycyjną technologią, odległą datą założenia tkalni. Najbardziej popularne są dwie odmiany: Harris Tweed z wyspy Lewis, Harris ze Szkocji oraz Donegal z regionu Donegal w Irlandii. Harris Tweed to materiał cokolwiek szorstki w wykończeniu, z widocznymi poszczególnymi nitkami wątku, wytrzymały i też najpopularniejszy. Jest gruby i naturalnie lekko elastyczny. Tweedy Harris mają dużą gamę kolorów – odcień materiału brązowawy można osiągnąć, splatając ze sobą nawet 12 różnokolorowych nitek. To jest właśnie urok tej tkaniny – dzięki splotowi otrzymuje się kolor nieoczywisty, ciepły i naturalny. Szarości, zielenie, brązy – to są kolory ojczyzny tweedu.

W tych dwóch zasadniczych typach można jeszcze wyróżnić podgrupy w zależności od miejsca powstania, rodzaju owiec i zastosowań. Saxony – pierwotnie produkowany w Saksonii, obecnie rozpowszechniony w innych miejscach – jest drobny, miękki. Wykonany jest z wełny merynosów i używa się go najczęściej do wyrobu garniturów.

Szewiot – stare krawcowe jeszcze pamiętają tę nazwę, pochodzi ona od wełny owiec rasy szewiot. Sztywniejszy, grubszy i gęściej tkany i nadaje się na grube garnitury. Szetland – jeden z najdelikatniejszych, dobry na marynarki, pierwotnie z regionu Shetland w Szkocji.

Ojczyzną tweedu jest północna Anglia. Do dzisiaj produkcja tej tkaniny jest ściśle związana z tym regionem

Thornproof – ściślej skręcona wełna czyni go twardszym i cięższym. Najczęściej w kolorze zielonkawym, dlatego używany jest na ubrania myśliwskie.

Estate to nazwa tkanin regionalnych, dość ciężkich, szorstkich, pochodzących z lokalnych tkalni i używanych zazwyczaj tylko w regionie. Mają, tak jak wina, swoje metryczki – „appellation d'origine protegee". Wzory to jodełka, na której widać czarną kratkę na jasnym tle: windowpane – duża kratka okienna, dogtooth – drobna kratka.

Harris Tweed już w roku 1909 zarejestrował swoją markę i jest ona zastrzeżona. Ma zatem oznaczenia, która wełna do czego się nadaje i gdzie materiał został wyprodukowany. Po kryzysie finansowym, którego producent Harrisów doświadczył na początku lat 2000, firma otrzymała zastrzyk gotówki od inwestorów, odrodziła się i teraz ma się świetnie. Donegal nie zarejestrował znaku firmowego. I dlatego każdy materiał tkany w drobne, niewyraźne ciapki może sobie przywłaszczyć nazwę Donegal. Anglicy uważają, że Donegal jest atrakcyjny, ale nie zasługuje na osobną klasyfikację. Krawcy uważają go za mniej formalny niż Harris.

UNIFORM WOLNYCH ZAWODÓW

Tweedy stały się popularne w latach 30. XIX w., gdy w Szkocji weszły w modę sporty rozgrywane na świeżym powietrzu. Zastąpiły materiał dotychczas używany: rodzaj filcu – ścisły, ciężki, higroskopijny, nieprzyjemny w dotyku. Powoli tweed upowszechniał się i wchodził ze wsi do miast. Aż w końcu Chanel dokonała wielkiej rewaloryzacji – jej tweedowy żakiet, do którego inspiracje czerpała z szafy arystokratycznego kochanka Boya Capela, udostępnił tweed kobietom i podbił świat. Dzisiaj Chanel ma podpisane kontrakty ze szkockimi tkalniami, które produkują tylko dla niej, z zakazem sprzedaży innym podmiotom. Francuzi chwalą się, że wspierają tradycyjne rzemiosło. Angielskie, o ironio.

Byłoby dziwne, gdyby ten piękny materiał nie doczekał się podróbek, wersji i po prostu przemysłowych wyrobów podszywających się pod tę nazwę. Ale ma również naśladowców szlachetnych. Włoskie tkalnie produkują tkaniny marynarkowe podobne do tweedów Donegal, ale nie z wełny, tylko z kaszmiru, zatem delikatniejsze. W Stanach Zjednoczonych i w Europie wełna w dużą kratę (wzór windowpane) powszechnie nazywana jest tweedem. Obecnie widać modę na żywsze kolory. Domy mody domagają się wyrazistych barw: żółtych, niebieskich, różowych. Producentom trudno takie kolory osiągnąć tradycyjnymi technikami. Kolory tweedów należały do palety północnej natury. Stanowiły rodzaj kamuflażu we własnym środowisku naturalnym. Nawet jeśli marynarka będzie błękitna, to jej barwa zawsze będzie zgaszona, ciepła, nigdy jaskrawa.

Niektórzy uważają tweedowy look za staromodny, wiejski. W Anglii wciąż jest elegancką klasyką, choć nie należy do strojów salonowych ani wieczorowych. W całej Europie marynarka z tweedu, sztruksowe spodnie, koszula bez krawata, z apaszką stały się eleganckim, choć mało formalnym uniformem intelektualisty, inteligenta czy też po prostu człowieka wolnego zawodu. Tak ubierał się Leopold Tyrmand. Angielski znawca tweedu, Simon Crompton, zaleca, żeby marynarka z tweedu znalazła się w szafie każdego mężczyzny. Kolekcjonerzy tych marynarek mają ich całe zasoby: każda z certyfikatem.

W sezonie jesień–zima 2021 tweed gra pierwsze skrzypce. Jest w kolekcjach Ralpha Laurena, Burberry, Chanel, MaxMara, Holland & Holland i wielu innych.

Dla wszystkich nowszych, lżejszych wariacji tradycyjny szorstki, mocny gruby, drapiący Harris tweed będzie po prostu archetypem, praprzodkiem. Którego się szanuje, ale też z którym wciąż się żyje. To wymagające i kosztowne w świecie, gdzie 80 proc. ubrań zrobionych jest z poliestru, a międzynarodowym uniformem są dżinsy i dres. Ale możliwe. „Postęp nie rewolucjonizuje ubrania – powiedział angielski projektant Paul Smith. – Niedawno oglądałem książkę o podboju Mount Everestu i zauważyłem tam, że pierwsi wspinacze w Himalaje mieli na sobie tweedową marynarkę i krawat".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

Z prof. Katarzyną Kotulską-Jóźwiak, kierownik Kliniki Neurologii i Epileptologii Instytutu „Pomnik – Centrum Zdrowia Dziecka”
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Terapia na życie

KATARZYNA PINKOSZ: W leczeniu rdzeniowego zaniku mięśni (SMA) terapia genowa to jeden z największych przełomów ostatnich lat. Jeszcze kilka lat temu dzieci z SMA typ 1, u których objawy zaniku mięśni pojawiały się w pierwszych miesiącach życia, często nie przeżywały roku lub oddychały tylko dzięki respiratorowi. Dziś mówi się o możliwości wyleczenia choroby za pomocą podania leku raz w życiu.

PROF. KATARZYNA KOTULSKA-JÓŹWIAK: To jedna z pierwszych i jak dotąd niewielu terapii genowych dopuszczonych do stosowania w medycynie. Wyniki badań klinicznych i obserwacje kliniczne w krajach, gdzie jest już dostępna, pokazują, że odpowiednio wcześnie zastosowana może niemal całkowicie zapobiec rozwojowi objawów choroby.

Co pokazują wyniki badań prezentowanych niedawno podczas Kongresu Polskiego Towarzystwa Neurologicznego, a wcześniej w czasie zjazdu Europejskiego Towarzystwa Neurologicznego?

Prezentowane były wyniki badań pacjentów po sześciu latach od podania terapii genowej. Otrzymali oni lek już po wystąpieniu objawów choroby. Ponad 90 proc. z nich osiągnęło powyżej 40 punktów w skali CHOP-INTEND; to wynik, który byłby absolutnie nie do uzyskania w naturalnym przebiegu choroby. Jeszcze lepsze są wyniki obserwowane u pacjentów, którzy otrzymali lek przed wystąpieniem objawów. W badaniu SPRINT terapię genową podaje się pacjentom obarczonym bardzo wysokim ryzykiem wczesnej postaci SMA, zanim wystąpią u nich objawy rdzeniowego zaniku mięśni, do szóstego tygodnia życia. Wyniki z półtorarocznych obserwacji pokazują, że pacjenci osiągają kolejne „kamienie milowe” rozwoju ruchowego – wszyscy samodzielnie siedzą, prawie 80 proc. stoi samodzielnie, przy czym wielu osiąga tę umiejętność w odpowiednim rozwojowo wieku.

Co dziś wiemy o terapii genowej? Najważniejsze: czy jest bezpieczna?

To terapia oparta na wektorze wirusowym; został on co prawda pozbawiony możliwości zakażania, nadal jednak jest w stanie wywołać uogólnioną reakcję immunologiczną, przede wszystkim objawiającą się uszkodzeniem wątroby, w mniejszym stopniu mięśnia sercowego czy innych narządów. Ryzyko uszkodzenia wątroby było na tyle duże, że zdecydowano o rutynowym podawaniu pacjentom osłonowych sterydów, które mają złagodzić stan zapalny. Oczywiście gdy porówna się ewentualne działania niepożądane leczenia i to, z czym wiąże się nieleczona choroba, to bilans korzyści jest zdecydowane większy.

Lek zastosowany w okresie przedobjawowym powoduje, że dzieci mają szansę rozwijać się zupełnie zdrowo?

Większość pacjentów, którzy otrzymują lek przedobjawowo, rozwija się zgodnie z tym, czego oczekiwalibyśmy w stosunku do zdrowych dzieci. To dotyczy zarówno terapii genowej, jak i nusinersenu, którym obecnie są leczone dzieci w Polsce. Pokazuje to, jak istotne są odpowiednio wczesne diagnostyka i badania przesiewowe noworodków, właśnie w Polsce wdrażane. To największy przełom, który w połączeniu z terapią umożliwia osiągnięcie spektakularnych efektów. Jeśli chodzi o terapię genową, to największą zaletą, co podkreślają rodzice, jest jednokrotne podanie.

Jak działa terapia genowa?

Lek jest oparty na wektorze wirusowym, adenowirusie, do którego „wklejony” został fragment DNA odpowiadający ludzkiemu zdrowemu genowi SMN. Wektor wirusowy przechodzi przez barierę krew-mózg, dzięki temu można podać lek dożylnie. Przechodzi on do komórek, w których ma wywołać efekt; w motoneuronach rdzenia kręgowego przenika do jądra komórkowego, nie wbudowuje się jednak w DNA dziecka. Produkuje stale brakujące białko, natomiast nie integruje się z jądrowym DNA. To o tyle istotne, że zmniejsza możliwość nowotworzenia, która jest istotnym ryzykiem związanym ze wszystkimi terapiami genowymi.

Terapię genową już podaje się w wielu krajach Europy, m.in. w Czechach, na Węgrzech. Czy w Polsce szansą na jej finansowanie jest Fundusz Medyczny?

Faktycznie jest ona stosowana w coraz większej liczbie krajów. Problemem są koszty. W Polsce został niedawno wprowadzony mechanizm Funduszu Medycznego, zupełnie nowy, poza rutynową ścieżką finansowania leków z NFZ. Ma on służyć innowacyjnym, przełomowym terapiom, takim jak terapie genowe. Ocena Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji była pozytywna, w tej chwili trwają negocjacje w Ministerstwie Zdrowia, czekamy na ostateczną decyzję.

eprasa.pl fa121f19c2

FOT. ADOBE STOCK

Kacper Ruciński, członek Rady Strategicznej Fundacji SMA:

Przewaga terapii genowej polega na tym, że jest podawana jednokrotnie. Dziecko, któremu poda się ją odpowiednio wcześnie, nie będzie przez całe życie pacjentem, nie spędzi życia na wizytach lekarskich. Najprawdopodobniej będzie normalnie funkcjonowało, będzie zdrowym człowiekiem. Inne terapie w SMA są również skuteczne, muszą jednak być przyjmowane do końca życia. Trzeba ustawiać życie rodziny tak, by móc odbywać wizyty w szpitalu co kilka miesięcy.

Już ponad 1,5 tys. dzieci na świecie przyjęło terapię genową. Przynosi ona znakomite efekty. Znam dzieci, które otrzymały ją przed wystąpieniem objawów choroby. Jedna z dziewczynek, która dostała terapię 30. dnia życia, w ramach badań klinicznych, obecnie ma prawie trzy lata i nie widać, żeby miała jakąkolwiek chorobę. Bez leczenia w tym wieku już by nie chodziła, jeździłaby na wózku inwalidzkim. Jest zdrowym dzieckiem, nikt nie wierzy, że ma jakąkolwiek chorobę.

W Polsce jest szansa, że terapia genowa SMA zostanie udostępniona w ramach Funduszu Medycznego. Byłoby optymalne, gdyby tak się stało, a lekarze mieli możliwość wyboru sposobu leczenia. Problemem jest jednak zawężenie możliwości podawania tej terapii w ramach Funduszu Medycznego tylko dla nowo zdiagnozowanych dzieci do szóstego miesiąca życia. Taki zapis eliminowałby część dzieci z możliwości leczenia. W Polsce dopiero rozpoczyna się program badań przesiewowych w kierunku SMA, ostatnie województwo zostanie do niego włączone w listopadzie 2022 r. Będą dzieci, u których SMA zostanie rozpoznane już po wystąpieniu objawów. Jeśli nie będzie możliwości refundacji terapii genowej dla tej grupy dzieci, to rodzice będą nadal otwierali zbiórki na portalach zbierających fundusze na leczenie. Terapia genowa jest już refundowana w wielu krajach Europy, m.in. we Włoszech, w Wielkiej Brytanii, Niemczech, we Francji, w Rosji, na Słowacji, w Czechach, na Węgrzech, w niektórych krajach bardzo szeroko. Mamy nadzieję, że tak będzie również w Polsce.

Możliwość zastosowania terapii genowej powodowałaby, że dziecko nie musiałoby co kilka miesięcy przychodzić do szpitala na podanie leku, tak więc spadłyby koszty dla systemu ochrony zdrowia, np. hospitalizacji...

Oczywiście, to bardzo istotne. W przypadku nusinersenu droga podania leku jest inwazyjna (lek podaje się do rdzenia kręgowego), to dodatkowy problem, u niektórych pacjentów konieczne jest znieczulenie ogólne. Jednokrotne podanie terapii genowej jest ogromną korzyścią, trzeba jednak też pamiętać, że o tym leczeniu wiemy mniej, w związku z tym należy zachować pewną ostrożność. Europejska Agencja Leków nałożyła na producenta leku obowiązek 15-letniej obserwacji wyników terapii. Dlatego chcielibyśmy, aby pacjenci, którzy dostaliby leczenie ze środków publicznych, byli pod naszą opieką, by móc sprawdzać, jak będzie wyglądała skuteczność i bezpieczeństwo w dłuższym okresie, czy nie pojawią się nowe objawy niepożądane lub nie dojdzie po latach do obniżenia skuteczności.

Rodzice bardzo oczekują na tę terapię, z drugiej strony w Polsce jest już bardzo dobre leczenie SMA. Jak ono powinno wyglądać optymalnie?

Idealnie byłoby mieć do dyspozycji wszystkie leki, które są zarejestrowane w SMA, dlatego że nie ma terapii uniwersalnej dla wszystkich. Im dłużej będziemy mieli do dyspozycji leki, tym więcej będziemy wiedzieć i tym lepiej można będzie dopasować lek do pacjenta, aby zapewnić optymalne efekty. Wiemy, że istnieje szansa na zapewnienie wielu pacjentom z SMA funkcjonowania bez objawów choroby.

Co się stanie, jeśli decyzja o refundacji będzie negatywna?

Wszyscy mają nadzieję, że decyzja będzie pozytywna, natomiast jeśli tak się nie stanie, to leczenie pozostanie takie jak obecnie. Mamy w Polsce szeroki dostęp do skutecznej terapii nusinersenem, jednak również bardzo wiele zbiórek dla pacjentów na terapię genową; ponad 20 z nich zakończyło się podaniem leku. Jak widać, społeczeństwo bardzo chce tym dzieciom pomóc. Ponieważ jednak pieniądze trzeba zebrać, a to trwa, to w takim przypadku w zasadzie nie byłoby możliwe zastosowanie terapii genowej przedobjawowo, czyli wtedy, gdy wyniki są najkorzystniejsze. W efekcie zapewne te dzieci korzystałyby z dwóch terapii – zarówno z refundowanej w ramach NFZ, jak i z terapii genowej, pozyskanej z własnych środków. W takiej sytuacji nie będziemy wiedzieć, jak wygląda jej bezpieczeństwo i skuteczność, ponieważ nie będzie ona podawana w ramach programu, a na dodatek nałoży się na inną terapię.

W SMA zaszła ogromna zmiana w stosunkowo krótkim czasie: mówimy o wyborze leczenia, a jeszcze kilka lat temu nie było go w ogóle. Wprowadzenie kilka lat temu nusinersenu to był pierwszy przełom. Mam pod opieką dziewczynkę, która dostała leczenie w okresie przedobjawowym ponad trzy lata temu: to teraz zdrowo wyglądające dziecko, które prawidłowo się rozwija. Wcześniej nikt sobie tego nie wyobrażał. Teraz przy podawaniu przedobjawowym możemy mówić o wyborze jednej z dwóch możliwych zarejestrowanych terapii, a dzięki badaniom przesiewowym noworodków taki efekt osiągać u większości pacjentów. Terapie genowe są bardzo oczekiwane przez pacjentów. Stwarzają nadzieję, że gdy poda się lek w dzieciństwie, to można wręcz zapomnieć o chorobie. Wymagają jednak wielu dalszych badań i obserwacji. W przypadku SMA na razie wiemy, że dzięki leczeniu białko jest stabilnie produkowane przez ponad sześć lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fa121f19c2

TEST „DO RZECZY": ROUTER AVM FRITZ!BOX 6850 LTE

Bardzo dobry stosunek ceny do jakości, duże możliwości konfiguracji, stabilna szybkość przesyłu danych z prędkością do 150 Mb/s, możliwość łatwego rozbudowania o wzmacniacze sygnału sieci Mesh oraz prosta obsługa funkcji sterowania inteligentnym domem – to największe zalety nowego routera niemieckiej firmy AVM.

Router FRITZ!Box 6850 LTE to niewielkie urządzenie z dwoma zewnętrznymi antenami, które w czasach telepracy może okazać się niezbędne. Design jest charakterystyczny dla firmy AVM, co oznacza, że dominuje biały plastik z czerwonymi elementami. Z tyłu obudowy znalazły się cztery gigabitowe porty LAN.

Router FRITZ!Box 6850 LTE pracuje w LTE kat. 4. Na wszelki wypadek zapewnia też wsparcie dla UMTS/HSPA+. Urządzenie ma również wbudowane dwa gniazda SMA, które umożliwiają łatwe podłączenie zewnętrznych anten LTE – można je ustawić np. na balkonie lub przymocować wysoko przy kominie – w celu zwiększenia szybkości odbioru i przesyłu danych. Router jest też wyposażony w złącze USB, dzięki czemu można do niego podpiąć pendrive'a, dysk SSD, drukarkę czy skaner. FRITZ!Box 6850 LTE może też pełnić funkcję centralki telefonicznej, do której można podłączyć tradycyjną, analogową linię telefoniczną i dzwonić ze swojego smartfona jak z telefonu stacjonarnego, wykorzystując aplikację FRITZ!App Fon. W Polsce nie jest to raczej szczególnie popularne rozwiązanie, ale osobom, którym zależy na jakości połączenia ze stacjonarnej linii, może się przydać. Ogromną zaletą są też duże możliwości konfiguracji i diagnostyki połączeń LTE. Router umożliwia także łatwą obsługę inteligentnych gniazdek, żarówek i termostatów typu smart.

Po stronie plusów wpisać trzeba również jakość sygnału wi-fi na częstotliwościach 2,4 i 5 GHz. W razie potrzeby domową sieć można łatwo rozszerzyć za pomocą wzmacniaczy sygnału sieci Mesh, które łącząc się ze sobą, tworzą jedną sieć, pokrywającą zasięgiem duży dom, a nawet ogród.

Oprogramowanie Fritz!OS pozwala na łatwą konfigurację kontroli rodzicielskiej (i wyznaczenie dzieciom konkretnego czasu pracy w sieci), utworzenie hotspota dla gości (którzy z naszą siecią będą mogli się połączyć, skanując po prostu kod QR) czy ustawianie limitów zużycia danych.

A minusy? Z niewiadomych powodów niemiecki producent wciąż wymaga od użytkowników stosowania kart miniSIM (!), czyli największego rozmiaru, który dostajemy od operatora. Jednocześnie instrukcja ostrzega, aby nie używać adapterów do kart – teoretycznie, przesiadając się na nowy router niemieckiej firmy, użytkownik powinien zgłosić się do operatora po nową kartę SIM. Na szczęście w naszym przypadku użycie prostego i taniego adaptera nie skutkowało uszkodzeniem routera.

Poza tym drobiazgiem nie bardzo jest się do czego przyczepić. Testowany model należy do routerów klasy średniej i jest o kilkaset złotych tańszy od swojego najdroższego brata z klasy wyższej. Jego cena wynosi 769 zł. ©℗

Jacek Przybylski

IKEA ZMIENI MEBLE W ŁADOWARKI

IKEA Sjömärke to proste urządzenie, które ma ułatwić indukcyjne ładowanie smartfonów i innych gadżetów. Specjalną podkładkę ładującą o grubości 1,5 cm, długości 17,3 cm i szerokości 8,6 cm dyskretnie montuje się pod biurkiem, stołem lub np. pod półką wykonanymi z drewna i tworzywa sztucznego (urządzenie nie będzie współpracować np. z metalowym blatem). Model Sjömärke do blatu przytwierdza się np. za pomocą wkrętów lub dwustronnej taśmy klejącej. Po szybkiej instalacji cała powierzchnia mebla nad IKEA Sjömärke zmienia się w indukcyjną ładowarkę. Urządzenie jest już dostępne w Polsce. Cena: 149 zł.

SMARTOKULARKI NA BASEN

Holoswim to inteligentne okularki do pływania. Ważą zaledwie 75 g i są wyposażone w czujniki do monitorowania treningu na basenie oraz wodoodporny moduł, który współpracuje z aplikacją na smartfonie. Najfajniejsze w tym gadżecie jest to, że okularki mogą wyświetlać informacje o liczbie przepłynięty długości basenu, średnim tempie, czasie etc. Holoswim wyświetlą też wiadomość o tym, że ktoś akurat próbuje się do nas dodzwonić. Bateria na jednym ładowaniu wytrzymuje ponoć 10 godzin, więc wystarczy nawet na bardzo solidny trening. Cena okularków wynosi 89 dol., czyli równowartość ok. 200 zł. Pierwsze dostawy przewidziano na grudzień. Gadżet promowany jest na jednym z portali crowdfundingowych – przed zakupem zawsze warto zapoznać się z tym, jakie jest ryzyko utraty wpłaconych pieniędzy. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl fa121f19c2

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Rzeczpospolita babińska

Dwadzieścia kilometrów od Lublina, pod Bełżycami, leży wieś Babin, w której od końca XVI w. działała Rzeczpospolita Babińska, będąca jednym z pierwszych polskich towarzystw zabawowych i pierwowzorem kabaretu politycznego. Jej założycielami byli Stanisław Pszonka, sędzia lubelski, właściciel wsi, i Piotr Kaszowski. Stanisław Sarnicki tak opisuje ich grupę, zwaną także babińczykami. „Wzorowali się na porządku i urządzeniach Rzeczypospolitej Polskiej. Wybierali dla siebie: senat, biskupów, wojewodów, hetmanów, sekretarzy. Jeżeli ktoś mówił o rzeczach podniosłych, niemających związku z jego stanowiskiem, zostawał arcybiskupem babińskim; kto się jąkał, rzucał paradoksami lub prawił rzeczy niewiarygodne, tego mianowano mówcą lub kanclerzem. Chełpiącemu się z męstwa i odwagi przyznawano godność hetmana albo rycerza pasowanego. Kto celował w kłamstwach myśliwskich, zostawał łowczym. Nominacje wydawano albo zaraz na miejscu podczas wesołej zabawy, albo wysyłano później na piśmie, opatrzywszy pieczęcią woskową".

Rzeczpospolita Babińska na obrazie Jana Matejki

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. PEGAZ

Towarzystwo Pszonki i Kaszowskiego spotykało się w miejscu zwanym „giełdą", która to nazwa nie oznaczała miejsca robienia interesów, ale forum wymiany plotek i wiadomości. Anegdoty powstające w Babinie krążyły w rękopisach i zachowywane były w księgach. Pewnego razu król Zygmunt August zapytał się Pszonki, czy babińczycy mają swojego króla. „Uchowaj Boże, najjaśniejszy panie, ażebyśmy za twego życia mieli myśleć o wyborze innego króla; panuj tu i w Babinie" – odpowiedział sędzia.

Wśród babińczyków na przełomie XVI i XVII stulecia znajdziemy jedne z najwybitniejszych nazwisk pisarzy i statystów sejmowych. Należeli do nich Mikołaj Sęp Szarzyński i Bartosz Paprocki, wcześniej Jan i Andrzej Kochanowscy, Mikołaj Rej, później Jan Andrzej Morsztyn i wielu innych. Jan Achacy Kmita przekazał żart o niezwykłym dzwonie z iłżeckiej gliny, który „kiedy uderzą w Krakowie, to po upływie ośmiu tygodni słychać go będzie w Rzymie". Za tę anegdotę otrzymał tytuł historyka. „Miłościwy panie, był konkurs, trwał dwa lata – i nikt się nie nadał" – odpowiedział ponoć Pszonka królowi polskiemu na pytanie, czy mają w Babinie błazna. Jakub Dąbrowski został myśliwym, gdyż za jednym puszczeniem jastrzębia upolował dziewięć kuropatw. Stanisław Snopkowski opowiadał, że w czasie oblężenia Smoleńska miał takiego jastrzębia, który posadzony na muszce muszkietu gonił za wystrzelonymi kulami. Wacław Zamoyski został łowczym za opowieść o tym, jak książę Konstanty Ostrogski polował na zająca, który miał osiem nóg, gdy cztery mu się zmęczyły, biegł dalej na następnych czterech. Wojciech Zawisza otrzymał urząd kuchmistrza, kiedy opowiadał, że w Moskwie oglądał tak olbrzymie ryby, że kiedy gotowano je w kotle, to kucharz musiał po nim jeździć czółnem, inaczej bowiem nie byłby w stanie zamieszać. Adam Regowski widział w Anglii, jak kupujący szczupaki rozcinali im brzuchy i patrzyli, czy są tłuste; w przeciwnym razie puszczano je ponownie do wody, aż wyzdrowieją – został za to kuchmistrzem od ryb.

Niejaki Brzeziński został świadkiem babińskim, ponieważ pijąc do Pszonki, stwierdził, że kto inny pił do niego. Krzysztofa Buczyńskiego obdarzono godnością podczaszego za opowiadanie o Stanisławie Czelabskim, który w czasie napadów pragnienia potrafił wypić 10 garnców wina, a mimo to się nie upijał! Pani Pieniążkowa, która widziała, jak Gładysz wypił naraz trzy beczki wina, została cześniczką. Jakub Sienieński, mianowany podczaszym, gdyż obcemu nalewał wina spodnim denkiem, a sobie wierzchem. Nawet bp Piotr Myszkowski ułożył anegdotę, w której twierdził, że pewnego razu biblijny Noe napiwszy się dobrego wina, zasnął i nie wiedział, ilu miał synów. Aleksander Myszkowski wspominał, jak bawiąc w Niemczech, pił w klasztorze wino z tak wielkiej beczki, że klucznik z kluczami w niej utonął. Kiedy pokazało się dno – znaleziono w niej klucze i kości. Mikołaj Stogniew, porucznik chorągwi królewskiej, zasłynął opowieścią o bp. Andrzeju Opalińskim, który był takim estetą, że kazał malować nawet drzewo do kominka, aby ogień był kolorowy.

Rzeczpospolita babińska istniała z przerwami do ok. 1677 r., gdyż wtedy kończy się rejestr urzędów babińskich prowadzony aż do śmierci przez Adama Pszonkę. Towarzystwa podobne istniały w całej barokowej Europie, nawet w Warszawie w 1807 r. zawiązało się podobne, złożone z Polaków i francuskich wojskowych. Sława jednak Babina zgasła wraz ze śmiercią Pszonki. Na szczęście w 1895 r. Stanisław Windakiewicz wydał protokoły babińskie z lat 1601–1677, jako „Akta Rzeczypospolitej Babińskiej według oryginalnego rękopisu", w VIII tomie „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce". ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

ZUPĘ RYBNĄ POLECA SYLWIA GARSKA-CHMARYCZ

Dobra na jesień, rozgrzewająca, niebiańsko smaczna, no i pozwalająca zwiększyć udział ryb i owoców morza w naszej diecie. Zupa rybna według tego przepisu zawiera węgorza, szczupaka, mule i krewetki, jest charakterna i z pewnością przypadnie do gustu nie tylko tym, dla których ryby i owoce morza są produktami pierwszego wyboru.

Składniki:

- węgorz
- szczupak
- 10 muli
- 10 krewetek
- 200 ml cydru
- 1 cebula
- 1 por
- 1 puszka pomidorów bez skórki
- 1 mały koncentrat pomidorowy
- 2 słoiczki papryki grillowanej w solance
- czosnek
- seler, marchew, koper włoski
- przyprawy: liście kafiru, ziele angielskie, sól, pieprz, odrobina sosu sojowego, masło klarowane, oliwa, świeża kolendra i pietruszka

Przygotowanie:

Ryby oczyścić i wyfiletować, z węgorza ściągnąć skórę, pokroić. Włożyć ryby do garnka i gotować na nich (z warzywami i przyprawami) bulion. Kawałki ryb wyjąć po ok. 10 minutach, bulion gotować nadal. Na patelni podpiekać po kolei warzywa i wrzucać do innego garnka, ostatnie podpiekane warzywa podlać cydrem, odczekać i przelać do garnka z pozostałymi podsmażanymi warzywami. Dodać tam również owoce morza oraz ryby podsmażone wcześniej na maśle klarowanym, zalać całość przecedzonym bulionem rybnym. Dodać koncentrat pomidorowy i doprawić do smaku.

Podawać z posiekaną kolendrą i pietruszką oraz grzanką natartą czosnkiem. Smacznego. ©℗

oprac. raw

Sylwia Garska-Chmarycz jest autorką książki „Smaczne garnki. Kuchnia Kaszub premium".

FOT. TVN

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Stare słowa: pani, pan

Czy musimy być na ty, po co zmieniać rzeczy stan. Zobacz, jak to ładnie brzmi stare słowa „pani", „pan".

FOT. ADOBE STOCK

Tę uroczą piosenkę ze słowami Agnieszki Osieckiej śpiewała Kalina Jędrusik. Często sobie ją przypominam, kiedy myślę, że tego „tykania" (jak kiedyś mówiono) mamy dzisiaj stanowczo za dużo. W radiu, w telewizji, w wywiadach. Kiedyś wypicie z kimś bruderszaftu było oznaką dużej zażyłości, następowało często po latach bliskiej znajomości, wręcz przyjaźni. Porządek był ściśle ustalony: proponowała osoba starsza, o wyższym statusie, kobieta mężczyźnie. Generalnie na „ty" było się głównie z bliską rodziną i nielicznymi znajomymi. A i to niekoniecznie. Moja babcia ze swoimi wieloletnimi przyjaciółkami była na pani. Pani Ireno, pani Danusiu…

A dzisiaj?

Mówię: „Zostaw", mówię: „Przynieś", mówię: „Wpadnij dziś po kinie". Czy nie ładniej było dawniej mówić: „Kiedy znów pan wpadnie?".

Czy wzięliśmy to z angielskiego, który pozwala do królowej i do ciecia mówić „you"? Albo z hiszpańskiego, bo wprawdzie Hiszpanie mają formę „usted" (trzecia osoba liczby pojedynczej), to chętniej korzystają z prostego „tu". Naukowcy zauważają odwrócenie efektu Flynna, zasady, według której średni iloraz inteligencji rośnie w populacji z pokolenia na pokolenie. Przynajmniej tak było. Bo od lat 80. zaczyna się spadek średniego IQ w krajach najbardziej rozwiniętych. Jednym z tego objawów jest zubożenie języka – zmniejszenie zasobów leksykalnych. Chodzi nie tylko o słownictwo, lecz także o subtelności języka, które pozwalają na złożone myślenie i wyrażanie opinii. Zachodnia cywilizacja masowo głupieje?

Francuzi jako przykład tego zubożenia podają zanik formy „mademoiselle". Jeszcze w latach 70. tak zwracano się do młodych dziewczyn. Teraz już nie – a nuż się którą urazi, bezpieczniej powiedzieć „madame". Ale w tej samej Francji sztywne, oficjalne formy miały się dobrze. Syn do matki zwracał się per „Vous" – drugą osobę liczny mnogiej, a nawet – z czym sama się spotkałam – mąż do żony. W towarzystwie, po to, żeby zachować dystans.

I właśnie dystans jest tym, czego nam brakuje. Skracanie dystansu z ludźmi, z którymi nic nas nie łączy, jest po prostu niepotrzebne, stwarza fałszywe pozory bliskości. Spotykasz na ulicy kogoś, kto rzuca ci się na szyję, wołając: „Kochana, jak się masz?". A ty nie masz pojęcia, kim jest ta osoba. Na pewno nie jest kimś bliskim. Dlaczego więc jesteśmy na „ty"? Czy musimy? ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Stłuc covidowy termometr

Jestem wystarczająco stary, by pamiętać, kiedy w trakcie „wojny na górze" Lech Wałęsa osadził marudzącego mu redaktora Turowicza, słowami: „Nie chcesz mieć pan gorączki, to stłucz pan termometr". Była to wtedy obraza majestatu elit, ale Lechu po robociarsku pokazał, jak się ma pragmatyzm do hamletyzowania inteligencji.

Dziś mamy to samo. Natknąłem się na fenomen. Otóż np. w takiej Irlandii mamy w szpitalach na COVID 54 proc. zakażonych zaszczepionych. A u nas minister Niedzielski oświadczył, że ci, którzy leżą w szpitalach, to w 99,1 proc. sami zakażeni niezaszczepieni. Miało to uzasadniać skuteczność szczepionek wbrew wątpiącemu foliarstwu. No, ale jak to jest, skoro w Izraelu, Wielkiej Brytanii czy wspomnianej Irlandii lud zaszczepiony zapełnia szpitale? Mamy jakąś superreakcję polskiego organizmu na szczepionkę, taki gen pfizerowy, a może im tam na Zachodzie jakąś sól fizjologiczną podali, a nam same gęste, chochlą z dna gara szczepionkowego? No, na logikę nie wiadomo, o co chodzi. Wtedy trzeba zajrzeć do metody. I dzięki towarzyszom w COVID trafia się na Dziennik Ustaw pozycja 861, rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 6 maja 2021 r. W paragrafie 17 stoi tam jak byk, że jak się służbie zdrowia trafi jakiś zaszczepiony chory, nie daj Boże, objawowy, to się go nie kieruje na testy.

W ten sposób zaszczepieni chorzy znikają ze statystyk covidowych, mamy lepsze dane, stłukliśmy termometr. Słyszę też od lekarzy, że jest sugestia, by takim miglancom diagnozować grypę i do domu. Jak się okaże, że to jednak coś covidowego, no to wtedy na biegusiu – telefon, przyjadą kosmici i zabiorą gościa-pechowca pod respirator. Zatrzymajmy się tutaj – niezdiagnozowanego, z objawami, które parę miesięcy temu dawały pewność covidową, nie wysyła się na kwarantannę, nadal (tak jak tacy Irlandczycy) może roznosić, ale ma przecież paszport covidowy, który jest może tarczą administracyjną, ale już na pewno nie epidemiologiczną. Gdyby było OK, to nie byłoby wciąż tych dystansów i maseczek, i testowania wszystkich przed wejściem do samolotu.

W ten sposób – ostatnio pytałem, gdzie jest grypa – okaże się, że wróciła. I jakoś wyjątkowo będzie w tym roku napadać na zaszczepionych. Koronawirus się cofnie i wyspecjalizuje się w napadaniu na nieSzczepanów. Bo inaczej wywaliłaby się cała narracja o skuteczności szczepionek. Ciekawe, jak się będą liczyli ci, którym się grypa pogorszy w domu na nie-kwarantannie i wylądują w szpitalu? Tych też nie będziemy testować, żeby się nie wydało?

Wystarczy tylko stłuc termometr. W grypie to zadziała, szkoda tylko, że nie zrobiliśmy tego wobec koronawirusa. Istnieją pogłoski, że gdybyśmy na samym początku zbili termometr wątpliwych rzeczonych testów, to chyba nikt by nie zauważył wirusa w jego pandemicznych rozmiarach. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Mobbing 2.0

Pamiętacie wielką aferę mobbingową na początku roku, po wpisach studentki łódzkiej filmówki, Anny Paligi? Jej post przerwał zmowę milczenia. Potem ruszyła lawina z opisami przemocy, której poddawani byli studenci w szkołach aktorskich. W mediach społecznościowych posypały się świadectwa absolwentów, m.in. Dawida Ogrodnika.

„Znam ten strach i znam ten wstyd, znam to upokorzenie i poczucie bezwartościowości! Wszyscy się baliśmy i tylko niektórzy uciekli – byłem jednym z nich! Reszta chciała przetrwać! Oddaję ten wstyd i ten strach swoim oprawcom. Wstydźcie się i bójcie!" – pisze o mobbingu i przemocy psychicznej, której doświadczał ze strony wykładowczyni, znanej aktorki Beaty Fudalej. Do afery odniósł się też rektor Akademii Teatralnej Wojciech Malajkat. Przyznał, że jego uczelnia już dwa lata temu dostrzegła problem i jako pierwsza zaczęła systemowo walczyć z takimi nadużyciami.

Ogarnia mnie śmiech. Właśnie dostałem informację, że jedna z polskich uczelni aktorskich zapowiedziała niedopuszczenie do zajęć studentów niezaszczepionych. Zaczęło się od nieoficjalnej zapowiedzi opiekuna roku. „Wicie, rozumicie... Być może władze uczelni wobec osób niezaszczepionych będą zmuszone wprowadzić restrykcje, a więc po przyjacielsku, póki jeszcze czas, zachęcam do szczepień". Kilka dni później rektor szkoły opublikował na zamkniętej grupie filmową odezwę do studentów, wykładowców i pracowników szkoły. Zapowiedział, że nowy rok akademicki rozpocznie się pod warunkiem zaszczepienia się wszystkich! Wobec niezaszczepionych zastosowane zostaną osobne zasady i restrykcje. W ślad za tym pojawiło się oficjalne zarządzenie, które określa zasady pracy w nowym roku akademickim. Tylko pełne zaszczepienie lub aktualny test (wykonany na własny koszt) – ponawiany co siedem dni – uprawnia do uczestnictwa w zajęciach szkoły teatralnej.

Przypomina mi to historię sprzed lat, z Tadeuszem Łomnickim w roli rektora PWST, który wsławił się brutalnym traktowaniem studentów. „Ja ich muszę teraz zgwałcić – mówił Łomnicki o studentach – żeby ich potem nie zgwałciło życie…". Czym dziś, jak nie gwałtem, jest wymuszanie na podwładnych uczestnictwa w eksperymencie medycznym, zmuszanie do udostępnienia władzom uczelni danych wrażliwych dotyczących zdrowia i naruszenie zasady równego dostępu do edukacji? To prosta kontynuacja „metody" Łomnickiego, realizowana obecnie przez ofiary jego gwałtów. Brutalna odsłona wojskowej fali, dla niepoznaki ubrana w perwersyjną maskę troski o zdrowie i bezpieczeństwo. Z tą tylko różnicą, że „trepy" mają wypielęgnowane paznokcie i nie śmierdzą im onuce, a „koty"... gdy już dojdą do ściany, mogą po prostu uciec ze szkoły. ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

ĆWIERKOT

Jajko czy klacz?

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Bynajmniej nie jestem zachwycony, szarpią mną haki turpizmu, lecz odnotować z twitterowskiego obowiązku efemeryczny fenomen muszę. Nadmienię, że tytuł nie jest żadnym tam błędem, jest przemyślaną kontaminacją, z której jestem tak dumny, tak dumny (proszę mi dać pięć minut, żebym się popuszył). Bowiem spór „Jajko czy kura?" jest równie odwieczny, co chłodny, jałowy. Przywoływany, żeby pokazać bezsilność naszego dociekania, co mnie bardzo denerwuje. Ja wam dam bezsilność. Na Twitterze w ubiegłym tygodniu niejako rykoszetem początkowo, a później już głównowątkowo rozgorzał nowy, bardzo głośny, choć krótkotrwały spór „Krowa czy klacz?". Obrazy widziała cała Polska. Pochodziły z konferencji prasowej ministrów Mariuszów dwóch, Błaszczaka i Kamińskiego. Zaprezentowali na dużym zdjęciu z paskiem krowę albo klacz. Ja tego nie wiem, ja nie jestem zoologiem.

Nie był to ładny obrazek, ale dynamiczny, choć statyczny. To znaczy poruszający wyobraźnię. Nie mam zamiaru tutaj epatować opisami, po prostu pan stał za zwierzęciem, krową czy klaczą. Ja tego nie wiem, przecież już pisałem. Zwierzę nie miało na sobie odzieży wierzchniej. Żadne z tych dwóch zwierząt nie miało odzieży. Przepraszam, miałem nie opisywać, ale odnotować muszę. We mnie jest niechęć do brzydoty, jak w tym całym Przybosiu, który z turpizmu szydził, na próbę go uprawiając. Uważam, że ten sam mechanizm zaprezentowali ministrowie Mariuszów dwóch, nie chcieli, ale sprawy ważniejsze, nasze bezpieczeństwo wymagały.

Osobiście bardziej mi się podoba brzydota w wyrafinowanej próbce Przybosia niż zdjęcie z tym paskiem. Wiem, że pamiętają Państwo „Odę do brzydoty", więc fragment przypomnę: „Bez serc, bez nerek, bez mięsa od kości / o, najwierniejszy posągu człowieka / trwały, pogrzebny / szkielecie / arcydzieło portretowej rzeźby! / Podaj mi piszczel! / Niechaj na tym flecie / niepokalanie białym, obranym do czysta / zaświstam z wesołoposępnym dreszczem / Odę do postarzałej o sto lat młodości / brodatej / ponurej / Waszej, pokorni wyjadacze resztek / zastraszająco wspaniałego Ścierwa / Charles'a Baudelaire'a!". W swojej powyższej krytyce poezji turpistów Przyboś nie brał pod uwagę, że brzydota czasem musi być ukazana dla szoku, który kreuje postawy. Czy jakikolwiek rolnik chciałby przyjąć pod swój dach emigranta, no, to znaczy, jakby to powiedzieć, żeby już nie epatować... bez odzieży?

Kończąc: spór „Krowa czy klacz" nikomu niczego nie dał, nikogo do niczego nie przekonał, stanowisk nie wyłagodził. Spór mógłby rozstrzygnąć poeta, bo poeta, wiadomo, byt widzący i czujący więcej, sytuujący się między człowiekiem a aniołem. Tak, Julian Przyboś mógłby rozstrzygnąć ten spór. Był ze wsi. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Nowi czerwonoarmiści

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Małgośka – mówią mi – przywykniesz do haseł: „Komunizm to życie", „Kapitalizm zabija" i powiewających czasem flag z sierpem i młotem. Musisz po prostu zamieszkać w Madrycie na dłużej – mówili mi amigos, gdy stanęłam jak wryta, mijając plakat Komunistycznej Partii Hiszpanii, koalicjanta obecnego rządu.

Problem w tym, że nigdy nie przywyknę, i to pod żadną szerokością geograficzną, nawet jeśli od dwóch lat piszę artykuły o problemie Hiszpanii z popularyzacją ideologii, która ma na koncie 100 mln ofiar. To wynik dzieciństwa w domu, w którym słowo „bolszewik" powracało w codziennych uwagach dziadka na określenie każdej postaci zła czy ludzkiej podłości. Babcia, sanitariuszka AK i sybiraczka, żywiła tę samą organiczną niechęć do „czerwonych", wszelako nienawidziła ich bardziej powściągliwie. Tymczasem dziadek rozwijał epickie opisy „czerwonej zarazy", która przeszła po jego ukochanej Lubelszczyźnie i posiadła nawet dusze niektórych jego sąsiadów, którym nie podawał ręki. Jego metody edukowania wnuków w duchu antykomunistycznym były dość radykalne, bo nie zgadzał się na zakup kolorowego telewizora nawet w czasie, gdy już cała Polska pozbyła się starych pudeł. Na nasze prośby powtarzał: „Nie będę w domu tolerował żadnej rumianej postkomunistycznej gęby, macie kolor w swoim domu, ale w moim salonie – żadnych czerwonych!".

Był człowiekiem o gołębim sercu, ogromnym autorytecie u ludzi i tylko temat komuny od razu podnosił mu ciśnienie i potęgował słownictwo. Kiedyś, widząc, jak ślęczę nad podręcznikiem historii, podmienił mi go na „My deportowani". Śmieliśmy się pobłażliwie z jego proroctw, gdy w czasie ogłoszonego „końca historii" i radości z naszego wstąpienia do UE pełen powagi powtarzał: „A ja wam mówię, że bolszewicy wrócą. Zawsze wracają".

Teraz ilekroć słucham debat w hiszpańskiej czy francuskiej TV, w których komuniści przy aplauzie publiczności z dumą prezentują swoje poglądy i nawet nie udają, że potępiają terror Stalina czy Mao, słyszę w uszach ten mój głupkowaty, młodzieńczy śmiech z dziadka, a sumienie mi skowyczy. I lubię wracać do tekstu Herberta „W obronie demokracji", bo nie mógł się w nim nadziwić (zupełnie jak mój dziadek), że Polska, która pierwsza zrzuciła okowy komunizmu, wybierała ochoczo postkomunistów do parlamentu. Ba! Wybrała ich nawet do europarlamentu. A kto stanie na drodze walca europejskiej lewicy, tego zmiażdżą jako eurosceptyka i populistę. Przy czym – jak powiedziałby dziadek – gęby już nie wystarczą czerwone, muszą być w kolorach tęczy. ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zniewolili dwie nieletnie

Wyjątkowo czarna karta naszej literatury to udział wielu pisarzy w dyskredytowaniu, szkalowaniu Żołnierzy Wyklętych, niegodzących się na Polskę z sowieckiego nadania, walczących nadal w lasach, ściganych przez KBW. Zarówno komuniści, jak i pisarze nazywali ich bandziorami, faszystami, zbirami, bestiami w ludzkich skórach. W tym kompromitującym gronie znaleźli się, niestety, nie tylko propagandyści – jak Janina Broniewska czy płk Janusz Przymanowski, wołający: „Wyłaź z WiN-u, sukinsynu!", ale nazwiska naprawdę się liczące.

Jan Brzechwa na przykład, klasyk literatury dziecięcej, w „Balladzie o dwóch facetach" (1947) pomawiał Wyklętych o rabunek, pijaństwo, a nawet pedofilię: „Pili wódkę wyborową / Szabrowali to i owo / W życiu radzą sobie świetnie / Zniewolili dwie nieletnie / Zrabowali sto tysięcy / Żałowali, że nie więcej / Gdy przyjechał sędzia z Warki / pokrajali go w talarki / W mieście bojąc się odwetu / Szli na noc do NSZ-u".

Konstanty Ildefons Gałczyński – „mała kanalia o wielkim talencie", jak nazywał go Lechoń – w 1951 r., w wielonakładowym „Przekroju", zamieścił wiersz „Wilki", który – jak niemal wszystko, czego się dotknął – był przepiękny, melodyjny, jednak pokazujący Wyklętych jako płatnych agentów imperializmu: „Wilki, wilki, powiedzcie mi wilki / Wasi rodzice kto są? / Ciemną nocą / agent z forsą / nasi rodzice to są. / Wilki, wilki, / powiedzcie mi wilki, / jakie są wasze prace? / Nasze prace / bomba i kastet / oto są nasze prace. / Wilki, wilki / powiedzcie mi, wilki, / gdzie są wasze sztandary? / Nasze sztandary / szyje herszt Harry – / ot, gdzie nasze sztandary".

Mieczysław Jastrun, subtelny, wydawałoby się, poeta, w „Balladzie świętokrzyskiej" (1948) przedstawiał Wyklętych jako odpychające nawet zewnętrznie, niosące śmierć bandy: „Twarze spode łba, jakby wyjrzały spod hełmu / Żelaznego najeźdźcy, w oczach – nocy bielmo. / Szeleszczą, po kolana brodząc w zeschłych zielskach. / Szkaplerz lub krzyż na szyi, w ręku broń angielska".

Władysław Broniewski w „Opowieści o generale Świerczewskim" opiewał alkoholika szafującego żołnierską krwią, o jego niewyjaśnione zabójstwo winił „faszystowskie bandy". „Jeszcze po lasach kluczą faszyści / ręce ich kainowe" – pisał.

Tadeusz Konwicki, były partyzant wileńskiej AK, w „Rojstach" (1956) pokazał swój oddział jako bandę rabusiów, gwałcicieli 15-latki, morderców Białorusinów i Żydów: „Strzelało się do białoruskich chłopów posądzanych o współpracę z bolszewikami. [...] Żydom pomagali partyzanci sowieccy, od naszych oczekiwali tylko jednego: kuli w kołnierz".

Włodzimierz Odojewski nie tylko współpracował z SB, lecz także w swoich pierwszych socrealistycznych powieściach, przemilczanych przez jego hagiografów, szkalował Wyklętych. Choć był Wielkopolaninem, to w „Dobrej drogi, Mario" (1956) zohydzał najsłynniejszego wielkopolskiego Wyklętego – młodziutkiego Jana Kempińskiego (1921–1946), zastrzelonego przez UB – pokazując go jako siejącego mordy i pożogę. „Jesienią 1946, kiedy banda »Błyska« krążyła i mordowała pepeerowców – pisał – Świątek (członek PPR) przestraszył się i poszedł oddać legitymację. Wkrótce »Błyska« pojmano i Świątek uspokoił się. Świat przybrał wreszcie prostotę i spokój". Świątka jednak zamordowano i „wieści niosły, że banda, której przypisywano jego śmierć, coraz śmielej hula po powiecie, szeptali ludzie, że to »Błysk«, że UB wcale go nie pochwyciło [...]. Wyszedł, bo obrabowano dwa geesy".

W „Upadku Tobiasza" (1955) opuścił więzienie jeden z Rząsów, rodziny, „która zbójniczkowała NSZ, ale odsiedziała swoje, przycichła". Wrócił do rodzinnej wsi, co niepokoiło narratora. „Jak można było – pytał – dopuścić do tego, aby niedawny bandyta przebywał tam, gdzie z pewnością mieszka wielu jego nieujawnionych pomocników?". Tytułowy bohater to złapany przez UB „bandzior", który „zastrzelił kilku milicjantów i towarzysza Szyszko. Później znowu zastrzelono nam kilku ludzi, rozpruto kilka kas po różnych spółdzielniach, były podpalenia stogów, lasu – czego tam jeszcze. I wszyscy mówił: »Tobiasz«. [...] Pytali go: »Zabiłeś?«. »Tak«. I mówił jeszcze: »Wszystkich was wytłukę, czerwona zarazo, dajcie mi tylko broń«". Na wieść o tym, że go zabili, narrator cieszył się i mówił: „Dobrze czasem posłuchać takich rzeczy. Umacnia jakoś. Widzi się, jak Tobiasze powoli giną. Już nie zagrażają".

Jan Brzechwa, klasyk literatury dziecięcej, w „Balladzie o dwóch facetach" pomawiał Wyklętych o rabunek, a nawet pedofilię

Korzystałam z książki Mariusza Soleckiego „Literackie portrety żołnierzy wyklętych". ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

MYSZY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Znajomy komik mieszka w Nowym Jorku i ma w domu myszy. Gdy się mieszka w NYC, to normalne – w mieszkaniu masz myszy, a na mieście szczury. Wszędzie! Pod tym względem Nowy Jork przoduje w świecie. Nowojorskie szczury są inteligentniejsze od innych. Zostały do Nowego Jorku zwiezione statkami z całego świata – mieszanina szczurzych ras, odmian, charakterów i inteligencji, a do tego ostra konkurencja i obecnie mamy tam do czynienia ze szczurami sprytniejszymi od ludzi. Dotyczy to także nowojorskich myszy.

(Wiadomość dla millennialsów: szczur to nie jest samiec myszy, lecz odrębny gatunek gryzonia. Gryzoń to nie każde zwierzę, które gryzie, lecz wybrana grupa gatunków o wspólnych cechach. Największym gryzoniem na ziemi jest kapibara, a najbardziej pospolite są szczury i myszy.)

***

Wspomniany komik ma w mieszkaniu myszy nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni – on je tam ma stale, a przerwy są na tyle krótkie, że można je zignorować. W zasadzie nie wiem, w jakim celu łapie, tępi, poluje i truje, skoro stale przychodzą nowe. Strata czasu i pieniędzy na kolejne pułapki, trutki i sposoby. Gdyby oswoił jakąś jedną populację, to może by się przyzwyczaił, a „jego" myszy nie wpuszczałyby na swój teren myszy obcych. Komik twierdzi, że to nieprawda – podobno myszy sprowadzają kolejne myszy i ostatecznie starają się doprowadzić do sytuacji, gdy to one wypierają człowieka z terenu, który uznały za swój. Dlatego mając myszy, skazany jesteś na stałą walkę albo cię zjedzą, jak Popiela.

Komik pewnie ma rację, bo jest gruntownie oczytany w temacie. Chodzi do specjalistycznego sklepu, gdzie jest wszystko, co kiedykolwiek, gdziekolwiek wymyślono lub wyprodukowano w celu tępienia myszy. Sklep w starej kamienicy, prowadzony od kilku pokoleń, przez Specjalistów. Skumulowana wiedza dotycząca walki z myszami. Stoi tam biblioteka książek na ten jeden temat, niektóre z nich to białe kruki wydane dawno, dawno temu i niedostępne nigdzie indziej. Kupić nie można, można obejrzeć przez szybę gabloty, a potem (za opłatą) przeglądać kopię dzieła zeskanowaną do komputera. I są fanatycy, którzy spędzają tu wiele godzin – siadają i studiują temat w poszukiwaniu skutecznego sposobu na myszy. Kawa w tym sklepie jest dla nich za darmo.

***

Słucham więc opowieści komika o tym, jak to zakupił kolejny nowy rodzaj pułapki. Wcześniej wykładał trutki, ale myszy nauczyły się je omijać, wykładał serię przeróżnych sprytnych pułapek, zapadni, zamykających się rurek i klatek. Wszystko jakoś tam działa, ale z inteligencją nowojorskich myszy trzeba się ścigać, bo one się szybko uczą i w jakiś sposób przekazują swoją wiedzę innym.

Komik bardzo sobie chwalił jeden z wynalazków, o którym napisano „czysta robota eko". Plastikowa rurka z jednej strony zaślepiona kratką, a z drugiej strony otwór – gdy skusisz mysz smakołykiem, wejdzie do środka, rurka się zatrzaskuje i możesz sobie na złapaną mysz popatrzeć, możesz z nią pogadać lub na nią nakrzyczeć, a „czysta robota eko" polega na tym, że potem tę mysz wywozisz metrem za miasto i wypuszczasz daleko od domu bez zabijania.

Takie miękkie metody można stosować w domu na wsi, gdzie myszy trafiają się rzadziej, ale w Nowym Jorku... Łapanie i wywożenie żywych myszy metrem to tak jak łapanie wody z cieknącego dachu i wylewanie oknem. Dach nadal cieknie.

***

To może kot w domu pomoże? Hm. Jest to jakaś metoda, ale działa krótko, bo tak samo jak widują państwo psy i koty domowe sypiające na jednej kanapie, tak samo po jakimś czasie zobaczą państwo swojego nowojorskiego kota, jak to się dogadał z myszami i wspólnie oglądają kreskówkę „Tom & Jerry".

Nowojorski kot domowy szybko zamienia się w dobrze odżywionego kanapowca. Drapieżniki to z natury lenie i jeżeli nie muszą, to nie polują. Syty lew śpi na gałęzi i możesz przechodzić tuż koło niego z wycieczką fotosafari, a on się nie ruszy. Chyba że mu zaczniesz zakłócać sen lub... gdy zgłodnieje. Podobnie nowojorski kot domowy – gdy go karmisz, nie będzie polował na myszy, a gdy go nie karmisz, wówczas sąsiad zza ściany zawiadomi służby miejskie, że głodzisz zwierzę i przeraźliwie miauczy, bo mu nie dajesz zbilansowanej karmy eko, lecz każesz jeść niezdrowe miejskie myszy.

***

Z powyższych powodów znajomy komik zrezygnował z kota i zakupił najnowszy krzyk mody: lep na myszy. Lep wabi mocno, ale niestety nie jest trujący, co ja uważam za poważną wadę. Bo zwabisz i co potem? Mysz podchodzi, przykleja się i...? Twórca pułapki z klejem nie napisał, co dalej, bo musiałby napisać słowo „ZABIĆ".

Komik popatrzył na poprzyklejane myszy i... drugiego dnia zaczął je karmić. ZABIĆ się jakoś krępował, więc karmi i liczy na to, że kiedyś same zdechną na cukrzycę lub z przeżarcia, a wtedy je po prostu wywali do kosza.

– Nie możesz wywalić od razu?

– Żywe? Przecież zdechną w śmietniku. Są unieruchomione i nie byłyby w stanie zdobyć pożywienia.

– No ale chyba o to chodziło, żeby zdechły, nie?

– No niby tak, ale ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie mam zamiaru być mordercą.

– Aha…

***

Społeczeństwo, które tak myśli, jest skazane na zagładę. Chińczycy o tym wiedzą. Czekają...

Doktor Fauci nielegalnymi metodami kontynuował zakazane w USA badania, wysyłając granty do wojskowych laboratoriów w Wuhan. W ten sposób wyprodukowano COVID. To już nie jest „teoria spiskowa", lecz urzędowo potwierdzone fakty.

Teraz wystarczy, by w chińskim kontenerze z towarem wysłanym do portu w NYC pojawił się jeden szczur lub jedna mysz. Jedna z tych, które mają ludzkie geny, bo to specjalne myszy laboratoryjne. Takie same jak te, na których testowano COVID. Taką mysz można zakazić czymkolwiek, a wojskowe laboratiora w Wuhan mają wiele wirusów, nieograniczone fundusze i cel strategiczny – „obalić USA". ©℗

eprasa.pl fa121f19c2

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
S. KOPER
„NIEZNANE LOSY AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~305 ZŁ~~

202,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 103 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl fa121f19c2

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

HISTORIA CHŁOPCA SPALONEGO PRZEZ SS

Piotr Włoczyk – **Niemiecka masakra w Lasach Janowskich**
Grzegorz Janiszewski – **Polowanie na Krügera**
Sławomir Koper – **Zagadka śmierci Wieniawy**
David Krajicek – **Dlaczego zamordowano żonę Polańskiego**
Piotr Zychowicz – **Dwa ludobójstwa: Wołyń i Rwanda**
Mikołaj Iwanow – **Czekista w Warszawie**
Jacek Bartosiak – **Wyścig mocarstw w kosmosie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl fa121f19c2